166

Z CYKLU:

CZARNE SKRZYDŁA

MATEUSZ BIGDA

1. GRUNT
2. MASŁO
3. SPIŻARNIA

MATEUSZ BIGDA

GRUNT

JULJUSZA KADENA-BANDROWSKIEGO

UKAZAŁY SIĘ:

Niezguła, powieść, Lwów 1911, wyczerpane.
Zawody, nowele, wyd. II, Warszawa 1922.
Proch, powieść, wyd. II, Warszawa 1921.
Zbytki, nowele, Kraków 1914, wyczerpane.
Piłsudczycy, wyd. IV, Warszawa 1932. Nakł. Kadry.
Iskry, Wiedeń 1915.
Bitwa pod Konarami, Wiedeń 1915.
Mogiły, wyd. II, Lublin 1916, wyczerpane.
Spotkanie, nowele, Warszawa 1917, wyczerpane.
Łuk, powieść, Warszawa 1929, wyd. II.
Wyprawa Wileńska, Warszawa 1919, wyczerpane.
Podpułkownik Lis-Kula, wyd. II, Warszawa 1919.
Wianki, Warszawa 1920, wyczerpane.
Wiosna 1920 roku, Warszawa 1921, wyczerpane.
Rubikon, nowele, Warszawa 1921.
Generał Barcz, powieść, Lwów 1930, wyd. II.
Wakacje Moich Dzieci, nowele, Warszawa 1924, wyczerpane.
Przymierze Serc, nowele, Zamość 1930, wyd. II.
Miasto Mojej Matki, Lwów-Warszawa 1928, wyd. III.
W Cieniu Zapomnianej Ojczyzny, (Z cyklu: Miasto Mojej Matki), Lwów-Warszawa, wyd. II.
Europa Zbiera Siano, Lwów-Warszawa 1927.
Nad Brzegiem Wielkiej Rzeki, Lwów-Warszawa 1928.
Rzymianie Wschodu. Warszawa 1928, nakł. Sekcji Bibljofilów Pol. Uniw. Warsz.
Na Progu, Warszawa 1928, Gł. Księg. Wojsk.
Lenora (Z cyklu: Czarne Skrzydła), Lwów-Warszawa, wyd. II.
Tadeusz (Z cyklu: Czarne Skrzydła), powieść, Lwów 1929.
Stefan Żeromski, Lwów 1930.
Trzy Wyprawy, Lwów 1930.
Pióro, Miłość i Kobieta, Warszawa 1931.
Za Stołem i na Rynku, Lwów 1932.
Aciaki z I-szej A, Lwów 1932.

W przygotowaniu Mateusz Bigda: *Grunt*
Masło
Spiżarnia

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

MATEUSZ BIGDA

GRUNT

WARSZAWA – 1933

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ"

Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61.

I.

Dwa miljony hektarów!

— Będziesz siedział naprzeciw mnie, tyle ci powiem. — Rzekłszy odwrócił się poseł Bigda do Deptuły plecami. Plecami — do Deptuły? Za przeproszeniem: — pana posła Deptuły. Ma się wiedzieć, że z chłopów, ale inteligenta, wielce ukształconego z wieloma patentami a nawet z dwoma doktoratami prawa i filozofji.

Deptuła odpowiedział: — Będę siedział naprzeciw.

Tyle tylko zamienili pomiędzy sobą słów przy początku tego wieczora. Gdy Deptuła wyrzekł, — będę siedział naprzeciw, — wszystko się utwierdziło w Bigdzie. Co się miało utwierdzać jeszcze? Nic. A jednak doznało utwierdzenia.

Na tem polega przyjaźń najważniejsza, która w swem ostatecznem zaufaniu musi być zawsze ślepa. Nie trzeba patrzeć, widzieć, jeno czuć w samym sobie: czoło Deptuły, ogromne białe, jak spłókany ulewą kamień; siny nos z dziurami głębokiemi, te różowe brodawki, takie właśnie policzki, duże, pulchne, sparciałe — że tylko bić. Takie usta z dwóch sinych płatków mięsa i oczy bez spojrzenia.

Gdzież tam jest to spojrzenie pod przestronnym rozmiarem czoła? Niema.

Poseł Bigda odwrócił się plecami do Deptuły, do lokali klubowych własnego stronnictwa i za jednym zamachem do wszystkich tu obecnych. Nawet do tych, co przyjdą!

Przychodzili, szurgali, takie tam wymieniając pomiędzy sobą przywitania. Byki, woły i knury sejmowej obory.

Za oknami śnieg padał. Niby wiosna już parła zewsząd — i znowu śnieg. Ze wszystkich okien klubu widać było rozrosłe klony. Czarne muskuły drzew szły pięknym skrętem przez zamglone powietrze, jakieś takie powietrze marne, miejskie i aż obrzmiałe.

Cóż tu mówić tym posłom, jak też chociażby i samemu Deptule?! Nic. Ani im, ani sobie. Bigda wiedział najlepiej sam, nie głową, ani sercem. Całą mądrość tej sprawy czuł w szczękach.

W górnej i dolnej nie brakowało mu ani jednego zęba. Wszystkie, aż do ostatnich trzonowców, — twarde, równe: najlepsza rzecz w człowieku.

Deptuła nie miał takich zębów, — a jest to wielki błąd, oraz znaczna niepewność w rachubie na postępki, na zamiary, na plany. Czarna dziura w powłoczce z cienkiej kości nie ugryzie zbyt wiele!

Zęby mają być krótkie, szerokie, płaskie, — koniecznie równe. Korzeniami przechodzą w szczęki. Szczęki trzymają się znów na zawiasie mięśni. Gdy zewrzesz szczęki, ruszają się te mięśnie od dolnej żuchwy aż po żylaki skroni. Nic więcej nie potrzeba do załatwienia sprawy.

Stał przed oknem, niby wpatrzony w sejmowe drzewa i klomby, znowu śniegiem osnute, lecz zarazem wiedzący, kto wchodzi i co gada.

Ani jednego słowa prawdy w tem gadaniu: Sprawa była zbyt ważna. A trudno przecie porozbijać czerepy i z dymiącego mózgu wnosić, co sobie koledzy umyślili.

Broń Boże!

Poseł Bigda uśmiechnął się do szyby. Ba, — zauważył w rogu szklanego prostokąta, tuż przy zaschniętym kicie jakowąś niby resztę własnego uśmiechu, jak spływała poufnie w noc miejskiego powietrza. Teraz już trza odwrócić się i zacząć witać. Czuł na sobie spojrzenia wchodzących. Plecyma czuł, — było co na nich dźwigać, — tyle takiego klajstru. Odmachnął się i zakreśliwszy ramieniem kierunek, jął chodzić w tym kierunku.

W którym? No — właśnie w żadnym. Niby tak, niby inak, niby tylko w wielkim namyśle, dookoła ścian klubu, ale zarazem w poprzek.

Boją się mnie, — przytwierdził sobie. Snuł się dalej, obijał o obecnych, niby coś mruczał, niby łyskał z podełba spojrzeniem. Nie wiele brakowało, by się jeszcze zaczął plecyma czochrać o te ściany.

Nie znał to swoich chłopów? Wybornie i każdego. I oni go też znali.

Komitywa.

Ale plecy i tak szeroka pierś i taki chód kamienny! I stopę tak postawić, że się pod nią wszystko na proch rozciera i podać taką rękę, — to już specjalnie Bigda!

Za każdym razem wyciągał dłoń z kieszeni cienkich portek, wpuszczanych do cholewy. Wyciągał ją z ciepłoty: Z sąsiedztwa brzucha, oraz pachwiny, tak gorącą — a suchą.

Taka jest ręka Bigdy. Ręce kolegów wszystkich choć były między niemi twarde — pociskał, jak kluseczki. Z jedną cierpliwą myślą: — A bądź tu sobie, bądź i niechta wszyscy będą.

Byli już, dranie, wszyscy. Z tych wszystkich stronnictw chłopskich szanowne prezydja. Swoich Bigda nie liczył wcale. Deptuła, Ciarach, Stelmach i Kos i Gruszka. Znali się nie od dziś i co trzeba, wiedzieli. Nie było tego mało.

Nie szkodzi.

Ciarach pierwszą swą listę wyborczą pofałszował, innych utrącił i sam się wpisał zaraz na pierwsze miejsce; u hrabiów przedtem służył za korepetytora, teraz wicemarszałek sejmu, prezydentem chce zostać ścierwo, — po co? — chyba, że leń! Coprawda, nakręcony pracuje, — wyborny reprezentant, chude to, żołądkowe, wiecznie jakgdyby głodne a zarazem natchnione, wciąż zaprzątnięte swojemi portretami.

Bigda na owe rzeźby i portretowe malunki, przedstawiające Ciaracha w doborowych pozycjach miał własne określenia. Albo mówił — że to są krowie placki; albo, że Ciarach wyobraża Hamleta, czyli poprostu — ostatniego z Habsburgów.

Ciarach, Kos rozwrzeszczany, stary Stelmach. Ważniejsi obcy. Zawsze, do końca świata taki jest pierwszy nakaz wszelkiej polityki: ważniejsi obcy.

Cała hołota z Odrodzenia, na cycku różnych paniuś wyhuśtana, żebractwo radykalne, z inteligentem zawsze przemieszane, chociażby nawet ten ich stary Dolański; ich niby leader, który się zwał prawdziwie Lejkiem po swych ojcach. Ale, — jakże to Lejek ma zostać apostołem, — więc zmienił sobie pięknie na Dolańskiego. Wtedy, — jacyś szlacheccy Dolańscy do sądu go podali.

Dolański, Stodorowski, szlachcic i inteligent, agronom specjalista. Sarbus o bladej wiecznie natchnionej gębie, Żurek; no, naturalnie — Kortys.

Ścierwo!

Bigda nie znosił tego Kortysa. Z Dolańskiego śmiał się, Stodorowskiego nienawidził, ale z Kortysa zdzierałby skórę żywcem. Za karę o ten pysk jego, pełen zawsze wszelkiego miłosierdzia. Gdyby wreszcie powiedzieć Kortysowi: Zeżryj swe dobre serce, wyrzygaj i nie zawracaj ludziom więcej głowy!

Już Deptuła zadzwonił pięknym małym dzwoneczkiem, że będą zaczynali.

Same tylko prezydja a i tak dosyć ludzi: Byli nietylko z klubu Bigdy i z Odrodzenia. Były chłopy z Jedności, już komuniści prawie i jakieś chrześcijańskie odpryski. Zasiedli, potrzaskując krzesłami, szeleszcząc papierami.

Stodorowski nie miał wiele papierów. Notes w czarnej ceratce, — niczem zwykły karbowy. Wiadomo, że miał w głowie najlepiej ułożone.

Inni, na podobieństwo adwokatów: Z miękkich, skórzanych teczek, zamykanych kluczykiem, wyciągali arkusze bez końca. Łazi to po urzędach rolnych

i statystycznych, przestrasza urzędników, ryje, grzebie i nawyciąga papieru, ile wlezie. Byleby teka grubo wyglądała.

Co wie z takiej bibuły Kos? Albo naprzykład Sarbus? Jak ich tu było ze dwudziestu, każdy siedział przed kupą papieru.

Bigda — nie. Ani jednego karteluszka pod ręką. Czuł doskonale wszystko — zaciśnięte w szczękach.

Pierwszy mówi Dolański. Zaczął od Słowackiego, zawsze tak: ci z Odrodzenia, na paniusinym cycku wyhuśtani, zawsze tak zaczynali.

Pacierz — co błyska...

Niech ci, cholero, błyska!

Lejek siedział akurat pod główną lampą, gdyż prezydował dzisiaj. Starowina. Rączyny przy papierach położył, tłuste, pulchne a koloru pietruszki.

Cóż miał z całej karjery? Prócz dobrego imienia, — ani grosza. Wiadomo, że przy każdych wyborach drżał, iż go więcej na listę nie postawią, a wtedy co? Z torbami!

Dlatego tak się modlił: Do Słowackiego, — do jakowychś Norwidów, przytem zaś pachło od niego kwasem, tłuszczem, serwatką, — starą babą.

Bigda nie myślał o żadnych tam Norwidach. Uważał na Deptułę. No, — siedzieli naprzeciw, jak było przewidziane. Widzieli w sobie wszystko. Co tam w sobie! Rzecz całą przezierali nawskroś do wszelkich ostatecznych granic możebności tych ludzi i możebności własnej.

Za oknem śnieg przygniatał wielkie klony, wiosna się zatrzymała znowu, — Dolański ciągle je-

szcze o tej reformie rolnej, której, gdy Rzym nie zrobił — upadł... Cezar nie zrobił — upadł.

Której gdy kto nie zrobi — zawsze, zawsze upada. Z tego — o ludzie polskim.

Zatkało Bigdę. Gdyż wszyscy inni gadali o tem wiele, a on, jeżeli ma być szczerze, jednego słowa nie potrafiłby na ten temat ułożyć. Całą tę rzecz — miał w szczękach.

Deptuła nie wytrzymał. Pognał starego Dolańskiego szuraniem, ograniczył do takiego niby wstępu i zaczął sam. Krótko, a tak do rzeczy, że się poczuli zaraz, tu za stołem tej sali i sejmu — w samotności sumienia!

Że tak a tak, że to chodziło rozmaitą drogą, przez profesorów, rzeczoznawców, prawników i drugą stroną przez marszałka sejmu i przez biskupów i o Rzym może nawet kołatało. Tu wyrzekł owe słowa: dwa miljony hektarów.

Wyrzekł owe słowa poseł Deptuła, lecz notesu szarego z kieszeni nie wyjął i obok siebie na stole nie położył,—co w takiej chwili było bardzo znaczące!...

Gdzie jest i jakże bije pospólne serce ludzkiego zgromadzenia i gdzie jest umieszczone to serce bezprzestrzenne nie wie nikt, ale przecież we wszystkich tutaj utwierdzone, zadrżało nagle — zewsząd.

Dwa miljony hektarów!

Na to trzeba Deptuły: porzucić taką sprawę i zaraz mówić dalej. Do miljonów nie wracać i zaraz o sprzecznościach z konstytucją.

Tamta ustawa pierwsza, wprowadza wykup ziemi za pół ceny, czego znów sądy państwa nie uznają. Zamierzona nowelizacja nic tu nie poprawiła.

Teraz w przededniu nowej ustawy — mamy te dwa miljony. Ziemianie chcą nas kupić.

Mówił z swojego miejsca, siedząc. Pocóż miał wstawać? Widać było odrazu, jak ich wszystkich stłamsiły te miljony, — wszystek dech wydusiły, wszystek pot!

Każdy o tej ofercie wiedział, tłukło się to po prasie obozów. Inna to jednak rzecz, drukiem odpowiadać a inna, gdy wobec wszystkich, tak na zielone sukno wysypią ci znienacka dwa miljony hektarów, — od ziemi aż do nieba. Każdy już w myśli siedział na tych hektarach i ludzi swoich tam obsadzał, darł się z nimi i dzielił morgi, — dzielił.

Dzielił aż w uszach dzwoni!

Więc stała się rzecz dziwna!... Wszystkie razem prezydja, jakgdyby właśnie — tylko co ukradły całą ofiarowaną ziemię. No, — bo żyj takie wieki z sąsiadem swym o miedzę, siedzisz a on też siedzi! Ten sąsiad trwa przy tobie, — jak nóż w twoim boku. Teraz zaś — dwa miljony hektarów, — a sąsiad znów przy tobie?

Bigda powstał z za stołu i gdy tamci mówili, jął chodzić. Sunął swym osobliwym krokiem ważnych narad, powoli, z wielkim trudem, naprzód pochylony, — jakby nogi z grzęzawiska wyciągał.

Ciarach teraz przemawiał. W sensie, — że projekt cały i myśl tych dwóch miljonów mogła wyjść tylko z ordynacji lachowskiej hrabiego Lachowskiego. Związek Ziemian nie wpadłby nigdy sam na tak chytrą koncepcję. W ordynacji hrabiego Lachowskiego wymyślił to pan plenipotent Strzęgorz. Nikt inny, tylko właśnie poseł Strzęgorz.

W myśl projektu, umowa staje pomiędzy Związkiem Ziemian a skarbem państwa. Więc gdzie tu chłop?! W myśl projektu mają tej ziemi dostarczyć w ciągu dwudziestu lat. Ale ją parcelują instytucje prywatne, czyli, że ich, ziemiańskie. Więc gdzie tu chłop? A sprzedaż całego tego gruntu parcelantom — wedle wolnej umowy! Gdzie tu chłop? Gdzie tu my?!

Taki Ciarach, taki niby klubowy zdechły Hamlet, ostatni z Habsburgów, belferek gimnazjalny, a jak się to wyrobić zdołał?

Przemawiał tak dosadnie, iż poprostu uczuli, że znowu — niema ich wcale na świecie. Taka jest dola chłopska: Na całe wieki znikać z tego świata.

Jeszcze gdy zaczął mówić, że to przecież ich krwią obroniło się państwo!

Bigda nie znosił podobnych argumentów. Wrócił ku swemu miejscu tym samym wolnym krokiem, jakgdyby nogi z moczaru wydobywał. Przystanął za swem krzesłem, czekając końca przemówienia Ciaracha.

Poseł Bigda nie prosił w takich razach o głos. Stał cichy i rozrosły, pewny że wszyscy wreszcie skupią na nim uwagę.

Tak się i teraz stało: Patrzyli się na niego w paskudnem zalęknieniu, — bo takie były właśnie namysły bigdowe, że obrzydliwie przestraszały najtwardszych nawet ludzi.

Taki Bigda: Twarz żółta, połyskliwa, oczy piwne z wyraźnem światłem źrenic to wąskich, to znowu rozszerzonych do ostatniej granicy, — jak to mają zwierzęta.

Na całej twarzy rysów zaledwie kilka, tylko najkonieczniejsze, z surową oszczędnością kreślone. Ani śladu jakowychś wahań, czy innej możliwości:— dlatego to pomiędzy rysami puste i nieobecne miejsca, od spodu jednak kością wypełnione. Kością twardą, szeroką, — że skóra błyszczy na niej.

Szyja wąziutka z przodu, — z tyłu zaś kark rozległy, tak gładko utwierdzony w ramionach. Jakgdyby jednem strasznem uderzeniem wbity w kamienne bary.

Słowa mu szły nie z ust, a z grdyki. Tam się zdanie łamało grą ciężkich, twardych cieniów, a na wargi spływały wyrazy niby oszlifowane uprzednio, cieniutkie, bardzo płaskie.

Takiemi wyrazami tłumaczył teraz Bigda zebranym podstawowy postulat wszelakich pertraktacyj z ziemianami, — czyli sprawę jedności chłopskiej.

Przedewszystkiem — ta jedność! I że tu trzeba wystawić człowieka, — a tak, — chłopa, któryby mógł swobodnie pertraktować. Ziemianie muszą wiedzieć, że ten chłop cieszy się całkowitem zaufaniem.

Bigda rozumiał przecie, że w tej chwili chodzi tutaj o wszystko. Przestał mówić i patrzył: No, — posłowie, takie tam ludzkie bryły, posadzone w przestrzeni.

Trwał za stołem ogromny, doraźnie oświetlony, ręce wsadził w kieszenie od portek i tak, jakoby wisiał nad owemi bryłami ludzkiemi.

Prezydja wzburzyły się, — nie miały pełnomoc-

nictw, — któż nie znał ślepej babki pełnomocnictw?!

Śnieg tajał za szybami, woda biła o szyby. — I tam na świecie rozklejało się wszystko. A tu burza wynikła ze strony radykalnych klubów. Dolański płakał nad rozpostartą teczką i wszyscy — o jedności.

Za długo: Wiadomem przecie było, że ta jedność ma przetrącone gnaty. Zostali wreszcie we dwóch, Bigda z Deptułą. Ciaracha wyprawili naprzód, z kolegami, — do baru KLASA. Tam miało być zebranie dalsze.

Nie powiedzieli sobie o całem posiedzeniu ani słowa. Gdy już na pełnomocnictwa zeszło, o czem mówić?

Odziani w płaszcze zeszli korytarzami w stronę dużego czworobocznego hallu. Świateł mało, — gdzieniegdzie. Jak to w sejmie już po wszystkich zajęciach.

Lampka tu, lampka ówdzie, — i tylko sypkie drżenie ciszy w głuchych kątach.

Bigda szedł pierwszy a zawsze po swojemu, jakby wyłaził z bagna. Pomimo to Deptuła ledwie nadążał krokiem.

Na zakręcie, między obszarem sejmu i senatu poseł Bigda przystanął przed rzeźbą z bronzu, wyobrażającą wiekopomne oblicze marszałka Stachowskiego. Olbrzymią dłonią palnął rzeźbę po szczycie głowy, wołając równocześnie: — Bigda idzie!

— Bigda idzie!!

Rozległo się po korytarzach, salach, sufitach, słupach i wszystkich stropach szklanych, jak ryk ospały, głuchy, lecz nader przenikliwy. W echach owego ryku wyszli z sejmu na podjazd. Wiatr się tu kłębił, pomiędzy sztachetami ogrodzenia a przestrzenią sejmowego parku, zabłąkany, zużyty, łamiący się na wszystkie strony.

Dorożka juz czekała przed schodami. Na postawioną budę padały wielkie krople, miecione z klonów. Wsiedli i już ruszyli. Bigda z nogą na stopniu, trwający tu jakgdyby na wylocie. Zawsze wszędzie tak siedział, — cóż dopiero w dorożce?!

Podążali do baru naprzeciw dworca kolejowego. Bar zwał się KLASA.

Mieli tam swe zebranie i ucztę w gabinecie ze stronnikami, zausznikami, wśród których różne ważne bandziochy przemysłowe.

Bigda zważał ogromnie na tych ludzi. Hycle to były wyrachowane, obrotne, zawsze przy kapitale,— a chłop nigdy. I zawsze na rozgłosie miast oparte. Cóż jest wieś, a co miasto? Miasto jest niby nerwem, a wieś ciałem. Państwo miastami myśli a na wsiach tylko rozsiada się wygodnie. Te hycle z miasta, przemysłowcy i redaktorzy, cukrownicy, różni kontyngensowcy, wszelakiego gatunku specjaliści od premij...

— Żebyś mi dzisiaj do dziwek nie odchodził. Masz siedzieć i pilnować.

Na szóstem bowiem piętrze w domu gdzie był bar KLASA mieszkały, niby to u hrabiny jakiejś nadzwyczajnie kresowej, uliczne dziwki, do których lubił się chować kolegom Deptuła.

— No tak, dzisiaj nie można, wiadomo. — Deptuła jechał przy Bigdzie. Siedział przecie tuż obok, a jednak czuwał wielce: Postawą całą, martwą gładzizną czoła. Jakby porami skóry chłonął najmniejsze poruszenie.

— No to już zaczynamy, — rzekł wreszcie.

Bigda nie odpowiedział. Liczył. Przeliczał swoje mienie. Robił to zawsze dla poprawienia nerwów: Czterdzieści morgów czystego czarnoziemu, bez grosza długów. Tartak w Wyżnem. Ten tartak coś przynosił, — no! Tartak był w kombinacji ze spółką akcyjną: HART. Dwie wille, obie na imię żony. Te wille w podgórskiej, leczniczej miejscowości pragnął był ofiarować córce na pensjonat. Jako posag, — a niech już Zośka sama dorabia sobie dalej.

Gdy wysiedli i Deptuła płacił dorożkarzowi (zawsze to taniej, niż płacić za samochód), Bigda rozejrzał się po znanem sobie miejscu: Deszcz, światła, reklamy migające na niebie i po płaskich głębinach asfaltu, na których, tuż przy skraju chodnika sączyły się przez czarną jezdnię purpurowe litery:

KLASA.

Weszli do środka w garus odgłosów, szczęku naczynia, pobrnęli korytarzem, mijając główną salę, popielatą od dymu.

Na korytarzu nadarzył się im pan Komisarz Kapuścik, dzielny blondyn, oficer policyjny, w granatowym mundurze ze srebrnemi galonami, bardzo pięknie pachnący perfumą.

Bigda ledwie że się odkłonił, choć przecie sam się krzątał niedawno o przeniesienie tego oficera

z Zagłębia Węglowego. Za to Deptuła przywitał się uprzejmie, podał rękę.

We dwóch, Deptuła z Bigdą weszli do gabinetu.

Żarcia tu stało pod ścianą na czyściutkich obrusach, co nie miara. Wódek ze szlacheckiemi herbami i win czerwonych i win białych.

Bigda się pchał przez cały tłumek ku kanapie, by siąść na głównem miejscu. Z pierwszego rzutu oka wiedział, co się święci: Między szarzyzną poselską znaczyły się smokingi przemysłowych bandziochów. Był redaktor, delegat cukrowników z Wielkopolski, wielce opasły płaksa; dwóch byków z kolejnictwa, dwóch bankierów z prywatnych spółek parcelacyjnych. To oni tu fundują, przemysłowcy. Czekają na hektary, albo na jakieś premje, albo na pozwolenie wywozu, no — mają na co czekać, jest na co, to wiadomo!

Opowiadali jedni drugim, — na tyle się już Bigda rozeznał w konwersacji — jak to świetnie prowadził dzisiaj posiedzenie, jaki zrobił ruch ręką, kiedy chrząknął, a kiedy tyłem się odwrócił.

Słuchał tego wszystkiego, niby wody bieżącej. No, bo przecie o rzeczy samej, o hektarach wcale nie wspominali. Mówili o Lachowskim. Wszyscy.

Lachowski taki, siaki, owaki, — bankrut! Kisło tam pod nim wszystko w ordynacji, która od lat sześciuset nie drgnęła w swojem prawie i dusi chłopa, —rany boskie! Żydy weksle tej ordynacji po Lachowie puszczają i do protestu niosą. Weksle — na dwa, na tysiąc, na pięćset złotych — z podpisem ordynata! Serwituty nie załatwione jeszcze. Wszystkie sądy zapchane skargami, po lasach zabijają, —

ordynatowa w zamku nie ma co z dziećmi do gęby nawet włożyć, — samych podatków niezapłaconych góry całe, — ale pan Strzęgorz, plenipotent, nowe zakłady przemysłowe wciąż stawia i popędza, — płatny jest od obrotu ordynacji — ha, od obrotu!

— Oj, Lachowski, Lachowski, — kwilił stary posełek Gruszka, — oj pałace, oj zamki i dwory. — Posełek Gruszka, siwiuteńki, ślepawy, jeden z tak zwanych ojców ruchu ludowego.

I znów wszyscy o dworach.

Z takich wołań, utysków i wspomnień dobywał się smak zapalony, gorzki a wielce osobliwy: Pić tutaj wódkę z herbami, rychtować koniec herbom i użalać się kornie.

Każdy z tych posłów w pierwszem dzieciństwie swojem brał jeszcze pańskie baty. Dworskie baty to jest dla chłopa, — Polska jego najpierwszych wspomnień.

Bigda pozwał do siebie posełka Gruszkę. Na kanapę, na plusz.

Było tam nie w porządku pomiędzy Bigdą a Gruszką niejedno dawniej. O leaderowstwo w partji i o tartak, gdzie był pono przez Bigdę jeden Żyd podstawiony z umową na lat dziesięć. Wieźli tam drzewo z lasów państwowych, z drugiego końca kraju do przecierania. O tartak i o spółkę akcyjną HART. Ile zaś jeszcze przedtem różnych sprawek!

Ale się wyjaśniło, gdy ludzie Bigdy rozbili Gruszce wszystkie wiece raz, drugi, a samego potłukli. Teraz Gruszka jadł z ręki, — chłopina zac-

ny i już tylko medale sobie zbierał, stare druki i inne ojczyste „numizmaty".

Gruszka był chłop cierpliwy. Ciarach mawiał o nim, dla jakiegoś szyderstwa, — że to niby taki Lelewel chłopski. Pierwszemi wspomnieniami o pańszczyznę jeszcze otarty, potem, w swych latach męskich znany wśród chłopów i sławny uwodziciel gospodyń księżych i doktorowych pono i różnych sędzin.

Bigda mu wlewał jedną wódkę po drugiej, obejmował przez szyję długiem ramieniem, tłoczył i kazał opowiadać o dawnych przygodach różnych i pańszczyźnianych, i zwłaszcza z kobietami.

Więc znowu był w tem smak, zapalony, tak gorzki a przecie najłapczywszy: O tej piwniczce dworskiej, pośrodku której stała beczka, pod beczką rowek, aby wsiąkała krew chłopa, co baty brał na beczce, — za wszystko! Potem na klęczkach pana w rękę całował, dziękował za skaranie i już, — z kwitkiem do Żyda, gdzie chłopisko znów za kartkę spijało pańską wódkę zafałszowaną, a potem znowu odrabiało tę wódkę do nowych, świeżych batów.

No, a teraz o paniach, paniusiach ukształconych i gospodyniach ze świętym medalikiem szczerozłotym na piersiach. Takie paniusie — i taki chłop, jak Gruszka!

Wszyscy zebrani doskonale wiedzieli, że Gruszka — to zamówka. Że Bigda nie rad mówić, co zamyśla.

Więc oni też nie radzi mówić o ważnych sprawach. O niczem takiem wcale nie wspominają. Ani

o komasacji, ani o meljoracji, ani o parcelacji. O żadnych zagadnieniach żywotnych. O urzędach ziemskich, komisjach, czy kredytach, — ani słowa. I nie o urodzajach. I nic o służebnościach. Tylko o całej polityce chłopskiej. Że tu trzeba inaczej, od samego początku, — wszystko obsadzić swymi. Od komisarzy do starostów, od starostów do wojewodów, no i co? I ministrów!

Musi być własny rząd, własna rzeczpospolita, bo i tak jest chłopska, choćby nawet bez rządu. A więc musi być rząd!

Gdy te rzeczy słyszał poseł Bigda urastało w nim zaraz coś dziwnego, jakgdyby matejkowskie porywy...

Czerwień, — żyły — i dym potężny i jakieś srogie trony orłami wybijane, a na tych tronach... Wtedy znowu w pamięci, dla poprawienia nerwów, jął wyliczać swe mienie, z przedziwnym żalem najskrytszego uczucia. I patrzył, bardzo uważnie patrzył ze swojej kanapy.

Rozbełkotaną głowę posełka Gruszki złożył se na podołku, wódkę w nią lał, ale mu się widziało co innego. Niby tajne zarzewie władzy: Jak kiedyś dawno, gdy w cukrowni zwalał z wielkich kopic buraki do spławiaka: Ty jesteś burak i ty jesteś, na ziemi tu jesteście. A gdy machnę łopatą, ty zostaniesz tu jeszcze buraku z wierzchu kupy, — ciebie zaś już nie będzie, ty z kraja.

Niepotrzebna łopata teraz. Bandziochy przemysłowe dokładały dość usilnego starania, by się chłopy popiły. Trzymało się to bractwo chłopskie

na krzesłach, czy pod oknem, czyli też pod ścianami, ale już bardzo chwiejne.

Chwiejne, — lecz zachwycone. A niechby tak nie byli zachwyceni?! Kto? Ciarach?! Czy też może Deptuła, — były dyrektor Towarzystwa Kujawy, — który chłopom liche wirówki do izb podrzucał kiedyś, oraz weksle podtykał, do podpisu, zasłonięte, zamiast wyraźnie czy w złotych, — czy w dolarach?!

Poseł Bigda nad butelkami machnął i uciszyło się. Wtedy się zwierzył swym „kolegom", jak braciom. Żeby mu zaufali. Że żąda zupełnych, absolutnych pełnomocnictw w sprawie pertraktowania o owe dwa miljony hektarów. Wypowiedział to krótko, twardo, bez żadnego namysłu.

Posłowie — z rozrzewnienia — aż w bek. I aż ich ogarnęła bardzo swojska a święta rozpacz wiernego posłuszeństwa. Oddali Bigdzie pełnomocnictwo, posełek Gruszka zapragnął pierwszy przyłączyć się co żywo do ogólnej pokory.

Ale cóż? Jako, że stary, czy też, że mu wypadło tak znienacka, — całkiem zwyczajnie zrzygał się Bigdzie na kolana. Bigda wstał, starego nogą z pod stołu odsunął i wyszedł do klozetu, by oczyścić ubranie. Nie zmawiali się wcale, lecz Bigda wiedział, że spotka tu Deptułę, — i spotkał.

Pusto było, służący odszedł. W przegródkach dla siedzących woda głośno chlapała w sedesy.

Myjąc ręce nad obłamaną miednicą, w pobliżu drzwi, tak rozmawiali tutaj, poseł Bigda z Deptułą:

— Parcelować to my będziemy, a nie żadni ziemianie.

Na to Deptuła: — No.
— Z Lachowskim sam pogadam.
Deptuła: — Naturalnie.
Na to znów poseł Bigda: — Zrobić cię po tem wszystkiem — posłem przy Watykanie, — hę?...
— Dobre takie poselstwo.
— Ale nie chcesz?
Deptuła zwrócił swoje matowe czoło, wszelakich świateł spojrzenia pozbawione, ku Bigdzie: — No, bo inni też będą czegoś chcieli. Nie jesteśmy tu jedni...
— Jedni jesteśmy, bo nas tu jest najwięcej. — Rzekłszy, otrząsnął Bigda wodę z palców.
Deptuła otwarł usta, jak człowiek zaskoczony niezwykłem widowiskiem. Nawet w myślach, wobec samego siebie nie zdobyłby się na taką siłę przekonania. I znowu, znowu, jako dawniej, jak codziennie, poczuł dla Bigdy uwielbienie, graniczące już chyba — z nienawiścią.
— Z tobą mówię, jak z nikim, — ciągnął Bigda. — Musimy tu być jedni. — Sapnął przy tem, niby drwal, kiedy łupnie siekierą.
Deptuła przybliżył się troskliwie, aby ucałować przyjaciela. Bigda nadstawił czoła i gdy już wychodzili, powiedział:
— Nie bój się nic, Deptuła, — zobaczysz. — Wdział płaszcz i ani grosza nie dawszy służącemu, wyruszył poseł Bigda ku światłom kolejowego dworca. Nic tak nie utrudniało myśli posła, jak właśnie widok miasta.
Domy i domy, — tak wysokie a głuche zwierciadło marnej postaci ludzkiej. Oglądali się za nim.

Znała go przecież cała Polska. Słyszał za sobą raz po raz: — Poseł Bigda.

Kroczył dalej, przez Nowy świat i plac Trzech Krzyży. Trzy wysokie kopuły kościoła. Nie myślał nic ani o mieście, ani o towarzyszach swoich, których tam już dopatrzy doskonale Deptuła. Szedł prosto naprzód, nie myślący, — aby sobie przez niego mógł swobodnie przepływać wiatr nocy, skrzepiony mrozem od niedalekiej Wisły. Żeby tak przepływało przez głowę i niosło całym światem, a robota na boku zaczeka. Była tu do zrobienia owa reforma rolna.

Owszem.

Ci wszyscy ludzie i sprawy zagmatwane! Ale niechże i takim nocnym światem powieje poprzez myśli.

Gdy tak powieje, — wiesz znowu, że masz swój plan dla wszystkich spraw i ludzi. Który to plan — wyrósł, — sam nie wie kiedy i jest wciąż nowy, a taki sam wyrasta, z każdą nową godziną jeszcze bliższy, choć starszy. Stary — a w każdej chwili wieczyście nieodmienny.

Do zapatrzenia się, do takiego zapatrzenia, — że już nawet nie widać pana plenipotenta Strzęgorza, który tu będzie kluczem do wszystkiego...

Myśli Bigdy, niby fala o kamień uderzały o sprawę Strzęgorza. Lecz zapatrzenie zwyciężyło i tak już szedł znów Bigda przez ulicę Wiejską, gdzie mieli sejm.

Od lewej strony spadały tędy ku Wiśle wielkie ogrody, teraz śniegiem pokryte, puste i głuche,

w pokręconych gałęziach aż ku samemu niebu umartwione.

Sejm i hotel sejmowy dla posłów. Można było z przedsionka na czwarte piętro jechać windą, Bigda jednak wystrzegał się wszelkich tego rodzaju wynalazków. Należało więc obejść przedsionek na parterze, minąć obszerną klatkę windy i dojść do schodów obok wielkiego korytarza, łączącego hotel sejmowy z właściwym gmachem obrad.

Spotkał tu poseł Bigda, ku wielkiemu zdziwieniu swemu gromadkę wystraszonych strażników. Szamotali się we drzwiach, łączących oba gmachy. Nie wiedzieli, czy mają zostać, czy też wracać? Gdyż pies marszałka Stachowskiego, znany, straszny wilk Dżim, zamknięty przez marszałka przypadkowo w gabinecie, a wypuszczony niedawno przez służbę — gonił i szalał teraz po wszystkich ubikacjach sejmowych.

— Nie trzeba było wypuszczać, — rzekł Bigda.

— Kiedy tak strasznie wył, — odpowiedzieli.

— No, to chodźmy, — zawołał poseł.

Ruszyli naprzód, przez długie korytarze. Sale boczne, przedsionki, klatki schodowe pokryte dywanami, cały potężny rozmiar gmachu wypełniony głębią szarych ciemności, zdawał się drżeć w skowycie i szczekaniu.

Pies widać krążył to z prawa, to znów z lewa, dzwoniąc wyraźnie pazurami w marmury.

— Jakby duch potępiony, — płoszyli się strażnicy.

Marszałkowski pies bowiem znany był z swej dzikości, nieraz się rzucał na urzędników sejmu,

a psa leadera Mieniewskiego, Burusia, zagryzł kiedyś na śmierć przy sztachetach sejmowych.

Drzwi jakieś trzasły rozgłośnie, jakby ze szczękiem przerwanego żelastwa.

— Dobra nasza, to się Dżim teraz dobrał do sali sejmowej, — krzyknęli słudzy. Jęli okrążać salę sejmu, pogrążoną w ciemnościach.

Ciemności owe drżały niesamowitym głosem. Pod olbrzymią kopułą szklaną, to przy galerjach, to znów już całkiem nisko, przy mównicy, oświetlonej małemi lampkami rwał się psi jazgot. Sala sejmowa łamała echa na górze, z boku i znów pod galerjami. Sprawiało to wrażenie, jakgdyby puste ławy ryczały same w ciemności.

Bigda wszedł bocznem wejściem głosujących. Pies siedział na miejscu swego pana i stąd z marszałkowskiego fotela wył w głębię amfiteatru obrad. Zobaczywszy ludzi przesadził jednym susem trybunę, poskoczył między ławy, zawrócił i nagle runął posłowi na piersi. Głowa na wysokości głowy, patrzyli sobie w oczy wyraźnem światłem piwnych, przezroczystych źrenic.

Wspaniały wilk zsunął się na podłogę. Jął obwąchiwać buty Bigdy, który tymczasem odpiął rzemień od spodni, schylił się, pogłaskał kark zwierzęcia — i zaczął bić. Długo, cierpliwie, coraz mocniej, straszliwiej, w przerażającem wyciu. Schylony, wobec amfiteatru sejmowego, bijąc miarowo, nieustannie, przypomniał sobie Bigda w zwiewnym odruchu pamięci dwa zdarzenia: Jedno dawne, — jak w lasach ordynackich, po całym dniu rąbania, w zimie, o późnym zmroku rozpłakał się znienacka.

I drugie: że udało mu się dziś znowu nie zapłacić ani za dryndę, ani za wódkę, ani nawet za klozet.

Strażnicy doskoczyli nieśmiało, — że pies będzie miał dość!

Bigda waląc z całej swojej mocy, zaprzeczył głową. Aż nareszcie kopnął psa w brzuch. Zwierzę potoczyło się bezwładnie, pod pierwszą ławkę sejmowej prawicy. Bigda rzekł do strażników:

— No, teraz wszystko z nim już potraficie zrobić.

Wybiegli, uczynili panu posłowi światło na korytarzach. Olbrzymia sala obrad wciąż jeszcze rozbrzmiewała żałosnym psim skowytem. Bigda wracał do sejmowego hotelu ociężale, statecznie i mlaszcząc głośno. Oto z zacisku szczęk puściła mu się dziąsłami krew.

W lakierowanej klatce.

Posiedzenie wyznaczone było na dziesiątą trzydzieści. Pracy w komisjach dziś żadnej. Poseł Bigda mógł spać, ile chciał. Mimo, że po ciężkiem pijaństwie, ocknął się jednak dzisiaj — jak na rozkaz. Nie czuł zmęczenia, lecz jak zawsze, gdy trzeba było załatwić coś ważnego: czuł w sobie miarę, regulującą trwanie każdego ruchu i czynności.

Mył się naprzykład: Po swojemu, syrpiąc z miednicy a potem, wodą na dłonie prychniętą, twarz opłukując. Dlaczego dziś powtórzył tę czynność trzy razy a nie pięć? Dlaczego tyle wycierał się ręcznikiem a nie dłużej? Ponieważ czuł dziś w sobie miarę czasu.

Przeszedł z hotelu do gmachu posiedzeń, niby głuchy na wszystko — przecież czujny. Postanowił śniadania nie jeść i czekać aż przypyta się jaki prowincjonał, czy też może wyborca z okręgu? Wtedy i tak pójdą na herbatę, ale za obu zapłaci już ów obcy. Wedle szklanej sali bufetu wciągnął Bigda z lubością zapachy śniadaniowe: bigos, kiełbasa, kawa. Zwłaszcza — kawa!

Zaszedł do klubu. Nowego nic. Gazety: Mętne plotki o wczorajszem posiedzeniu.

Na tablicy kredą wypisane terminy komisyj. Sekretarka oświadczyła z nad maszyny, że pan poseł Deptuła telefonował i niedługo przyjedzie do sejmu.

No, ten jeden przynajmniej!

Bigda stanął przed oknem, nie w pierwszem pomieszczeniu klubu, lecz w ostatniem, gdzie obradowali wczoraj a jeszcze dzisiaj rano prószył z firanek ostry dym papierosów. Na świecie deszcz. Śliskość mokra przeglądała się wszędzie, w koleinach rozjeżdżonej alei parkowej i na skrętach gałęzi klonów i na wygiętych dachach sejmowej przybudówki.

Bigda zawsze czuł tyle serca dla Deptuły! W onej ślizgości świata jedyne wspomożenie czerpał z pobłażliwych myśli o swym bezczelnym przyjacielu. Oto jest współpracownik! No, — łotr, pijak, kobieciarz. Opiłby się i obżarł wszystkiego aż do utraty zmysłów, — zawsze. Ale głowa! Podstępna, chłopska głowa — a tu znów w Bigdzie chłopskie serce, kamienne. Podobało się Bigdzie, że cwaną głowę Deptuły umiał tak doskonale podtrzymać własnym charakterem. Gdyby nie był sobą, — pozostałby Deptułą. Razem — mogą zwyciężyć wszystko! Nagle, — chociaż się nic nie stało, Bigda opuścił klub. Wewnętrzna miara przekręciła tajemniczą sprężynę terminu... Teraz!!

Poszedł wzdłuż korytarza, gdzie się mieściły lokale poszczególnych stronnictw. Gdy zdobędziemy władzę, — mówił to kiedyś Deptule, — nazwy tych klubów zostaną nagrobkami. Nie myślał teraz o tem. Szedł ciężko, krok za krokiem, wsłuchany w własne

zapatrzenie... Jakgdyby rzeczywiście mógł człowiek słuchać uchem bezszelestnych spraw oka...

Gdy minął drzwi z napisem klubu ukraińskiego, gdy się już w głębi lakierowanego korytarza ukazał piętrowy hall, łączący różne klatki schodowe, uświadomił sobie poseł Bigda, że to się stanie zaraz tutaj w tym hallu... Ledwie zdążył pomyśleć, kiedy na środku przeciwległego korytarza ukazał się — Lachowski. Tak być musiało, ma się rozumieć, a na cóż pracowała miara czasu i wszystkie wieki, baty i wszystkie głodne brzuchy i ten niewywieziony gnój chłopskiego życia!

Pan Lachowski. Ordynat, hrabia. August hrabia Lachowski. Ten właśnie siwy człowiek w popielatem ubraniu, z fjoletową krawatką, z perłą wpiętą w krawatkę.

Bigda widział jak najdokładniej perłę i każdy szew ubrania. Mały, złoty łańcuszek na piersi ordynata, policzki spadające w miękkich fałdach, każde draśnięcie twarzy po świeżem ogoleniu.

O! Ta twarz, pamiętana własnem, chłopskiem życiem od dzieciństwa, aż dotąd i pewno jeszcze w trumnie kiedyś i z pewnością przez całą wieczność zagrobowych światów. To jest ICH twarz, Lachowskich, rzeźbiona w kasetonach nadsieni Lachowa, na ratuszu, w katedrze, na nagrobkach i w nawach, rzeźbiona w starych bramach wszystkich odwiecznych domów Lachowa, ta sama zawsze, jakoże takim samym herbem opatrzona, — chociażby poszczególnie była najpospolitszą gębą.

Tę twarz Lachowskich czuł w sobie Bigda, kiedy mu dzieci umierały, — czterech synów pogrze-

bał. A dzieci ordynata żyły wszystkie, czterech synów, pięć córek.

Pan Lachowski, ojciec tego zdrowego potomstwa, szedł z przeciwka w sztywnym połysku lakierowanych ścian. Już dawno spostrzegł Bigdę: Dostrzegł go hrabia, mijając salę biura stenografów. Wtedy to, obsypany miałkim stukotem maszyn do pisania, — obciągnął kamizelkę. Aby się poczuć we własnem ciele pewniej i konkretniej...

Jeszcze kilka lat temu dość chętnie opowiadał o Bigdzie na polowaniach. W sprawie chłopów z Lachowszczyzny można było mówić ciekawe rzeczy na temat rasy i czystości pierwiastka etnicznego. Praszczur, hetman Lachowski obsadził swoje ziemie jeńcami wojennymi. Turkami, tatarami. Zmieszało się to z tubylczą krwią i wyrosła ta rasa, — bardzo dziwna, szczególna i wielce osobliwa...

Gdy później Bigda został leaderem partji, Lachowski przestał opowiadać a nawet twierdził, iż nie wie z jakich stron ordynacji i z jakich ludzi pochodzi dzisiejszy poseł Bigda.

Skłonili się, dzieliła ich tylko przestrzeń piętnastu kroków.

Lachowski stanął u brzegu hallu, czując nieodwołalnie, że Bigda, w długich butach, w koszuli na niciany guzik zapinanej, bez krawatki, jakowyś syn pośredni tej samej ziemi, uczłowieczona ciasność, — wtargnie poprostu w system bycia Augusta Lachowskiego, a nawet całej rodziny, całej sfery Lachowskich!

Ordynat doznał — jakby uczuć ojcostwa, połączonego z najwyższem obrzydzeniem. Wydało się

hrabiemu, że nie władnie postawą własną, która na widok Bigdy zmiękła i poprostu — rozwiewa się w przestrzeni.

Już go schwyciły gorące dłonie Bigdy.

Było to może trochę nad siły ludzkie? Tak blisko siebie stać, czuć tu pomiędzy sobą tyle różnego czasu, tyle różnej przestrzeni i tak właśnie na siebie spozierać: Ślepotą woli, na której dnie spoczywa jasność nienawistna.

Pierwszy rozpoczął mówić ordynat: o wiośnie, że była, ale się znów cofnęła i coś jeszcze na temat pierwszych wiosennych robót. Mówił jąkając się.

Bigda patrzył na ordynata, — jako na widok znany bardzo, lecz dawno już nieoglądany.

— Daliście, panie hrabio, jako ziemianie, — rzekł nagle, — dwa miljony hektarów, aby złamać opór chłopów. Ale to tak nie będzie. Specjalnie panu — na nic się to nie przyda. Nie wybrnie pan bez pożyczki zagranicznych banków. Na to zaś trzeba skończyć z serwitutami. Potem uzyskać rozporządzenie Prezydenta na gwarancję dla tej pożyczki zagranicznej — ze strony Banku Rolnego. Jakże to chcecie zrobić, — panie pośle, — bez większości?

Hrabia Lachowski ustąpił o krok w tył. Jakże się to stać mogło, że się znalazł tu sam, bez żadnej służby i pomocy? Gdzie jest znowu ten Strzęgorz? Cóż prostszego, jak odwrócić głowę i powiedzieć: — Panie dyrektorze to do pana.

Słowa te miały w życiu ordynata Lachowskiego wyżłobioną doskonale dróżkę, po której przesuwały się z wyśmienitą łatwością.

— Dwa miljony hektarów, — rzekł wreszcie hrabia, — to przecież bardzo dużo.

I oto stało się, czego się bał od samego początku rozmowy. Poseł Bigda przytrzymał go, lecz nie za ręce, ale powyżej łokci. Olbrzymie dłonie chłopa grzały, — cóż innego mogło jeszcze nagrzewać tak nieznośnie? Borowinowy okład! Przypomniała się panu ordynatowi kuracja borowinowa w Marienbadzie, jak pół godziny dziennie trzymał stopy w małej wanience, pełnej po brzegi takiego właśnie — prażącego ciepła Bigdy.

Zostawiwszy w Marienbadzie rodzinę, przyjechał później do Vichy i tam leczył wątrobę. Najmilsze były ranki: po szklaneczce Chaumel'u, lekkie śniadanie, widok na ogromne platany, — słońce. I ten wyborny żydek warszawski, operator odcisków! Mały, cichy żydeczek tak delikatnie pracujący ostremi narzędziami.

— Panie ordynacie, — mówił Bigda ochrypłym głosem, pełnym zda się oddechu zwierząt, wiatru i przestrzeni, — dwa miljony hektarów to mało. Dwa miljony hektarów nie utworzy większości. No, a większość, — to pożyczka dla pana. Bez takiej zagranicznej pożyczki nie wybrnie pan. Lepiej chodź pan odrazu z nami — ideowo.

Bigda zacisnął szczęki. Lachowski, chociaż hrabia, nie mógł przecież być tak dalece głupim, by nie rozumiał znaczenia słowa „ideowo", wypowiedzianego tutaj właśnie, w sejmie.

Od dwóch lat żuł poseł Bigda ten ideowy plan w swych twardych szczękach: dwa miljony odrzucić, — z ziemiaństwem wojna. Najmądrzejszych

oszczędzić, najbogatszym obiecać spłatę. Takim sposobem rozbić ziemian, utworzyć całkiem nową większość dla reformy rolnej, potem wziąć rząd, ordynatowi uchwalić pożyczki i niech ich zagranica nie pokryje. Wyrwać ziemianom trzon główny, sami się potem ofiarują. A wtedy parcelować, rozkupić między sobą, między chłopami wszystko, — tylko między którymi chłopami?!

Między takimi, coby byli jak on, Bigda: od jednego morga, szli, — jak Bigda, — do trzech morgów poprzez ożenek. Za tysiące wyborczych głosów dorobili się z czasem aż do czterdziestu morgów. A teraz gdy się uda kraj cały politycznie okiełznać dorobią się — tysiąca morgów!

Od tysiąca jednego, — do tysiąca czwartego, — aż nim siepnęło, całym Bigdą i jeszcze czulszą żałością przejęła go ta nicość ordynacka.

Hrabia Lachowski grzebał tymczasem przy swym herbowym zegareczku w kieszonce, ogromnie wystraszony.

Już się bowiem znaleźli świadkowie tej rozmowy, której nikt nie ustalał przedtem i której nawet Strzęgorz wcale nie przewidywał. Już widać było na galerji hallu niektórych dziennikarzy. Patrzyli zgóry na dół, niby do wnętrza lakierowanej klatki, w której zamknięte stoją naprzeciw siebie tak niezwykłe zwierzęta: poseł Bigda Mateusz i ordynat, August hrabia Lachowski.

Już zwiedziały się poszczególne stronnictwa. Puste dotychczas korytarze przebiegać jęli raz po raz mniej ważni posłowie z przeróżnych klubów. Wydarzenie było zbyt ważne! Przy tak wielkiem napię-

ciu, gdy los większości, oraz całego rządu waha się na cieniutkim włoseczku ustawy — dwaj wrogowie, Bigda i ordynat Lachowski, — rozmawiający publicznie w hallu głównym!!

Takowy poseł drobny przemykał szybko pod ścianą korytarza, szurał nogami, okrążał zdala obu potentatów, jak szczur, któryby spostrzegł dwa buldogi na środku podwórza. Okrążając tak dygnitarzy, każdy z tych małych posłów oświecał ich spojrzeniem: Łapczywem, pałającem.

Była to dla hrabiego Lachowskiego sytuacja zbyt przykra. Doznawał wrażenia, że w gorącem objęciu dłoni Bigdy — ewaporuje. Ewaporuje całkowicie, zamienia się w bezbarwną mgłę, w przezroczyste powietrze! W powietrze, które teraz nasyca swym oddechem dowolnie — taki Bigda. Ordynat uśmiechnął się z wysiłkiem i rzekł: — A może jednak wkońcu dogadamy się jakoś po sąsiedzku?

— Któż tu komu, — odpowiedział odrazu Bigda, — nie był zawsze dobrym sąsiadem, choć zawsze jeden drugiemu serce z trzewiów wydzierał?!

Ordynat poczuł — znane dzwonienie w uszach. Lekarze zawsze twierdzili, że to anemja. Lachowski jednak nazywał ów szum w uszach — głosem przebaczenia historji. Głosu tego doświadczał zawsze podczas przykrzejszych chwil pracy publicznej.

Bigda wypuścił ze swych ogromnych dłoni cienkie łokcie ordynata, który z niemałą ulgą spostrzegł za sobą marszałka sejmu Stachowskiego. Za marszałkiem w stosownem oddaleniu pomykali nieśmiało czterej posłowie prawicowi. Choć się już szyło po wszystkich salach dzwonienie uporczywe o rozpo-

czętem posiedzeniu, — sensacja gromadziła najważniejszych głowaczów tu właśnie.

Takie spotkanie!

Marszałek sejmu patrzył przed siebie z pod mięsistych, zmarszczonych powiek. Zatrzymał się pośrodku, pomiędzy Bigdą a Lachowskim, nie mogąc sobie znaleźć dość miejsca między nimi.

Pan marszałek Stachowski tem się właśnie odznaczał, że nigdy w żadnem zebraniu nie mógł znaleźć dla siebie dość miejsca, oraz, że mówił zawsze pełnym głosem, bez względu na poufność.

— Jak widzę — zgoda. — Rzeczone grubym basem marszałka słowo zgoda, — załomotało aż pod szybami dachu.

— Jak widzę, — mówił pan marszałek Stachowski, — uda się jednak uniknąć przesilenia. Myślałem o tem wiele, — nawet dzisiejszej nocy. Moment psychologiczny nie przezwycięży nigdy momentów gospodarczych. To fakt. Ani też nie stać nas na tak olbrzymią zatratę kapitału, jaką musi za sobą pociągnąć rozdrobnienie wielkich warsztatów pracy rolniczej. Kolejność zagadnienia musi być uwzględniona. Dzisiaj nie wiemy nawet, co mamy do podziału. Jedna trzecia obszaru państwa woła o meljorację. A jeszcze przedtem wykończyć trzeba w Konstytucji to wszystko, co w przyszłości zapobiec zdoła nowemu rozdrabnianiu. Ja to ciągle powtarzam, że bez ustawy o majoratach, o chłopskich majoratach szkoda wszelkiej roboty. Chłopi się znów podzielą i znów za lat dwadzieścia stanie pan, panie Bigda, w dzisiejszym punkcie wyjścia. — Marszałek sejmu wyłaniał z siebie słowa równo i obo-

jętnie, jak maszyna. Widoczne było, że je powtarzał wiele tysięcy razy. Skończywszy ani spojrzał na rozmówców.

— Chłopi się znów podzielą? Zakazać się im rodzić! — Albo nakażcie księżom, by nauczali z ambon o środkach ochronnych przeciwko urodzeniom. Panowie, którzy siedzieli nad nową pono ustawą małżeńską, która już tylko patrzeć, jak wpłynie do sejmu — przebąkują dosyć wyraźnie, że trzeba będzie — zatamować rodzenie!

Pan marszałek sejmu zrozumiał:—niema zgody. Spojrzał na Lachowskiego, pełen zdziwienia i wyrzutu, poczem z groźnym uśmiechem do Bigdy: — Ładnie pan oporządził mego psa. Odbił mu pan wątrobę.

— Paskiem?

— Może butem, nie paskiem.

Hrabia nic nie rozumiał.

A Bigda, nie tłumacząc: — Żeby pan widział, panie marszałku, tego psa na fotelu marszałkowskim, jak tam wył, jak skowyczał.

Przerwali, zbliżał się bowiem pan poseł Mieniewski.

Nikt nie umiał tak kroczyć przez lokale sejmowe, jak leader socjalistów. Cała jego postawa, wysoka, choć cokolwiek naprzód pochylona, nacechowana była jedną tylko intencją: nie okazać wyższości. Jakgdyby przedtem wszystko złożyło mu już hołd a teraz leader, przechodząc mimo, oddaje dawno zaległe ukłony. Oddaje je postacią, głową bowiem prosto na pochylonych łopatkach osadzona, nie bierze w tej koniecznej ceremonji żadnego udziału.

Blada, biała, śpiczasta twarz posła Mieniewskiego zdawała się wpatrywać zawsze w jakieś doniosłe, tragiczne wydarzenie. Tak samo teraz właśnie wpatrzyła się twarz owa w wydarzenie niezwykłe: ta groteskowa grupa złożona z matadorów Lachowskiego, marszałka i Bigdy!

To Koza, młody, młodociany poseł Koza doniósł panu posłowi Mieniewskiemu, że w hallu głównym zebrali się. Jeżeli w jednem miejscu zebrało się trzech najważniejszych, — musiał przybyć i czwarty. Leader ruszył ze swego klubu na czele Kozy. Na czele a zarazem pospołu. Szedł bowiem pierwszy, lewą jednak ręką ciągnął Kozę za rękaw, każdym ruchem postaci własnej ośmielając młodszego kolegę.

Jakże w porę wypadło leaderowi Mieniewskiemu to drobne wydarzenie! Od czasu, kiedy stanął na czele swego Banku Robotniczego musiał unikać wszystkich i to nawet najbliższych towarzyszy, przyjaciół. Natarczywość, jaką okazywali wobec wpływowego leadera była błahą igraszką wobec natarczywej czołobitności, której doświadczał, zostawszy— „tym prezesem". Jako prezes — właśnie odmawiał był wsparcia którejś z łajdackich kooperatyw Drążka; gdy oto zjawia się ten poczciwina, Koza, że tamci coś spiskują!

kuję wam serdecznie towarzyszu pośle, — oraz uśmiechnął się łaskawie do żołnierza ze Straży Marszałkowskiej.

— Znalazłszy się już w hallu rzekł leader, — dzię-

Przy każdych drzwiach stał taki żołnierz.

Poseł Mieniewski czuł potrzebę uśmiechu w sejmie, — chyba na każdym kroku. Kochał ten gmach, ten dom straszliwej walki, — od której, jakże często drżały wszystkie wiązania kraju, lecz nikomu nie spadł ostatecznie ani jeden włos z głowy.

Żołnierze Straży Marszałkowskiej odziani byli w starodawne mundury: granatowe, na piersiach zaś rabaty z amarantowego sukna. Wszyscy zawsze w skórzanych, białych rękawiczkach. A nie dojdzie do tego nigdy, by się musieli bić! Żołnierstwo, strażowanie, — jakby tradycja dawnych losów nieszczęśliwej ludzkości, kwitnąca barwą kwiatu, lecz pozbawiona wreszcie niszczących swych przeznaczeń.

Leader Mieniewski wolał się chyba uśmiechnąć do gamonia w mundurze, niż trzem patentowanym prowodyrom i drabom.

Tak właśnie o nich myślał: ten przebiegły drab, Bigda! Walczyli teraz z sobą o fornali. Można było owemi fornalami dorżnąć Bigdę z łatwością. Bigdowscy chłopi słyszeć nie chcieli o sprawie tych sług „urodzonych", tymczasem ludzie Mieniewskiego organizowali już całe fornalstwo na zasadzie Związków Zawodowych. A gdzie Związek — tam strejk. Gdzie Związek, — tam zaraz Kasa Chorych. Fundusz emerytalny. Ubezpieczenia.

Leader westchnął swobodnie: — czyż w obronie tych najbiedniejszych nie miałby prawa socjalista przejść każdej chwili do zasadniczej opozycji?

Oto pierwszy prowodyr, — Bigda.

A ten opasły marszałek Stachowski, zbrodniczy wstecznik, bigot opiekły, właściciel ziemski, adwo-

kat ongiś, dziś główny akcjonarjusz potężnego hotelu Excelsior.

Poseł Mieniewski miał pewną litość dla marszałka, ponieważ ten na wysokim urzędzie znosił i cierpiał wiele z powodu kochanki. Była to jakaś drugorzędna śpiewaczka. Mezzo sopran — czy alt. Marszałek włóczył się za nią na wszystkie koncerty i musiał płacić klakę w operze, gdy tam alt występował.

Bigda, — stary idjota Stachowski; i ten trzeci, ordynat! Poseł Mieniewski nie mógł się nigdy przemóc: żywił prawdziwy podziw dla hrabiego.

Ile razy spotykał ordynata doznawał najmilszego a jakże przytem zdradliwego olśnienia: że samo życie wyrównywało sprawę walki klasowej najlepiej. Oto rozkoszny, skończenie głupi arystokrata usycha i zamiera, tonie w bezmiernych długach bezmiernego bogactwa, a jest tak mały pośród tego wszystkiego, — że przestaje być winny...

I wzrusza, — wzrusza, — wzrusza.

Teraz kiedy leader tyle miał do czynienia z pieniędzmi, skłonny był do tak dziwnych, dwuznacznych zachwytów, sięgających ku jakiejś drugiej, nieznanej stronie życia: do zachwytów dla tej dziedziny spraw i istnienia, w której prawda rozpuszczała się bez śladu w nieprawdzie. Z tem surowszym wyrazem twarzy witając się, zawołał: — A cóż to, jakiś improwizowany tutaj w hallu konwent seniorów dzisiaj?!

Z wysokiej balustrady zwisało kilkudziesięciu dziennikarzy.

Przed lożą Rządu zatrzymywali się raz wraz ministrowie, podsekretarze stanu, mijając zdaleka i ostrożnie ważną naradę najwybitniejszych mężów. Rozgłośny dzwonek tętnił po całym gmachu. Ze wszystkich skrytek i wmurowanych budek sypał się wartki siew maszyn do pisania. Drzwi boczne, prowadzące do sali sejmowej, zapadały z cichym wojłokowym szelestem za posłami.

— Tak, — przytwierdził Stachowski, — niby konwent senjorów, który zagraża państwu nowem przesileniem.

Ani cienia dyskrecji: słowo „przesileniem" wyrzucone z ust marszałka, załomotało echem o filary.

— Przesileniem?... — Mieniewskiego drażniła już oddawna ta nieszczęsna, nieszczęsna sprawa podziału ziemi. Socjaliści nie mieli przecież nigdzie, żadnej ziemi. On sam kupił sobie niedawno drobiazg, raczej aby dogodzić pani Annie Chylickiej, — parę morgów, troszeczkę piasku pod Warszawą, a przecież tyle miał z tem kłopotu. Nic tam nie było jeszcze — a już ciągle coś kradli!

Do tego sprawa tych majoratów chłopskich! Zwiększenie podaży roboczych rąk. Odpływ ze wsi do miasta. Obniżka płac! No, bo gdzież się ci ludzie podzieją?! W takich razach stawał leader Mieniewski zawsze na stanowisku romantyczno-straceńczem, jakowychś obcych sił i kataklizmów.

— Przestańcie już, kochani, — rzekł, — kłócić się o tę ziemię. I tak zaleje nas amerykańskie zboże. Ameryka, — Brazylja, — Argentyna! Żadne cła nie pomogą i żadne premje, — Leader przerwał w pół zdania. Gdyż słowo — przesilenie, — z ust mar-

szałka, jak z rury głębokiej wypchnięte aż pod szklany dach hallu, już żyć zaczęło wszędzie.

Wojłokowe drzwi jęły wywiewać posłów z powrotem do przedsionków.

Wianuszek dziennikarzy uplótł się znacznie szerzej na galerji. Typy z agencyj prasowych dopadły nagle telefonicznych budek.

Kto znał choć trochę sejm, ten wiedział, że się tu właśnie teraz wytwarza coś nowego. Ze wszystkich stron chód ludzki przesiany rytmem maszynowego pisma dążył do środka hallu.

— Ależ mówiliśmy, — oczy ordynata Lachowskiego zalśniły nagle dziecinną bohaterską radością, — o psie pana marszałka, Dżimie.

— O Dżimie? — syczał w rosnącym zgiełku poseł Mieniewski, — o tym Dżimie, który mego Burusia na kawałki rozerwał! O tym Dżimie!! —

Niepodobna było dłużej tak stać. Lada chwila mógł wtargnąć pomiędzy nich ktoś obcy. Niepodobna, by usłyszał, że mówią o Dżimie. Niepodobna też, aby usłyszał, że nie mówią o tem właśnie, czego wygląda cały sejm, cały kraj, a czego boją się tu poruszać.

Jeżeli mi nie wesprzesz bezrobotnych — wyrwę z pod ciebie chłopów! — Cóż innego zamknęły w ostrych fałdach wąziutkie, starcze wargi Mieniewskiego.

Jeżeli nie dasz ziemi, — zgnoję ci robotników,— zdały się mówić zimne spojrzenia Bigdy.

Jeżeli się nie cofniesz jeden z drugim, głowy wam krzyżem świętym porozbijam! — Wiedziano przecież wszędzie, że marszałek Stachowski czeka

już tylko chwili, by wyciągnąć na plenum sprawę zawieszenia krzyża w sejmowej sali.

Pełni wzajemnej nienawiści zbliżyli się ku sobie, niby w naradzie ważnej, wspólnej i zgodnej. Głowy naprzeciw wyciągnięte, w oczach bezmiar pogardy a wargi roześmiane. Lecz za wargami zęby!

— Jest nareszcie ten Strzęgorz, — krzyknął nagle Lachowski.

Jedyny człowiek, plenipotent, kresowiec, prawnik, były żołnierz, zarazem poseł na sejm i doskonały znawca wszelkich handlowych spraw!

Strzęgorz skłonił się panom, przełożył teczkę z jednej ręki do drugiej i ledwie zdołał przybyciem swem ogrzać nieco tych ludzi.

To bowiem była kardynalna właściwość Strzęgorza. Oddechem swym, pośpiechem, barwą skóry, uchwytem rąk tak płynnych, połyskiem oczu, zębów, włosów, paznogci, spinek i trzewików — ogrzać swego bliźniego.

Ledwie ich ogrzał, gdy poseł Bigda cofnął się pod drzwi loży rządowej i jął udawać Dżima. Jak to Dżim wył na marszałkowskim fotelu.

Żyły Bigdy nabrzmiały na skroniach, twarz z żółtej stała się cynobrową a piwne oczy zabłysły przezroczystem światłem.

Czekali, póki skończy. Nie kończył. Skuczenie wysnuwało się z krtani ciche, lecz przenikliwe.

— Przestań pan, — huknął głośno marszałek.— Co to ma znaczyć, panie pośle?!

— Panie marszałku!—syknął Bigda,—myślę, że Dżim już wiedział wczoraj, co nam proponujecie,

nam, biednym chłopskim karłom. I dlatego tak skuczał...

Wszyscy ludzie pomniejsi, cały poselski miał podsunął się półkolem. W wejściu na salę zatrzymał się sam biskup Bokaniewicz w fioletowej jarmułce. Strażnicy marszałkowscy wystąpili o parę kroków naprzód. Na pierwszem piętrze urwał się nagle głos maszyn do pisania. Na schodach, pomiędzy sejmem a senatem zadudniły rozgłośnie kroki dziennikarzy.

— Wypraszam sobie, — krzyknął marszałek donośnym basem.

I znów cichy, lecz przenikliwy skowyt Bigdy, doskonale udany, jak rannego zwierzęcia, — przejmujący do szpiku kości.

— Wypraszam sobie, — krzyczał marszałek, krocząc ku biskupowi.

Poseł Mieniewski wyciągnął dłoń do Bigdy. Z lewego korytarza nadbiegli chłopi, uszczęśliwieni, dumni: Ciarach, Kortys, posełek Gruszka, nawet stary Dolański. Z senackich schodów zbiegał rój dziennikarzy, już komentując tak ogromnie wymowną zapowiedź przesilenia. Poskoczyli za Bigdą, który się przedarł do sali obrad, otwierając drzwi całym sobą, — że omal z zawiasów nie wypadły.

W głuchym łomocie owych drzwi zawołał pan ordynat do Strzęgorza: — Ach panie, drogi panie, tego już Polska nasza nie wytrzyma!!

— Niech się pan hrabia nie przejmuje. Niech pan pomyśli także o wieczorze dzisiejszym. Czekają pana obowiązki gospodarza.

— Gospodarza? — Ordynat powtórzył po raz drugi: — Tego już Polska nasza nie wytrzyma.

Hall opustoszał, posłowie, leaderzy i jacyś urzędnicy i jeszcze jakieś zagnane skryby, wszystko to wpadło za szklane drzwi w stronę sali posiedzeń.

Widać stąd było wnętrze owej sali: nad powierzchnią lakierowanych ławek w złotawo-rudem świetle tkwiły ciemne sylwety posłów, jakgdyby kupki wyrobionego torfu nad zmarzniętą powierzchnią bagna.

— Gospodarza?! Dobryś pan sobie! Po tem wszystkiem? Ja nie mam na to. Na nic nie mam. A równocześnie, drogi panie, pakuje mnie pan w te nasze nowe tak ogromne przemysły!

Pan Strzęgorz wiedział, iż nie można zostawiać hrabiego w takiem zdenerwowaniu. Przeprowadził więc swego zwierzchnika do lokalów Klubu Narodowego. Tu, wszechstronnym połyskiem izolował od otoczenia, mówiąc właśnie o „przemysłach".

— Żadna reforma nie poważy się zburzyć takich warsztatów! — Prawił to wszystko z lekką matową chrypką.

Ten smagły człowiek o niebieskich oczach i orlim nosie wodza, miał zawsze przemiłą, rozgrymaszoną, jakby kobiecą chrypkę.

Obciągnąwszy na sobie futro spytał ordynat swego plenipotenta: — No, dobrze, dobrze... Ale, czy sądzisz pan, że są istotnie ludzie na świecie, którzy nie wierzą w Boga? Bo jeśli taki Bigda mógł odrzucić dwa miljony hektarów, — to już chyba niema Boga na świecie!

W sprawach wiary nie należałoby się możc ucie-

kać do pomocy Strzęgorza? Kwestja Boga jest zbyt osobistą. Tak!

— Zostawiam panu mój samochód, — rzekł hrabia już na schodach.

— Ale niechże się pan ordynat zapnie, bo powietrze zdradliwe dzisiaj!

Powietrze dziś zdradliwe, — bardzo zdradliwe, lepiej było zostawić maszynę, aby Strzęgorz drugiej nie wzywał z garażu. — Oszczędniej. — Pożyczka czterech miljonów dolarów, — ile to mówił Strzęgorz? — czterech, — pięciu?... Pożyczka nie da się przeprowadzić!

Krocząc ulicą Matejki ku drzewkom Alei Ujazdowskiej, oraz pałacom, na tle których te właśnie drzewka rozpinały czarne gałęzie, — nie mógł się hrabia oprzeć bolesnej myśli: że jest korkiem wtłoczonym w szyjkę jakiejś idealnej butelki; zdrowym i doskonałym korkiem przez który prześwidrował się nawskroś, — przez całe ciało, materję, system, istność i sferę całą Augusta Lachowskiego, — ten właśnie Bigda. Doznawszy tak dziwnego wrażenia, ujrzał ordynat Lachowski, że czarne gałęzie drzewek, drżące na tle siwego pałacyku Alei obrzeża cieniutki rąbek słońca. Ów rąbek przypomniał hrabiemu Lachowskiemu, że ulica Matejki zwała się ongiś Instytutową, zapewne z powodu gmachu sejmowego, który był dawniej, za czasów rosyjskich Instytutem Maryjskim. Dla panien.

Na tę myśl plusło coś w głębiach pamięci ordynata. Rozwarły się jej nieistotne a tak właściwe brzegi, okalając lube wspomnienie młodej, pięknej kobiety. Panny, która już dawno nie żyje, a kiedyś

biegała tu, na drugiem piętrze, od frontu, dokoła stołu, drocząc się z białym foksem. Istota ta umarła zaraz po operacji, której poddała się, nie chcąc mieć nielegalnego dziecka — z ordynatem Lachowskim.

Rzadko myślał o tem wydarzeniu i czegóż trzeba było, aby je tu z przeszłości wywołać niespodzianie? Słońca na czarnych gałęziach, — przygody z psem marszałka, — czy wstrętnych wrzasków Bigdy? August hrabia Lachowski wsiadł do tramwaju.

Oszczędność!

Lubił, szanował i uwielbiał oszczędność. Czyż nie oszczędzał mydła, wody w kranach, czyż nie wyciskał, — że mu się przy tem często paznogcie łamały, — tubki z pastą do zębów? Czyż zawsze czujnie za sobą nie zakręcał elektrycznych kontaktów? Nie dzielił chustek do nosa na świeże i zużyte, które potem „dobrudzał" w futrze? Czyż nie oszczędzał czasu wszędzie na każdym kroku?

Tak, Strzęgorz będzie jeździł samochodem, a biura ordynacji ogrzane będą świetnie centralnem ogrzewaniem, a dyrektorzy lasów, archiwów, administracji, cukrowni, gorzelń zajeżdżać będą najlepsze pary koni, a chłopi rąbać będą i kraść cały drzewostan!.... Ordynat, chociaż daje to wszystko, — będzie musiał odmawiać sobie wszystkich najmilszych rzeczy. To jest — arystokracja, posiadająca w sobie stopnie hierarchji boskiej.

Ordynacja — jak wszechświat.

A ordynat?

Bóg sam też nie używa, — chociaż wszystko sam stworzył!

Lecz znów plusnęło w cichych toniach pamięci: — Bo nie chciała mieć dziecka z Lachowskim... Pamiętał doskonale zapach, gest, oraz skórę tej kobiety.

Coprawda i inne skóry innych kobiet pamiętał doskonale. Lecz nie o to chodziło. Chodziło tu o życie. Niespodziane i nowe. O nowy, tak przerażony blask w oczach niewinnej kobiety, która poczuła nagle, że ma zostać matką. O blasku tym marzył ordynat zawsze, w czasie wszystkich swych przygód, oraz jak długo jeszcze własna żona mogła zachodzić w ciążę. Zdziwiło Lachowskiego, że takie sprawy rozważa tu w tramwaju. Zawsze rozważał takie sprawy przypadkowo. W tramwaju, czy jako poseł pełnomocny podczas przyjęć, na ślubie córki najstarszej w Lourdes, czy podczas ślubowania w sejmie. Ta pamięć ludzka! Podsuwa zawsze człowiekowi nieznaną jego twarz!

Poodal odwiecznego pałacu Lachowskich otoczonego zewsząd dzielnicą żydowską kończyła się już łaskawa dowolność myśli ordynata. Wracać należało w domowe progi z godnością i spokojem.

Wszyscy inni wielmoże pozbyli się już dawno pałaców w tej dzielnicy, którą teraz zalali żydzi. Ale nie Lachowscy.

Ordynat minął dostojnie bramę sztachetów, brukowisko podwórza, wielki podjazd pałacu, otworzył drzwi wejściowe i we wspaniałym przedsionku ziewnął z nudów. Tak dobrze wiedział tu o wszystkiem i tak dalece wszystko tu było zawsze takie same!

Podczas deseru w pustej starej jadalni przy-

pomniał sobie ordynat Lachowski, — ta pamięć ludzka, — że myśl o Bogu nawiedzała go zawsze przy odmowie pieniędzy. Dlaczego?

Chyba dlatego, że brak pieniędzy i kłopoty przyczyniają się zawsze do pogłębienia natury ludzkiej.

Odczuł to lepiej w biurach ordynacji.

Były nagrzane, niskie, o kratowanych, starych oknach, wychodzących na ogród. Pracowano tu pilnie, pan Strzęgorz bowiem stajloryzował wszystko od strychów aż do piwnic.

Hrabia Lachowski nie czynił nigdy uwag. Zjawiał się, siadał obok, — nie wolno było urzędnikom w czasie pracy witać ordynata wstawaniem z miejsc,— przechodził dalej, podziwiając tę całą pracę, która wkońcu obróci się na marne.

Tyle przeróżnych ordynacyjnych ustaw, statutów i tradycyj! Tradycja zaś, uszanowana w pełni, to właśnie tak, jak tutaj: Wszystko, co było dobre—do zguby wkońcu wiedzie.

Odwrócił głowę od olbrzymich wykresów ziemi ornej i lasów, stawów, łąk, serwitutów.

Dobrnąwszy wreszcie do ulubionej osobistej pracowni, zapalił fajkę: z poczuciem, że go zdradzą wszyscy. Odejdą gdzieś, wykruszą się, rozlecą! I Strzęgorz i Stachowski i biskupi, prawnicy i wszyscy ci zelanci. Tylko jeden zostanie: Bigda!! Korkociąg, przewiercony boleśnie przez tak szlachetne, szlachetne ciało korka.

Bigda, — wierny następca, obrzydły odkupiciel przestałego już czasu, — obrzydły pogrobowiec tra-

dycji, — wyrodny syn, rozpaczą ojcowskiego serca tak długo odsuwany.

Hrabia Lachowski pochylił się nad biurkiem, na którem miał trojakiego rodzaju prace do wyboru: Rodowody swych koni. Dane daniny leśnej, przeznaczonych na wyrąb działek i nowych zasadzonych. Wreszcie, — pracę dla swej najmłodszej córki a więc wyciągi najwłaściwszym czynione skrótem z angielskiego leksykonu. Wybrał tę ostatnią robotę.

Pracowało mu się przyjemnie, tem bardziej, że w gruncie rzeczy całkiem niepotrzebnie. Ewunia znała świetnie angielski. Pocóż więc jeszcze skróty leksykonu? Ordynat sporządzał je, patrząc z wysokich okien po przez przestrzeń podwórza na zamgloną ulicę. Żydy się tam kręciły, żydówki.

Żydzi. Mnóstwo dzieci żydowskich. Handlarze, kupcy, przekupnie zarośnięci, w długich, czarnych chałatach. Taszczyli coś, dźwigali, wozili na platformach.

Hrabia Lachowski zamyślił się — o żydach. Głęboko, tak głęboko, że nakoniec aż zadrżał z przerażenia: jakiżto lud! Kazać swojemu Bogu spodziewać się Mesjasza, — który nigdy nie przyjdzie. Aż Bóg zwiedziony, wyczerpany nadzieją, straci nakoniec wiarę we wszystko, co jest stałe. W ojczyznę, w ziemię i w nieruchomość! Pozbędzie się jej wszędzie i stanie się wartością płynną, lotną — pieniądzem...

August hrabia Lachowski wypuścił fajkę z ust. Stała się rzecz okropna: tu, w pokoju, na drugiem piętrze rodzinnego pałacu poczuł się nagle — ma-

łym, prywatnym bogiem, który zazdrości tamtemu okłamanemu Bogu. Nieruchomy, z ziemią, z nieruchomością zrosły, — zazdrości okłamanemu Bogu i nędznym jego dzieciom, małym żydom, którzy biegają z brudną starzyzną w ręku,—ileż, ileż szczęśliwsi! Lachowski przysłuchiwał się uważnie tej myśli, — tak potwornej! Gdy oto ścichła, ustępując głosowi wiatru w starych piecach. Lecz ów głos wiatru wiosennego wył psim, dzikim skowytem Bigdy!

Hrabia wstrząsnął rękami i krzyknął głośno do swych myśli: — No to lepiej zabieraj wszystko, zaraz!

Gdy otworzono drzwi w których zabrzmiały miłe słowa posła Strzęgorza:

— Te panie są już, panie hrabio. Czekają tam, na dole, w bibljotece.

Ludzkie łzy, — to nie żarty!

Te panie! Pani Stanisława Kostryniowa z córką swoją Zuzanną. Szły lekko, obie radośnie uśmiechnięte, ślicznie ufryzowane, odziane w gustowną żałobę, cicho szumiące świeżością. Gdyby je tu zobaczył którykolwiek z dawnych znajomych, po tem wszystkiem co już minęło i już chyba nie wróci, — jak kroczą tu, tak piękne a zarazem poważne?!

Piękność — i dostojeństwo tych obu pań polegające choćby na tem, że sobie ani słowa nie powiedzą o tem, co wspólnie tak ciężko przeżywały.

Dostojeństwem można odgrodzić się, — jak szybą. Niech sobie za nią szaleje dawny świat, żałosny, czy potworny, — głosy jego nie dojdą tutaj.

Będą tedy dwa światy: dawny potworny i ten dzisiejszy, — nowy... Pośród obydwóch, — zdziwienie niepomierne, aż bolesne, tak wielkie!... W zdziwieniu takiem, byleby tylko wzajemnie się nie ranić. Cóż łatwiejszego na tak bogatem tle, pełnem takiego piękna moralnego, skarbów kultury i wiedzy i tradycji, od tylu wieków gromadzonej.

Kamerdyner w ciemno-zielonym fraku, prowadząc obie panie, zapalał coraz to nowe światła sławnej bibljoteki Lachowskich.

W miarę wzniecania nowych, jasnych przestrzeni, grodzonych zewsząd złocistym grzbietem tomów, powstawało w pani Stanisławie uparte porównanie z inną bibljoteką, umieszczoną w dwóch ciemnych pokoikach na drugiem piętrze od podwórza w małej nędznej mieścinie węglowej.

Ta bibljoteka tutaj — to nagroda. Wszystko, co tutaj jest w tem wielkiem mieście — to nagroda!

Stanisława spozierała na córkę, przemijającą w odbiciu starych luster, rozmieszczonych pomiędzy piętrowemi masywami książek. Szły obie po dywanach, pośród cennych pokładów drukowanego słowa, pod pięknemi łukami sklepień — tak samo uśmiechnięte.

Kostryniowej wydało się, że w nowych, jak dzisiejsza sytuacjach Zuza nadzwyczaj pilnie kontroluje jej uśmiech.

Był to przymus.

Przymusu tego strzegła Zuza nader czujnie. Nie mogło tu brakować jednego błysku uprzejmości w oczach, jednego drgnienia w rysach twarzy, sprężonych aż niewłaściwem może pogotowiem nadziei i uciechy. Takie to pogotowie tworzyła Zuza od miesięcy, niszcząc niem wszelką szczerość, odsuwając wszelkie wyznania matki, czy też własne!

Żyły tak już oddawna, wciąż chyba potajemnie we wspomnieniach pogrążone, a znów obliczem, gestem, spojrzeniem przyrzekające sobie nieustannie jakowąś radość, — przyszłość!

Po tem wszystkiem, co zaszło... Po tem wszystkiem, co zaszło, doznała Zuza najstraszliwszego zda się przeświadczenia o życiu: że płynie samo — w tysiącu samotności. I nikt tu nie pomoże i nikt tu nie połączy tych światów, światów przeszłych — i obecnego trwania — i przyszłości. Wszystko jest takie — i wszystko całkiem inne. Pomiędzy jawą a wspomnieniem zawczesne, — czy spóźnione?...

Jakże tu pojąć, że dziś kroczy się lekko, z uśmiechem po dywanach odwiecznej bibljoteki Lachowskich, a jeszcze tak niedawno trwało się tam w tym swoim pokoiku w Zagłębiu. W tym pokoiku miłym pistacjowa kanapka stoi, gdzie zawsze stała, huta huczy swą pracą metalową.

Czeka się z przestrzelonem kolanem, przestrzelił je ten właśnie ukochany Tadeusz, szaleniec, dzikus, — którego dziecko dojrzewa równocześnie, w osobie postrzelonej kochanki. Kochanki odrzuconej, — w osobie panny Zuzanny Kostryniównej. Kochanki a zarazem morderczyni, która zabiła tamtą, inną, głupią dziewczynę kopalnianą, podnoszącą ku górze w nędznym ratuszu parę bucików dziecinnych z całej gromady takich samych bucików, złożonych w kącie sali. Jakże to pojąć, gdy właśnie wczoraj! Wczoraj, — przedwczoraj, — dawno, kiedy?!

Cóż wczoraj — i cóż dawno?! Ów Coeur? Wczoraj, czy sto lat temu? Zwęglony raz na zawsze w ciemnym szybie Erazma.

Taka to była radość, może najżałośniejsza ze wszystkich, wszystkich innych, że znało się tak blisko tego francuza Coeur'a i że to już minęło i nigdy nie powróci?!

Taka to radość — a jakież stąd nadzieje? Żadne, albowiem życie płynie w tysiącu samotności. Wszystkie ich ściany muszą się kiedyś przeciąć w któremś miejscu.

Ileżto życia było w tych dawnych miejscach, — ile się ścian przecięło, — trzeba brać udział we wszystkiem jak największy, — zjawiać się wszędzie, — gdzie się tną te powierzchnie. Okropne dawne chwile straszliwego przecięcia: — Ojciec zagnany robot, wciąż myszkujący teraz w papierach i w dowodach.

Matka, — zhańbiony medaljon grottgierowski.

Patrzyli na swą córkę, pełni bezgranicznego wstydu. Kostryń siadał na brzegu łóżka, chciał mówić i „tłumaczyć", ale bryznąwszy łzami, — odchodził zrozpaczony.

Matka — i masażystka Knote. Gdyż prócz przestrzelonego kolana potrzebna była także Knote, — by przeprowadzić i inną operację, — kobiecą... Knote orzekła śmiało, nawet zuchwale, — że nie podejmie się bez akuszera.

Kolano, operacja, morderstwo, wstyd—i proces.

W rozgłosy huty, cmokanie dźwigów, pomiędzy dźwięki szyb okiennych, różowych od hutniczego blasku, zdawało się Zuzannie, — jakgdyby już nadpływał szum wielkich skrzydeł a ostatnich, zwiastujący najgłębsze dno nieszczęścia. Lecz z tego dna wylatała znów ona, Zuzanna, w świat ukochany, złudny, odziana wszelkim czarem, wszelkim powabem mody jakowejś, nowej, — tak niezmiernie uroczej. Trzepotająca ku nieznanej radości, — jakiej?!

W dźwiękach sąsiedniej huty kuły się jakieś prawdy srogie, nieobliczalne, a wielce utęsknione! Kroczyły tędy przez mieszkanie Kostryniów, szły dalej ciężką stopą lecz z prawd onych nie zostawało nic. Ani nawet — wyrzutów sumienia. Bo przecież lepiej żyć, niż paść od kuli. Jak uspokoić tę wdzięczność tak przedziwną a wielce przeraźliwą: że się samemu pozostało przy życiu a tamtą, tę Lenorę, że się go pozbawiło?!

Lepiej żyć, niż być śmiercią. Sroga wygoda morderstwa sprawiła może iż leżąc wówczas w gipsie, wędrowała myślami swemi Zuza nie sama już — lecz z martwą przyjaciółką Lenorą... Wędrowały światami, we dwie, za Tadeuszem, przez jakiś stadjon nieskończenie rozległy, pusty, mimo kortów tennisa, mimo wyścigowego placu, obok jakiejś barjery białej, obie w pięknych kostjumach podróżnych. Zuza w ciemniejszym, Lenora, — ileżto wdzięku i najlepszego wychowania dodaje śmierć, — w szarym, bardziej świetlistym. Szła za Zuzanną ztyłu, wołając dźwięcznie, pełnym głosem natchnienia: — Prędzej Zuzanno, — prędzej!

Zuza biegła przez stadjon jeszcze prędzej, posłuszna wołaniu towarzyszki. Głos wezbrany poganiał, — moja Zuzanno prędzej, — i oto nagle przedarł się krzyk przez całą istność Zuzy, straszliwy, niewstrzymany: — Och twoja, twoja, twoja!

Krzyk, łzy i przeświadczenie ostateczne, że na tę miłość i opiekę i natchnienie, że na tę pomoc Lenory nie da się znaleźć już nigdy, nigdy w życiu żadnej skutecznej rady.

Prędzej, prędzej, — a dokąd? Życie samo, ty-

siącem samotności zagradza każdą drogę — tysiąc jest spraw a każda nic nie znaczy, choć wszystkie takie ważne: był tu sąd i było przesłuchanie w panieńskim pokoju.

Sędzia śledczy zapisał wszystko. Zuza kłamała szczerze, wyraźnie, doskonale, — lepiej żyć, niż być śmiercią. Granatowy oficer policji, Kapuścik przewinął się przez pokój. Opowiadał już o rozprawie sądowej, świadkach i możliwościach, o leaderze Mieniewskim, który zjawił się znowu w Zagłębiu, by bronić swego syna. O samym Tadeuszu ani słowa.

Ale przecież to jasne, że go ratować muszą we dwie z Lenorą razem.

Wszystko na ciebie spadnie panno Lenoro Duś skoro i tak nie żyjesz, skoro cierpieć nie możesz więcej. Toś ty zaczęła, toś ty wszystkiemu winna!...

Oto wygoda, oto pożytek śmierci, — oto przyjaźń gruntowna...

Dla tej przyjaźni postanowiła Zuza, gdy wyrwą z niej to dziecko Tadeusza — złożyć je w ziemi, właśnie obok Lenory. Nie trzeba na to przecież kopać rowów, sprawiać żadnych obrzędów. Wystarczy trochę glinki rozgarnąć i złożyć to poprostu, jak ciało wróbla w dołeczek rozkopany. Zabrakło jej odwagi.

Jakże tu mówić o tem, od kogo żądać pomocy w takiej sprawie?! Zuza ciągle planowała tę sprawę. Wezwała Kapuścika. On jeden wiedział wszystko, on przecie sprzątał ciało Lenory z sali ratuszowej, a w więzieniu Osady Górniczej rozprawiał się z Mieniewskim. Zuza słyszała, że wybili tam zęby Tadziowi.

Osada nie przestawała o tem mówić, co jeszcze większy szacunek wzbudzało dla władzy. Jeżeli Mieniewskiego biją, — nie dziwota, że zwykłej nędzy ludzkiej nie szanują.

Zuza pragnęła dowiedzieć się koniecznie, gdzie, w jakim kącie pogrzebali Lenorę. Ach, wiedzieć to i bodaj w myśli, chodzić tam na to miejsce cmentarza, gdzie spoczywa zastrzelona kochanka Tadeusza i gdzieby leżał Zuzanny synek niedonoszony. Była to myśl najboleśniejsza, pełna tak dziwnej prawdy: że synek ów, że owo życie słabe i tak przedwcześnie złamane należało się tamtej kobiecie.

Kapuścik nic nie wiedział o miejscu pochowania Lenory, oraz czy nie poprzemieniano krzyżów jeszcze przedtem na trumnach. Tyle wtedy tych trumien do ziemi opuszczali, w tak wielkiem zamieszaniu! Zmienił się bardzo pan komisarz Kapuścik, — wszystko przecież od jego zeznań zależało w procesie.

Zuzanna pamiętała ciągle: nie gubić siebie, ratować Tadeusza. A tu jakieś podstępy obce wdały się już w tę sprawę, a tu znowu wybory pobliskie, a tu znowu pan leader Mieniewski!

Jakieś dostawy drzewa do kopalni, nowego kopalniaka, bo tamten był przegniły rzekomo, — jakiś poseł Deptuła, postać całkiem nieznana tutaj a nagle bardzo ważna!... Jakieś walki pomiędzy dawnem drzewem, i znów nowa nagonka w świstkach socjalistycznych przeciw dawnym dostawcom, rzekomo nawet krewnym dyrektora Kostrynia, w postaci plenipotenta dóbr Lachowskich, pana Ja-

na Strzęgorza. Te nowe wpływy popierały Kostryniów, — Tadeusz tracił na tem.

Odrodzony Kapuścik, układniejszy, tak gładki, bardzo wielki polityk, na „nowem stanowisku myślowem", wyższy już nad nieszczęsne, marne walki tutejsze, mówiący w cztery oczy, w zaufaniu, w dyrekcji, o nowych stanowiskach ideowych, nowej roli a nawet posłannictwie! Tak, tutaj, — w cztery oczy...

Otóż te oczy właśnie: jasno zielone wąskie błyskały ciemnem, ołowianem światłem nad łukami bladych wąsików. Należało w tych oczach czytać radość poświęcenia wszystkiego — dla najwyższej idei wspólnoty.

Po wyborach mieli go przenieść do Warszawy. Na inne stanowisko, — polityczne. Tego już nie powiedział Kostryniównej, tak szpetnie w taki skandal zamieszanej; że to, co wiedzieć może jakiś taki Kapuścik, posiada wartość grubych, grubych pieniędzy. Bo to Kapuścik przecież nacisnął wkońcu tak mocno i wydatnie Urząd Górniczy w sprawie bezpieczeństwa na kopalniach Erazma. Kapuścik przyczynił się do zmiany kopalniaka, dostarczanego dotąd z ordynacji lachowskiej.

Drzewo lachowskie okazało się w tym momencie — marnem wielce, bardzo nieodpowiedniem! Kapuścik przez komisję bezstronnych rzeczoznawców wykazał iż nowe drzewo, firmy HART, stręczone przez Deptułę, posiadało sto procent bezpieczeństwa. Kapuścik też przewąchał tak ważną okoliczność z panem leaderem Mieniewskim i usadził go już tak gruntownie, że gdy się tego okaże

potrzeba, — dzięki jednej rozmowie odbytej u Cieplika, — pan leader leży!

Rozmowa w takim duchu, — aby socjalistyczna prasa biła tu wciąż na alarm w sprawach kopalniaka, dostarczanego z wielkich lasów lachowskich, — a za to w sprawie zeznań Kapuścika, w procesie, co do tego, kto strzelał, — okaże się, iż Zuzie wyrwał ktoś z rąk rewolwer, — jakowaś prowokacja, — a Tadeusz Mieniewski, strzelał tylko — w obronie własnej.

Gdyby się okazała kiedyś jakaś potrzeba w stosunku do leadera Mieniewskiego, — no, to się go ma w ręku poniekąd, — dzięki takiej rozmówce!

Tam, u Cieplika przecierali tę sprawę po cichu, między sobą, Mieniewski z Kapuścikiem. Bez żadnych słów honoru i zastrzeżeń, tak, poprostu w prywatnej rozmowie. Ale takie prywatne rozmowy, kogóż kompromitują, jeśli na wierzch wychodzą?!...

Deptuła nie był wtedy u Cieplika. Po co? Deptuła rzecz ułożył znacznie wcześniej z Kapuścikiem, już dawniej, w cztery oczy i bez żadnych ogródek. Firma „Hart", czy są w niej żydy, czy ich niema,— ma dostać te dostawy kopalniaka.

— A ty, Kapuścik, dziecko moje najdroższe, masz tu wytworzyć iunctim. Rozumiesz słowo, — iunctim? Ma to być powiedziane przez ciebie Mieniewskiemu, — tak, abyś mógł przysięgać na to każdej chwili, — że firma „Hart" posiada wielkie wpływy, czy nawet swoich krewnych posiada w składzie sądu. To ma być powiedziane przez ciebie. Oraz jeszcze rzecz druga, moje dziecko najdroższe: że za te awantury w prasie socjalistycznej o bezpie-

czeństwo kopalń, popierać będziesz przy wyborach socjalistów. To Mieniewskiemu powiesz także!

Kapuścik cenił takie umowy, robione „na warjata".

Siedzieli pod czerwonym abażurem, w pewnym lokalu dyskretnym dla wyższych urzędników, przejezdnych dyrektorów i inżynierów cudzoziemców. Szeptali sobie do ucha na zielonej kanapce, przed wyjedzoną przez mole piękną portjerą bordo, zawieszoną w drzwiach tajemniczych.

— Z za tej portjery wyjdą zaraz dziewczęta,— obiecywał Kapuścik. Deptuła chciał, żeby to były koniecznie „górniczki", dziewczęta pracujące na kopalniach, młode, mogą być głodne, ale niech mają mięśnie, — do cholery, — jak stal! Tymczasem wyszły dwie dworkowe paniusie, w szlafroczkach familijnych, na wysokich obcasach obie, ze złotemi plombami w ustach, zwyczajne — jak objaśnił Kapuścik, — wdowy po urzędnikach górniczych. Deptuła zrazu machnął ręką potem mlasnął głośno.

Choć dużo widział, nie udało się dotąd jeszcze czegoś podobnego widzieć panu komisarzowi: Deptuła w jednej sekundzie zdwoił się, ztroił, zwielokrotnił. Paniusie, jak indyczki, zabulkotały tylko i poleciał z nich zaraz puder, agrafki, nici, szpilki, włosy i jakieś pierze! W taki je ruch wprowadził te poczciwe paniusie, Deptuła łapami, obszernemi jak łopuchy. Zsunął szlafroczki i zaraz po goliznach klepał i plaskał i ugniatał.

Gdy wdowy wybiegły po nową butlę jarzębiaka, rzekł Deptuła, ująwszy Kapuścika pod brodę:

— Dziecko moje najdroższe! Równowaga pomiędzy kapitałem a pracą... Gdy przyjdą chłopi i tak wszystkich wymiotą. Ma tu teraz dostawiać nasza firma „Hart". Sam poseł Bigda popiera ją rzetelnie. Idź z nami. Popracujesz w Warszawie, nauczysz się, zrozumiesz. Ty i tak już rozumiesz! Ucz się, pracuj, rozwijaj, a przedewszystkiem — praktykuj w życiu. Może potem wojewodą zostaniesz? Czy wiesz, że wojewoda liczy się za to samo, co karmazyn?!—Rzekłszy, — jakby jeszcze oświecił Deptuła twarz Kapuścika swojem czołem błyszczącem, pod którem niepodobna było dopatrzeć się spojrzenia.

Chwile te ugruntowały w komisarzu poczucie najtrwalszego posłannictwa, połączonego z tak praktyczną zasadą: — bić w mordę i mieć to zapisane na rachunek ofiary.

Dlatego też, gdy Zuza pytała Kapuścika o grób Lenory, zbył tę rzecz pogardliwie. Wolał mówić o sobie i „kochanym" Tadeuszu Mieniewskim. Bo już jeżeli chodzi o jakieś posłannictwo, apostolat, — może być także apostolat zwycięski.

— Bez wytrzaskanych zębów, — choć pod innemi względami najzupełniej podobny do posłannictwa, siedzącego w więzieniu. Czy pani sądzi, że to jeden Mieniewski tylko?!... Ja tu też miałem jakąś swoją Lenorę. Była nawet przyjaciółką Lenory. Karolcia Domagało. I teraz za mąż wychodzi i jest teraz w Warszawie i pomogłem tym ludziom i nie musiałem z tego powodu panience z towarzystwa przestrzeliwać kolana i nie musiano mi z tego powodu wybijać później zębów.

Panna Zuza płakała.

Kapuścik wzruszył lekko ramionami. Teraz właśnie miał całkowitą satysfakcję. Dość służył tym ludziom, aby go wreszcie i oni też poczuli. Wstał z mocnym chrzęstem nowych rzemiennych pasów, mówiąc na pożegnanie: — W życiu popłaca hart.

Gdy trzaskał szablą w przedpokoju i coś tam jeszcze gadał w rozmowie z Kostryniem, — Zuza już zapomniała o nim. Gdyż jedno tylko było pewne w tem wszystkiem: zapomnieć. Wyjechać stąd.

Zapomnieć! Zmienić wszystko, zapomnieć wszystko. Rodziców, dom, wspomnienia, — Tadeusza... W jakichś piórach utonąć i w barwach, w niepotrzebności rozgłośnej, a tanecznej i w wirze i w połysku przebiegać lekko dalej z chłopcami, odzianemi w piękne fraki!

Myśl Zuzy całkowicie i niepodzielnie utonęła znów w klamrach, modach, ozdobach, owszem, — chętnie w klejnotach. Prześliczne klamry z pereł. Jedwabie, tiule, brokaty przetykane i lampy płynne, jak zorza. Ciało Zuzy przez jedwabistą gazę lśniące dla siebie samej w numerze zagranicznych hoteli, na któremś piętrze którejś pięknej stolicy...

O tem myślała tylko! To nic, że huta stąpa wciąż żelaznym krokiem ku swym prawdom stalowym. Jedna jest wreszcie prawda huty, dziewczyny i wszystkiego: mienić się w samotności blaskiem żywego ognia.

Tak szły te dnie, dokładne w swych sekundach, lecz w dokładności takiej przesyconej marzeniem poza czas spływające. Aż oto w piątek, po godzinie dziesiątej rano, gdy można znów tak cicho odpoczywać w pustem mieszkaniu, powrócił ojciec, zawołał

z przedpokoju, — papierów zapomniałem, — odnalazł je u siebie, zawołał, — już tu są, — powrócił przez przedpokój, zamknął za sobą drzwi na cichy zamek Yale i zbiegł po schodach. Z młodzieńczą werwą, z wielkim hałasem i z tak pośpiesznym trzaskiem.

A potem, — nie otwarły się ani zamknęły drzwi wejściowe z ulicy.

Ostatnie echo hałasu ucichło w klatce schodowej — i nic nie słychać więcej. Huta wciąż w miejscu stąpa metalowym krokiem, od strony miasta trąbi na jezdni auto...

Zuza powstała z łóżka; w przedpokoju narzuciła na siebie futro. Z głębokiem przeświadczeniem, że powinna zobaczyć i sprawdzić, — co ma tu nagle sprawdzić?... O lasce, czepiając się mebli i ścian wyszła do przedsionka.

Na dole, przy samych drzwiach, na pierwszym stopniu schodów, krytych ciemno czerwonym dywanem leżał ojciec, w futrze z białym szalikiem wedle szyi, papiery rozrzuciwszy dookoła, z czapką karakułową w zaciśniętej dłoni.

Leżał, stopy oparłszy o drzwi, a głowę przytulając pieszczotliwie do czerwieni dywanu. Ojciec, — dyrektor Feliks Kostryń.

Ze wspomnień dawnych najpierwszego dzieciństwa rozbłysła w myślach Zuzy tak radosna wesołość: — że to jest taka gra! Zabawa w udawanie... Albo też ojciec — umarł?!... Anewryzm serca. Ileż razy mówili o tem dawniej, przy stole, przy kolacji. Chociażby przy kolacji.

W futrze, przy drzwiach, w szaliku leży dyrektor Kostryń.

A tu, na piętrze w popielicowem futrze czeka cię twoja córka.

Czy wiesz to jeszcze tatu?! Pomiędzy nami schody, — ciągną się już na wieki. Stąd płynie ta wesołość straszliwa, — że wystarczy jednego dnia, godziny lub sekundy, abyśmy się znaleźli na przeciwległych brzegach. Ty tam nisko, ze skronią na stopniu zadumaną, — a ja tutaj wysoko. Ileż rozmaitości!

Nie zdołałaby Zuza zejść po tych schodach, jako, że miała jeszcze opatrunek gipsowy. Zsunęła się na łokciach, bokiem, nader ostrożnie, ku ciemnej plamie, — która była jej ojcem.

Serce jego nie biło już i tylko na policzkach jeszcze świeciły ślady po łzach czerwonych, tak znanych tutaj wszędzie, — sławnych łzach dyrektorskich. Otrzeć je. I wyrównać zwichrzony rozdziałek siwych przykrótkich włosów. Gdy to czyniła wydało się Zuzannie, że pod sufit jaskółki sfrunęły, — taki dźwięk, taki szum przeleciał przez powietrze. Lecz skądżeby jaskółki, — czyżby to mówili o nich kiedy z ojcem, czy na nie kiedy razem patrzyli?

Zamyśliła się Zuza spokojnie i straszliwie nad tym człowiekiem słabym, oszukanym, nad tą twarzą pomiętą, tak obcą, choć rodzinną, nad tem niczem, ach, niczem teraz, — ukochanem bezsilnie od pierwszych dni dzieciństwa. Leżała tu przed ojcem, czy też jakby pospołu, — trzymając tylko palce na jego siwej skroni. Pogłaskawszy nakoniec czoło i głowę nieboszczyka, wyczołgała się wgórę. Zimno tam

bowiem czuła wdole, przy drzwiach wejściowych. Tu było znacznie cieplej. Grzały kaloryfery.

Dyrektor Feliks Kostryń.

Wysunęła z pod futra swą zdrową, gołą nogę. Ani jednego włoska na ciele. Mięśnie pod białą połyskliwą skórą równe, gładkie.

To dla tych nóg, dla tego ciała córki zbierał, pracował, kłamał i oszukiwał przez całe życie?!

Prędzej Zuzanno, prędzej,—wołała z niedosiężnych jakichś oddali Lenora. Z poza matowych szyb głównego wejścia, na dole, czy też z głębi mieszkania, czy też z podwórza huty, czy też z pomiędzy zwałów węgla, czy też z samego serca Zuzy płynęło to wołanie?...

Kochany ojciec, — tak biedny, — jakże nędzny. Dopiero nędzność owa, do cna wyrozumiana, otwarła w Zuzie najskrytsze tamy żalu i wszystkie drogi łez. I dopiero z tego pojęcia marnej ojcowskiej nędzy poczęła się serdeczna boleść Zuzy, — przy najdalszej granicy, oznaczona zuchwałą nadzieją nowej, własnej wolności. Ojciec leżał na dole, z siwą skronią do stopnia schodów przytuloną.

Między brzegiem a brzegiem.

Zuza zamknęła drzwi. Tak samo cicho i ostrożnie na dobry zamek — Yale.

Powróciła do łóżka, nie dając znać nikomu. Wyłączywszy telefon. Dopiero w łóżku spoczęła sobie dobrze, z gorliwą myślą, że jeszcze są tu razem i przebywają razem w tem mieszkaniu. W tem mieszkaniu są jeszcze, — dalej, razem, — na zawsze dla nikogo, — ostatni raz we dwoje, Zdjął ją sen błogi, mocny, nadciągający w najtkliwszych pozorach

bezpieczństwa, nieznanego dotychczas: — zasnąć! Zasnąć w tem przeświadczeniu, że się ta miłość dziecka do ojca już nigdy, nigdy i nigdy więcej nie powtórzy...

Budzono ją hałasem: ileż znowu wnoszenia, wynoszenia, — uroczystego zachodu wokół martwego ciała. Zuza bała się trupa ojca, wyobrażając sobie, w nagłych przeciwstawnościach myśli, że „dziecko Tadeusza" z jej wnętrzności wyjęte, podobnie starczą musiało mieć twarzyczkę. Wnoszenie, wynoszenie wobec tak skromnej a zarazem tak pilnej przytomności przedmiotów, pozostałych po zmarłym! Spinki, zegarek, portfel, kluczyki, klucze, portmonetka z drobnemi.

Późną nocą zawezwała Kostryniowa Zuzannę do gabinetu ojca. Zamknąwszy drzwi uprzednio na klucz.

— Musimy przecież wkońcu znaleźć chyba pieniądze, — rzekła pani dyrektorowa Kostryniowa, zakasawszy rękawy szlafroka.

Tak proste, zwykłe zdanie.

Znaleźć nasze pieniądze: twarz Stanisławy drżała w blasku surowym a każdy ruch stanowczy przerażał teraz Zuzę. Szukanie trwało długo, do późnej nocy, w delikatnym chrobocie aktów, teczek, papierów, wsuwanych i wysuwanych szuflad, — w głośnym huku potężnych dźwigów huty.

— Masz, to jest twoje. — Kostryniowa podała córce kilka zeszytów w ceratowej okładce. — Ulubiona lektura twego ojca.

Były to pamiętniki Zuzanny z najpierwszych lat dzieciństwa, odczytywane przez Kostrynia w najcięższych chwilach karjery dyrektorskiej.

Około pół do trzeciej nad ranem znalazła Stanisława pieniądze: między planami spalonego Erazma, w grubej rurce po pudrze do zasypywania niemowląt.

Otwarta szybko rurka pukła skocznym odgłosem.

— Chodźmy, córeczko, — szepnęła Stanisława.

Przeniosły się ostrożnie do salonu, tu znów zamknęły drzwi na klucz i usiadły przed wielkim kominkiem, zasłonięte od wejścia tradycyjnym i sławnym w Zagłębiu, parawanem z pierścionków od cygar.

— Jesteśmy tu bezpieczne, — westchnęła Kostryniowa.

Zuza spozierała na matkę z niesamowitem zgoła zadziwieniem. Nigdy chyba nie była Stanisława tak piękną! Luźny, zielony szlafrok, zsunięty z ramion odkrywał kształtną pierś pani dyrektorowej, wiodąc stylową linję rasowej dostojności od wysokiego końca piersi, wgórę, poprzez zwięzłe połyski szyi, aż ku czołu, ozdobionemu światłem najczystszego skupienia.

— Powinnyśmy, co tylko będzie można, rozdać z tego ubogim, — westchnęła Kostryniowa, wyciągnąwszy z kartonu gruby zwitek dolarów.

Długo siedziały naprzeciw siebie, przewracając papiery: Zuza strony zeszytów, Stanisława wygładzając na ślicznych swych kolanach pomięte banknoty.

— Ja to spalę, — Zuza złożyła kajety na podłodze. — Tak, ja to spalę.

— Spal, — odpowiedziała Kostryniowa, ukończywszy liczenie. Długiemi paznogciami wsunęła gru-

by zwitek w głąb rureczki po pudrze. Następnie, złotym ołówkiem zsumowała na wyrwanym z zeszytów Zuzy karteluszku poszczególne pozycje. Sprawdziwszy po raz drugi, rzekła: — Mamy dużo pieniędzy.

Wzięła znów tekturową rurkę w palce, i jęła ją obracać wkoło.

Małe dzieciątko, wyobrażone na tekturze, przemijało pośpiesznie w różowych palcach Kostryniowej, jakby rozdzierane bezgłośnie szybkiemi paznogciami.

— Ja byłam całe życie tylko sługą. — Stanisława mówiła to powoli, cicho, — potem głośniej a wreszcie płacząc, krzycząc:

— Tylko sługą. Dlaczego? W takim wstydzie i zawsze w takiem poniżeniu. Dlaczego — i dla kogo? Czy wiesz, że mnie tu bili? Oni mnie bili tutaj, twój ojciec i ten francuz. Twój kochanek. Uciekałam tu za parawan, — ileż razy!! Teraz dopiero żyję, — kiedy już jest zapóźno!!! Nigdy go nie kochałam— twego ojca. Nigdy. Ja tylko mogłam służyć. I już nie umiem żyć!! Teraz, bez niego, sama — napewno zginę. I to jest najwstrętniejsze... Bo już żyć nie potrafię!!

Osunęła się z krzesła na podłogę, na salonowy dywan perski, mimowoli odsłaniając swój negliż jedwabny, staranny i jeszcze nie żałobny.

Zuza patrzyła teraz na matkę, — jakby z wytrawnem znawstwem całkowitej obojętności... Jakgdyby na nieznaną sobie kobietę z towarzystwa, która nagle — wyprawia tak żałosne brewerje! Takie brewerje, — wyrabia osoba dobrze wychowana, tak rasowo związana! Podbicie stopy, noga w kostce

tak zwięzła, długie, smukłe uda, po których ślizgał się blask przygasłego ognia.

Matka wydała się Zuzannie starą panną, z której świeżem powabnem ciałem nie harmonizuje już twarz podniszczona dość znacznie. Na to już niema rady i nie będzie, — twarz będzie teraz jeszcze prędzej wyprzedzać ciało na drodze ku starości.

— Na to już niema rady, — rzekła Zuzanna głośno, z uśmiechem tak spokojnym!—Jeżeli nigdy nie kochałaś ojca, no to teraz, — tem lepiej...

Od tej chwili rozeszły się właściwie.

Dyrektorowa Kostryniowa podczas pogrzebu męża okazała żałobę tak piękną i jak to później wspominał sekretarz Koza, „tarpejską" — iż oczarowała najtwardszych nawet wrogów kapitału. Niestety Zuza nie znalazła się na podobnej wyżynie. Całkiem trywialnie drżała podczas całego konduktu a na cmentarzu, gdy przemawiano nad otwartą mogiłą, przywieziona na krześle — płakała pospolicie.

Cóż były warte takie płacze, — jeżeli, jak twierdził Kapuścik w pewnej rozmowie, wiedzionej z sekretarzem Związku Górników Kozą już na parę zaledwie dni przed wyborami, — jeżeli Kostryniówna skłonna była do płaczu nawet przy pożegnaniu z nim samym, Kapuścikiem.

Odjeżdżał stąd. Wezwany do stolicy. Wymawiając słowo *stolica* wzruszał wzgardliwie ramionami. Słusznie: jakaż to tam stolica, która sobie dać rady nie może, bez niego, skromnego komisarza Kapuścika.

Teraz przyszedł żegnać się na zapas, potem są już wybory i już nie będzie czasu. Chciał przy oka-

zji zakomunikować kilka rzeczy poufnych: wyroku jeszcze niema, lecz można się domyślać. Śmiejąc się poufale, machał obiema dłońmi, i było w tem coś okropnego! Owa rzecz najważniejsza, sprawiedliwość, — losami ludzi władająca, wytrząsana niejako z munduru tego oficerka.

Tadeusz będzie uniewinniony. Państwo nie potrzebuje ofiar — zbędnych. Wystarczy, by wiedziało o nich to, co trzeba. Grunt rządzenia — to wiedzieć. To cała mądrość. Nie trzeba wtedy strzelać, ani mordować.

— Tak, tak, najdroższa pani. — Słowa „najdroższa" używał teraz Kapuścik bardzo często za przykładem Deptuły. — Taka Lenora ziemię gryzie... — Pan komisarz Kapuścik, jako, że kiedyś, — ba, — jeszcze tak niedawno raił mu Kostryń swoją córkę, — nie mógł sobie odmówić tej porównawczej satysfakcji.

— Lenora ziemię gryzie, a niechby pani widziała tylko jej przyjaciółkę, Karolkę Domagało, — wkrótce panią Pecyńską. Pani Pecyńska może panią odwiedzić, — proszę bardzo. Może pani niejedno opowiedzieć. Pocieszyć nawet — ewentualnie. Znali się doskonale, ta cała paczka, — Supernaki, Lenora, Domagało, Tadeusz.

Oto jak likwidował takie sprawy Kapuścik: Jeżeli jest tak zwany tamten świat, — z pewnością taki policzek odczuł Kostryń najzupełniej dokładnie.

Do przyszłej pani Karoliny Pecyńskiej, z domu zaś Domagało udała się Zuzanna powozem kopalnianym, pięknym, wyjazdowym, którego paniom z huty pożyczano jeszcze, mimo, że już w kopalniach

erazmowskich nastał nowy dyrektor francuz, pan de Fayenne. Takim powozem pojechała tam Zuza w dzień szary, mglisty, popołudniu, w dwie godziny po ogłoszeniu wyroku w sprawie zajść, oraz strzałów na ratuszu, podczas pamiętnych dni wybuchu na Erazmie. Nie chciała w domu czekać przybycia Tadeusza. Pragnęła oczekiwać go inaczej,—uczciwiej i szlachetniej, w tej właśnie aurze umarłych spraw Lenory. Chociażby tylko z Karolcią Domagało.

Spotkały się przed domkiem, gdzie kiedyś gnieździły się obydwie, Karolka i Lenora, w małej ciupce przy schodach.

Cóż Karolcia powiedzieć mogła o tamtych dawnych czasach?! Nic. Że owszem, — nawet wszystko w porządku. A przyjechała tutaj do Osady teraz z Warszawy, aby wyrobić w parafji papiery swe do ślubu.

Gdy Zuzanna zaproponowała przejażdżkę tym powozem —

— Owszem, można przejechać się po okolicy. Powozem tak przyjemnie. Najlepiej w stronę lasku.

O tak, z Lenorą znały się doskonale. Hi! — Wydawszy z siebie ten okrzyk, Karolka zwróciła ku górze ku niebu tego dnia ponurego swe „kasztanowe" błyszczące mokro oczy. Ckliwe echo okrzyku „hi" wstrząsło pustą przestrzenią zalanych łąk, poprzerywanych kolejkami ugorów, oraz wieczystym mętem dymu tej płaskiej, smutnej ziemi.

Gdy wyjechały w stronę pokozackich koszar, między pustkę rozdartych gruntów i zaczadzonych drzewek, ofiarowała Zuza Karolci pięćdziesiąt złotych, — na koszta tych papierów do ślubu.

— Hi! — To jest zawsze tak, — westchnęła Domagało, całując Zuzę w rękę. — Jeden dostaje pomoc, a drugi musi przedtem wszystko za wszystkich odcierpieć. To już tak jest na świecie.

Rozmawiały jeszcze o tem, jak jest na świecie. Jest bardzo różnie. I ze „szlubami" tak różnie bardzo bywa! Jedni zwlekają, drudzy muszą się śpieszyć...

— Ja muszę bardzo śpieszyć. Idzie na szósty miesiąc...

Zuzanna pogłaskała ją lekko po ramieniu.

Wtedy zaś Domagało: — Ja się spodziewam syna!

Przy rozstaniu dała Karolcia swój adres warszawski:

— Antoniowa Pecyńska będę. Mąż ma na imię Antoni, odźwierny na politechnice, Warszawa, budynek numer trzy.

Adres ów brzmiał Zuzannie w uszach na powrotnej drodze do domu, w cichym huku gumowych kół i w kłusie kopalnianych cugantów, — jakby ogromnie ważny, a zarazem tak przecie niepotrzebny.

Warszawa, Politechnika, — budynek numer trzy, — Antoniowa Pecyńska. Przepowiadając sobie te słowa Zuzanna drżała z radości i z podziwu,— właśnie nad tem, jak rozpływają się wszelkie sprawy ludzkie, — w tysiącu samotności...

Karolka Domagało odjeżdża, — jest już w szóstym miesiącu i śpieszy się do „szlubu", — cóż wie o tym pośpiechu pan Antoni Pecyński, z budynku numer trzy, — konie śpieszą do miasta, — w mieście już niema Coeur'a, — nastał pan de Fayenne, — mieszka w tej samej willi, — a ojciec już nie ży-

je, — umarł na schodach swego domu, — tymczasem dalej wszędzie leży ta sama mgła, ten sam dym, kurz i popiół, — tysiące samotności, — tysiące głosów wszelkich, — a wśród tych głosów, głosów i samotności powraca już Tadeusz, — idzie prosto z więzienia, — może wsiadł teraz właśnie do dorożki? Albo idzie piechotą, — uśmiecha się spokojnie, — tymczasem wszystkie samotności świata zbiegły się w jedno miejsce i oto tam czekają — na niewiadomem miejscu powitania!

Nie! Tadeusza w domu nie zastała. Nie przyszedł dziś i jutro. Nie przyszedł wcale. Mówiono, że wyjechał. Wyjechał więc, — mimo, że noga Zuzy zrosła się doskonale. Wyjechał, — nigdzie nikogo nie szukając. Należy zatem cieszyć się swoją nogą. Chodzić. Zapomnieć. Czekać innego życia.

Odjechać stąd najprędzej. Nigdzie, po nic, ale już stąd odjechać!

Lecz komu to powiedzieć?

Nikomu.

Nie mówiły o takich sprawach z matką. Cała pociecha, że pani Kostryniowa i tak śpieszyła się, i to bardziej od Zuzy. Jakby na świecie nic innego już nie istniało tylko własnie ten pośpiech.

Uregulować pensję z Towarzystwem. Co można, posprzedawać. Chociażby za pół darmo i jaknajprędzej nawiązać nowe życie. Pisała listy na wszystkie strony przy wielkiem biurku męża, płacząc aż do zmoczenia kilku chustek. Pisała do swej dawnej rodziny, dobrej szlachty, lepszej od wątpliwego herbu Kostryniów.

Dobra szlachta odpowiadała, raczył nawet odpisać sam Strzęgorz, — choć mocno urażony odrzuceniem przez Erazmowskie kopalnie kopalniaka z Lachowa.

Na poważnym papierze Ordynacji pisał pan plenipotent Strzęgorz, że gdyby chciały rozejrzeć się w Warszawie mogą zawsze na niego liczyć, jak na swego krewnego.

Po otrzymaniu tego listu pani Kostryniowa zaprowadziła w domu jeszcze surowszą ceremonję a stróż, wynajmowany z huty, dostawał znowu białe rękawiczki, gdy wchodził na pokoje. Może jedyny sposób na nieszczęścia — to dobre wychowanie?..

Czy jednak Zuza nie zburzy znów tej „formy"? Zuzanna nie zburzyła tej „formy", lecz nawet uznała, że muszą doprowadzić do jakiegoś stylu swą żałobę.

Opracowały razem, z żurnalami paryskiemi w ręku, wszystkie szczegóły żałobnego stroju. I okryć. I bielizny. Naturalnie — obuwia. Zmienić także wypadło uczesanie. Radziły sobie wzajem uprzejmie, tak życzliwie, nie szukając w spojrzeniach, ruchach, słowach — żadnych wspomnień. Żadnych aluzyj.

Niedawna Zuza, którą tu przywieziono z ratusza z przestrzelonem kolanem, krzycząca w niebogłosy — nie istniała już nigdzie!

A wdowa po doktorze Feliksie Kostryniu, czołgająca się po podłodze przy parawanie z pierścionków od cygar, w bieliźnie i wołająca wielkim głosem, że już żyć nie potrafi...

Zapomniały o tak niepoczytalnych incydentach.

Odjechać stąd. Było to już nareszcie tak zrozumiałe, że nie potrzebowały sobie o tem mówić. Jedynie czasem, nagle, jeden przelotny, krótki błysk nienawiści uświadamiał to córkę to znów matkę, że jeżeli tu pozostaną jeszcze, to chyba jedna drugą zamorduje.

Tem delikatniej i ciszej i ostrożniej krążyły koło siebie. A po sławetnym wypadku z orkiestrą robotniczą Zuza jakby zniknęła. Stała się nieobecną, prawie nieistniejącą.

Ów wypadek z orkiestrą mógł się każdemu przytrafić, zwłaszcza po tylu gwałtownych przejściach duchowych!

Pani Kostryniowa wracała z bibljoteki imienia Staszica, którą wyhodowała najlepszem uczuciem społecznem, a w której ostatecznie przeżyła taką hańbę!

Rachunki ukończono i sprawdzono przed południem. Zarząd złożony z urzędników kopalni i huty powstał teraz, — jak jeden mąż, — na pożegnanie. Wygłoszono przemowę, chociaż okolicznościową trochę, lecz jednak bardzo szczerą.

Pani dyrektorowa z wypiekami na twarzy, posągowo spokojna, w czarnym welonie, opuściła nareszcie to miejsce, pewna, że nigdy więcej już tutaj nie powróci.

Do mieszkania Kostryniów było kilka kroków. Może sto, sto pięćdziesiąt wzdłuż ulicy, — a później przez gościniec. Gościńcem tym od strony kopalń Erazma kroczyła właśnie manifestacja robotnicza. Czy może zwykły pochód przedwyborczy?

Było już dosyć ciemno i pani Kostryniowa — tem bardziej z za welonu żałobnego, — nie rozróżniała żadnych, — jak określał to później Koza, — poszczególnych szczegółów. Gdy jednak z ciemności i z ciżby, prowadzonej przez kandydata listy socjalistycznej sekretarza Kozę, wybuchł nagle przeraźliwy dźwięk trąb — pani dyrektorowa Kostryniowa upadła martwa na ulicę. Welon żałobny i żałobne korale czarne i wszystkie krepy modne i czarne rękawiczki — wszystko znalazło się odrazu w błocie.

I to w niebylejakiem błocie, bo przecież zagłębiowskiem!

Oczywiście robotnicy z orkiestrą wstrzymali się w swym marszu. Koza znalazł się pierwszy przy cuceniu. Jacyś drudzy skoczyli nawet kupić flakon soli angielskiej w aptece. Zbiegła się kupa ludzi, zaraz z okrzykiem — hańba! — tem głośniejszym, że w półmroku nie widać było komu o kogo chodzi.

Drugi kandydat listy socjalistycznej (na pierwszem miejscu Drążek) znany sekretarz Koza nie mógł takiej okazji przepuścić.

To przecie już los chyba! Fanatycy orzekliby z pewnością, że to sam palec przeznaczenia sprawił, iż u stóp socjalistycznego kandydata pada na sam dźwięk surmy robotniczej — Putyfara kapitalizmu całej Osady Górniczej. Takie ujęcie sprawy, — fanatyczne, — przelatywało Kozie przez myśl, gdy okazywał pomoc pani Kostryniowej. To też brzydząc się nawet tak ostrem zestawieniem kontrastów doli ludzkiej, — z tem większą gorliwością krzątał się przy zemdlonej. Więc zatrzymał orkiestrę.

Na zakupienie instrumentów dla tejże podpisał

weksel na trzy tysiące złotych, — niech będzie raz przynajmniej w Zagłębiu prawdziwy dobór dętych instrumentów! Raz się żyje, — raz się kupuje w życiu takie rzeczy! Zatrzymawszy energicznie muzykantów wykrzyknął Koza:

— Orkiestra stać — i nie grać, — czekać! — Podniósł panią dyrektorową z błota, podtrzymał ramieniem, słaniającą się ochronił raz jeszcze od upadku. Czynił to z myślą cichą, dobrą, której gwałtowni milicjanci nie dali mu do końca domyśleć, — że wszelki wróg daleki, widziany zbliska, mógł tak łatwo zostać przyjacielem! Czy to jest jednak pora na tak łagodne myśli w pośrodku rozgardjaszów ulicznych?!

Milicjanci, każdy zbrojny w grubą dosadną pałę, przyskoczyli do Kozy z krzykiem i zamieszaniem, — że pochód się przerywa i ludzie się rozchodzą i gdzie dalej prowadzić? A znów inni, agitatorzy wyborczy doskoczyli coprędzej z nową, świeżą koncepcją i szlagierem nielada. By Koza wykorzystał okazję i gdy już odprowadzi wdowę do mieszkania, by stąd, zaraz z balkonu nieboszczyka Kostrynia przemówił do narodu!

— Kuć żelazo, póki gorące, — to ci jest szlagier na całe Zagłębie, towarzyszu, — gadajcie do nas z samego środka tej twierdzy kapitału!

Koza zbladł, usłyszawszy te słowa. Było to bowiem i ponad jego siły i już poniżej wszelkiej miary ludzkiego miłosierdzia. A znów jeśli o hecę chodzi, oraz o agitację, — agitacja jedyna. Szlagier! A znów jeśli chodzi o samo tylko uczucie towarzysza Kozy, — rzecz okropna, bo tam, w tych kilku

ciemnych oknach, właśnie za tym balkonem mieszkała przecież Zuza, — jego Zuza, panna Zuzanna Kostryń — karmiona ptasiem mlekiem kapitału, może nawet zbrodnicza, może nawet przeklęta morderczyni Lenory, — którażto jednak zbrodnia i przekleństwo zdoła ugasić ogień szczerej ludzkiej miłości?!

Milicjanci i inni towarzysze przyczepili się do sekretarza Kozy, jak pijawki.

Zdążył tylko zawołać, — orkiestrę wypchać na pierwsze miejsce i niech czekają znaku, — i oto musiał zaraz podążyć naprzód, za panią Kostryniową, pół zemdloną, pół ogłuszoną, którą nieodpowiedni ludzie taszczyli ku domowi.

Dyrygent z wielką i szczelnie pozłacaną pałą wołał za Kozą przez ciżbę, — pytał o coś. Sekretarz Koza nie powiedział dokładnie, jakiego znaku mają grajkowie czekać? Nie miał już kiedy, choć się to później na dobre obróciło. Musiał uważać pilnie i to na wszystko naraz, ze stron wszystkich.

Nie daj Boże, by się teraz coś niedobrego stało tu Kostryniowej! Będzie zaraz na Kozę i na ruch robotniczy, a w podobnym okresie, wyborczym, gazety to podchwycą, robiąc z tego odrazu konika agitacji przeciw-socjalistycznej. A tu znów milicjanci i inni towarzysze wprowadzający Kostryniową do mieszkania, przez schody! Milicjanci i towarzysze i inna szumowina zgłodniałych bezrobotnych!

Niechże tu który, gorzej uświadomiony, skradnie coś mimowoli, torebkę, czy pulares, — cholera wie,— lusterko, grzebyk; albo też, w tak bogatem mieszkaniu, przy tylu różnych ozdobach, srebrach i bibelotach niechże któryś zwędzi coś tu, czy ówdzie, —

opozycja ogłosi zaraz o rozbojach, pogromach przedwyborczych ze strony socjalistów.

Uważać pilnie ze wszystkich stron na wszystko a równocześnie czuć w swoich piersiach ogień, płomienną rozpacz, że tak się wchodzi tutaj w zabłoconych buciarach, z takim wrzaskiem, tumultem, — do mieszkania ukochanej dziewczyny. Od drzwi mieszkania Kostryniów kroczył Koza na palcach. Odprawił milicjantów. Na samą myśl, że mogła ich tu spotkać Zuza, drżał ze strachu.

Tymczasem już przez okna płynął z ulicy rumor i coraz większy, coraz silniejszy hałas. Nim się zjawiła służba, Koza, nie chcąc zapalać świateł, — bo pocóż mają to wszystko widzieć z dołu towarzysze, — po ciemku prawie zaprowadził dyrektorową do gabinetu, aby tam odpoczęła. Zuzy nigdzie nie spotkał po drodze, — może nie była w domu? Zuzy nie spotkał nigdzie, atoli tutaj nawet, w gabinecie słyszał coraz wyraźniej doniosłe wrzaski zebranych towarzyszów.

Wołali, iż chcą ujrzeć towarzysza Kozę, — niech przemówi z balkonu!

— Tak, — z twierdzy kapitału, — przemówcie do nas, Koza! Koza wychodź na balkon! Nie bój się, — chcemy Kozę!!!

Zdrętwiał. Chwila była tak straszna, tak wielce przełomowa. Po jednej stronie — wszystkie uczucia własne, ciche, ale najdroższe, uczucia i nadzieje, nadzieje i marzenia! Po drugiej stronie okrzyki towarzyszy, agitacja, zwycięstwo, zwycięstwo partji a z nią także i Kozy! Mandat — za cenę podeptania najdroższych uczuć własnych...

— Zostawiam panią, — krzyknął Koza donośnie do pani Kostryniowej. Krzyknął, i nawet chyba nie dokończył okrzyku. Jęcząc, skamląc i powstrzymując łzy, miotany entuzjazmem i rozpaczą, pobiegł przez wszystkie pokoje, tłukąc się pośród mebli balkonu. Jął tu otwierać drzwi podwójne, szklane. Z ulicy jednym głosem, jednym szumem i rykiem wzywali towarzysze:

— Koza!! — Koza!!!

Wypadł nareszcie na balkon, blady i nieszczęśliwy, bez kapelusza, z rozwichrzonym włosem. I już ręce przed siebie, poza balustradę balkonu wyrzucił, chcąc tłumowi zakrzyknąć, — milczcie! — gdy orkiestra, właśnie dziś po raz pierwszy występująca na mieście, — zagrała nagle marsza żałobnego Chopina.

Dlaczego — tego marsza? Coprawda, trzy kawałki mieli dotychczas porządnie wyuczone, nie było więc wyboru. Może zagrali marsza na znak proroctwa końca i śmierci kapitału? No, — chyba nie dlatego, by przypomnieć Kostryniowej raz jeszcze niedawną śmierć jej męża? Przypominać rzecz taką wdowie, oraz córce!?... —

Koza przechylił się przez balustradę, słowa zamarły mu w gardle. Po drugiej stronie ulicy, na krańcach demonstracji, w pobliżu szyldu bibljoteki Staszica ukazało się światło łuczywa, używanego zawsze w Osadzie podczas pochodów uroczystych.

Gdy już rozbłysło to tradycyjne światło, poparte jeszcze tak podniosłą muzyką, doznał sekretarz Koza zawrotu głowy, połączonego z osobliwem natchnieniem — poświęcenia... Poświęcić się i ofia-

rować! Poświęcić się na zawsze ludziom, niedoli i również temu miejscu! Murom onego miejsca wilgotnym i parszywym, — murom partji wyniosłym, zawsze niezwyciężonym! Jedno tu chciał powiedzieć, to jedno najważniejsze, ważniejsze chyba nawet od miłości, od szczęścia i od Zuzy! Powiedzieć chciał o sobie, o wytrwaniu, najważniejszem wytrwaniu za murami swej partji, — od czego właśnie kruszą się inne mury naszych wrogów!!!

— Stąd do was mówię, — wrzeszczał Koza bolesną siłą swych naderwanych płuc, — z balkonu, z gniazda i z twierdzy naszych ciemiężycieli, ja, — bo możecie być spokojni o to, — wasz człowiek do ostatniej kropli krwi i kropli potu, ja, który, jako dokładnie wiecie, pracowałem na czwartym pokładzie Flory przez wszystkie lata pierwszej mojej młodości! Ja, nieszczęsne, poniewierane tysiąc razy dziecko robotnicze, syn pijaka — piekarza a matki biednej praczki, przez was samych sponiewierany,— powiedzcie, ileż razy?!

— Niech żyje!!! — Wywrzasnęli zdołu towarzysze.

— Mówię do was nie po to, by chwalić się niedolą, — krzyczał znów Koza, pochylony nad tłumem. — Ale niedola, towarzysze, — to jest próba. Jak swoją próbę ma złoto, srebro, — tak ma swą próbę człowiek. A więc, jeżeli w tym okresie wyborów idziemy przeciw obecnym tu kapitalistom na zdobycie parlamentu, — to ludzie pracy, ludzie tej próby właśnie, właśnie tam w parlamencie muszą okazać wartość — swej próby pracy... Powinni raczej zginąć — aniżeli...

Przeraził się: Raczej zginąć, — niż co?! Przerwało się coś Kozie w krtani i nie mógł więcej mówić. W wybałuszonych wielkim wysiłkiem oczach sekretarza lśniły blaski łuczywa odosobnione i samotne nad czarnem mrowiem tłumu.

Koza poczuł się nagle, jakby w pustce bezdennej, w którą wyrzuca z siebie słowa, myśli, okrzyki, najdroższe swe uczucia, całą swą miłość ogromną a wzgardzoną... Zachrypły i osłabły machnął już tylko czerwoną chusteczką jedwabną, noszoną podczas akcji wyborczej, zamiast zwyczajnej chusteczki towarzyskiej.

Co w takich sytuacjach, przy płonącem łuczywie, na balkonie samego kapitału, na kilka dni przed wyborami, gdy u stóp klasy robotniczej mdleje poniekąd małżonka kapitału, — co w takiej chwili oznacza takie machnięcie chustką?! Oznacza — dla orkiestry, — zawsze tylko to jedno: Grać Międzynarodówkę.

Zagrali ją.

Mimo bojowych dźwięków wspaniałego hymnu każdy z obecnych tutaj mógł jeszcze zobaczyć, że Koza macha rękami i całkiem jawnie—płacze. Gdy wycofał się wreszcie z balkonu, trafił, przechodząc na palcach przez dawny pokój dyrektora Kostrynia, na panią dyrektorową.

Zastąpiła sekretarzowi drogę — niby zjawa filmowa. Wysoka, cicha, jakoby bezszelestna — z twarzą szklistą od łez. Struchlał: pokój nieoświetlony, blask huty z okien, z ulicy światło elektryczności i dźwięk trąb i okrzyki i hymny międzynarodówki —

a znów tutaj: — tutaj to serce ludzkie, zwykłe, lecz nieszczęśliwe.

— Jakże pan mógł, — mówiła Kostryniowa, niby chcąc wytłumaczyć to wszystko Kozie cierpliwie, dobrotliwie, — robić tu politykę, na ruinach życia, na ruinach rodziny? Nawet nie znał pan dobrze mego nieboszczyka męża! Nawet sami nie wiecie, jak bardzo, bardzo cierpiał! A może bronił, a może zastawiał się za wami? Niech panu, panie Koza, sam Pan Bóg nie pamięta. Na ruinach całego życia! Na ruinach rodziny! — Wstrząsnął nią płacz, — ogromny, nagły, jakby aż między łopatkami wzbierał i stamtąd buchał do piersi i do gardła.

Koza byłby stąd uciekł, nic nie odpowiadając. Trzęsło się w nim już serce, wszystkie nerwy szalały, a w gardło, — jakby mu piasku nasypali. Cóż,— kiedy pani Kostryniowa zrobiła jakiś gest, — jeden zwykły gest ludzkiej bezporadnej niedoli. Obiema dłońmi ujęła się za głowę i potoczyła ową głową, powtarzając żałośnie raz jeszcze:

— Na ruinach całego życia, na ruinach rodziny!

Ludzkie łzy — to nie żarty.

— A pani myśli,—wybuchnął wreszcie Koza,— że moje życie, — to co? To co jest — takie życie? Jeszcze cięższe, niż pani. Tam nawet ruin niema! Niema po czem, — i nie stać nikogo na ruiny! Tylko mury, niziutkie zwykłe, szare, nędzne mury codzienne. Czy ja mówię, — co myślę? Kto słyszał? Kto słyszał to i kiedy? Ale mam ideały!!—Zdało mu się, że słyszy z głębi domu, nawet teraz przez hałasy i krzyki towarzyszów, — że słyszy kroki Zuzy. Do

echa owych kroków zawołał jeszcze głośniej i mocniej:

— Ale mam ideały! Mam swoje ideały i mogę dla nich zginąć, — wszystko jedno! — Koza jęknął przeciągle. — Jesteśmy nieszczęśliwi. I cóż z tego? Jeżeli pani chce, — to mogę pani podać rękę?!...

Kostryniowa nie podała mu swojej. I nie były to kroki Zuzy z głębi domu, lecz kroki pokojówki. Sekretarz a zarazem kandydat na posła, postawiony na drugiem miejscu socjalistycznej listy, zatrzasnął drzwi i zbiegł po schodał na dół, a tu przeczekał chwilę w ciemnej framudze, — płacząc nad ruinami swej miłości.

Ludzkie łzy — to nie żarty.

Pożyczki na słowo honoru — prestiti sull'onore.

O zdobyciu mandatu dowiedział się sekretarz Koza przy telefonie, u siebie, na trzeciem piętrze Domu Ludowego. Dowiedziawszy się o zdobyciu mandatu, mimo, że w lokalu tym znajdowali się przygodni świadkowie, jako to milicjanci i kilku innych mężów zaufania — pocałował słuchawkę telefoniczną. Gdyby tego nie zrobił, byłby chyba zwarjował z radości. Bo i tak,— cóż powiedział, przyjąwszy telefonicznie tak radosną i błogą wiadomość?

Spojrzał dokoła po odrapanym lokalu sekretarjatu, po wybladłych, głupkowato uśmiechniętych obliczach towarzyszów i powiedział:

— Żegnajcie, towarzysze! — A przecież wcale nie miał się ku wyjściu i nie odchodził nigdzie i jeszcze nie odjeżdżał. Czyż nie było więc już to wszystko na pewnej granicy radosnego warjactwa?!

Wieczorem tegoż dnia odprawili wspaniały bankiet u Cieplika. Wszyscy upili się bardzo przyjacielsko. Potem odprowadzali się do późnej nocy i nocy owej zdało się po raz pierwszy w życiu sekretarzowi Kozie, — iż zgrzyt huty, dalekie fukanie maszyn wy-

ciągowych na kopalniach, nie posiada żadnego znaczenia. Przy pożegnaniu przed bramą Domu Ludowego ucałował sekretarz Koza w rękę posła Drążka, co nawet tem serdeczniej wypadło, iż zupełnie bez świadków.

— Owszem, — powiedział Drążkowi, — tę rękę, która mnie karciła, całuję w takim dniu, jako rękę wzorową w sensie wierności dla klasy robotniczej. — Po dokonaniu tego synowskiego aktu myśl Kozy, w samotności sekretarjatu, na wyszarpanej kanapie związkowej, minąwszy nagle wszystko, nawet i sprawę weksla, — ześrodkowała się przy wspomnieniu panny Zuzanny Kostryń.

Może to było za wiele, tego całego szczęścia, — na jeden raz, na jeden wieczór?

Nie dość, że się zostaje posłem, nie dość, że teraz będzie można nieznacznie rozpocząć inny sposób postępowania z wszystkimi dawnymi przełożonymi, jak Drążek, może nawet, jak Mieniewski!

Nie dość, że już do wielu ludzi będzie się podchodziło, jak równy do swych równych. Jeszcze teraz do tego wszystkiego — ta najmilsza troska o Zuzę!!!

Okazało się teraz, że śmierć Kostrynia była błogosławieństwem losu. Tylko dzięki tej śmierci mogła się pojawić w myślach Kozy najdroższa troska o Zuzannę. O jej byt, o jej życie i los. Cóż dyrekcja wypłaci tym kobietom? Za dwa, za trzy miesiące? Niechby nawet za cztery, a choćby za pół roku. Z mieszkania je wyrzucą, w każdym razie — a co wtedy?... Trzeba więc będzie zająć się kobietami, pomóc im. Coś wynaleźć, coś przysposobić jakiegoś.

Koza był gotów oddawać im dyskretnie, — poło-

wę swojej pensji. Owszem, zawsze najchętniej — choćby do końca życia! Niestety, nawet połowa poselskiej pensji na ileż może starczyć takim damom. Ha, to trudno, — przestaną być damami, — rozpoczną nowe życie!

Jaką tu pracę znaleźć dla Zuzanny? Czy umie co dziewczyna taka, której przez całe życie ptasiego mleka nie dostawało tylko?! Umie języki, no, — może zostać sekretarką, nauczyłaby się chyba z łatwością pisać na maszynie, skoro i tak już gra wcale nieźle na fortepianie.

Koza wyszukiwał już w myślach dla ukochanej Zuzy, — jakąś pracę trudną, ciężką, ale uszlachetniającą charakter człowieka. Już w myślach — tam w Warszawie, — starał się o posadę, dzięki swym wpływom, wpływom socjalistycznego posła, Kozy.

Już dostawała Zuza — ewentualnie, — świetne miejsce w Biurze Emigracyjnem, oczywiście płatne w dolarach. Dziś, — dajmy na to, — po raz pierwszy w swem życiu — ona idzie do pracy, Koza tymczasem ubiera cały jej schludny maluteńki pokoik kwiatami...

A może był za słaby i za tkliwy na tak wielkie szczęście? W okazjach, jak dzisiejsza, w takim nadmiarze szczęścia wolałby mieć przy sobie jakąś nieszczęsną matkę (nie śmiał marzyć o swojej, zagnanej na śmierć przez pijaka męża), którą musi ratować.

Następnego dnia po wyborach, odziany w jedyny wizytowy garnitur, już nie z czerwoną jedwabną, lecz z towarzyską chusteczką w kieszeni marynarki, — udał się do mieszkania Kostryniowej. Przyjęty został przez nią grzecznie, lecz tak bardzo ozięble.

Może dlatego, że zaczął swą wizytę — dość niezręcznie? Zaczął całą rozmowę od owego parawanu z pierścionków od cygar, połyskującego trochę dwuznacznie — i kolorem pierścionków i jakby także, — znikomością dymu.

Koza chciał to wyrazić właśnie:

— Każda rzecz, nawet piękna, ma w sobie zawsze cień własnej znikomości. Jak widzę, parawan ten, z Zagłębia, przejechał do Warszawy. — Wyrzekłszy już to zdanie, spostrzegł Koza ze smutkiem, że ono nigdzie dalej nie prowadzi.

Pani dyrektorowa nie mrugnęła powieką nawet. Patrzyła dalej przed siebie, nad wyraz grzeczna, może nawet podobna do Zuzanny bardzo, lecz oczywiście starsza — a w rysach twarzy o wiele szlachetniejsza.

Musiał to przyznać Koza i martwił się, że w rysach Zuzy niema tego szlachectwa, — tego czegoś dziwnego, coby się nadawało, — wedle dawnych przesądów rewolucyjnych, — prosto pod gilotynę!... Miała to właśnie w sobie pani dyrektorowa: Tyle jakiejś przestronnej, niepotrzebnej wzniosłości we wszystkich rysach twarzy!

A Zuza?! Koza zapłonił się, zmieszał i poczerwieniał. Powiedział nawet do samego siebie w myślach — bydlę! Przecież nie dla estetyki tu przyszedłeś, lecz aby pomóc tym kobietom, ratować je od przyszłej nędzy.

— Pani dyrektorowo, — podjął więc znów rozmowę, — jeżeli wierzyć, że jest jakiś sens w życiu, że wypadki łączą się z sobą jakoś, z czego zresztą bynajmniej nie wynika, aby logikę zdarzeń nazywać zaraz Bogiem... Jeżeli wierzyć w taki rozumny sens, —

to śmierć pana dyrektora Kostrynia i powiązane z nią zemdlenie pani na ulicy, wobec naszej orkiestry — uczyniły mnie posłem. Stało się to, — myślę o mym mandacie, — dzięki mojej postawie, wtedy, na balkonie u państwa. Był to tak zwany sukces agitacji wyborczej, sukces, uzyskany pogwałceniem czy poniżeniem szlachetnych uczuć ludzkich, którego dopuściłem się wtedy!...

Pani dyrektorowa Kostryniowa potarła śnieżną dłonią czoło, rozdęła małe nozdrza, wypełnione dyskretnym fiołkowym cieniem i zadumawszy się, po długiej chwili, odpowiedziała:

— Na wyborach i na tych wszystkich rzeczach nic mi już dzisiaj nie zależy. Co do manifestacji pańskiej, z balkonu, tak, wyrządził nam pan wielką krzywdę. Ale pomimo wszystko nigdy panu nie zapomnę, że był pan jedynym człowiekiem, z pośród wszystkich waszych, który okazał mi trochę ludzkiego współczucia. Bodaj trochę współczucia.

— Pani dyrektorowo! — Koza powstał z krzesełka i wpatrzył się w medaljonową twarz matki Zuzanny wzrokiem całej swej mocy i wierności partyjnej. Nie osobistej nawet, — lecz partyjnej.

— Pani dyrektorowo! Całe moje współczucie, oraz obywatelska troska przyszłościowa stoi po pani stronie. Wiem, co to znaczy wdowa i wiem, co to los wdowi. Tego pani nie może doznać — nigdy! Dlatego teraz, kiedy już znaczę więcej, niż jeszcze wtedy, gdym tak brutalnie musiał występować z pani balkonu, — jestem stale na pani usługi. Choćby tylko z wdzięczności. Jeżeli chodzi o znalezienie pracy, jeżeli chodzi o posadę, może jakiś monopol tytoniowy,

spirytusowy, — rozpierało go szczęście, że może o tem mówić tak swobodnie, — służę wszelką pomocą. Nie został, proszę pani, człowiek bez środków, gdy ma życzliwość ludzką po swej stronie.

Kostryniowa uśmiechnęła się łagodnie. Odpowiedziała też odrazu, że na szczęście, czy może niestety, — mowy tu nie może być o nędzy.

— Tak, możeby to było nawet lepiej dla nas samych, dla naszych dusz i serc, musieć borykać się z niewdzięcznym losem. Walczyć o kęs czarnego chleba. Mój mąż jednak pozostawił pieniądze. Wcale dużo pieniędzy.

— No, tak, zapewne, — użalił się Koza, — ale cóż? Starczy tego na rok, na pół, na dwa, a potem? Jeżeli myśleć o przyszłości, to już zawczasu —

— Ależ jesteśmy zaopatrzone chyba na całe życie. Biedny Feliks odmawiał sobie wszystkiego, byleby tylko — mówiła z dumą — zabezpieczyć swą żonę i córkę. Czterdzieści, czy pięćdziesiąt, pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt tysięcy dolarów, to chyba nawet w tak ciężkich czasach, — oczywiście mówi się o tem w zaufaniu —

Koza opuścił głowę na piersi, zawstydzony. Całe jego marzenie zbożne, ciche, — pomocy, walki, uspołecznienia charakteru tych niewiast, — wszystko to prysło nagle.

— Tem lepiej, pani dyrektorowo, — zaśmiał się blado, — o ileż lepiej, że nie czekają was te kłopoty! W takich warunkach można nie dbać o ciało i zająć się wyłącznie duchem.

— Tak, — odrzekła ze smutkiem, — duch jest niezniszczalny podobno.

— Podobno?! — Ileżby mógł w tej chwili Koza powiedzieć dyrektorowej o duchu i czy jest niezniszczalny jako taki, czy trwa, — wyłącznie dzięki trudom i wysiłkom całego społeczeństwa. Cóżby było z Platonem, gdyby go nie czytali? Z Chrystusem, — gdyby się o Niego nie mordowali przez wieki? Lub nawet z Mickiewiczem, gdyby go przestali deklamować!? — Mógłby Koza w tej chwili powiedzieć wiele rzeczy, zamilkł jednak, w drzwiach bowiem ukazała się Zuza.

Poderwał się z krzesełka, pobiegł na przywitanie. Przez cały salon, aż na próg gabinetu. Biegnąc przez ową przestrzeń, niewielką zresztą, — o jednem tylko myślał. Jak się przywita z Zuzą, — morderczynią Lenory?... Morderczynią — nieszczęsnej dziewczyny kopalnianej? Stanąwszy jednak przed Kostryniówną spytał — o los nogi.

Zuza odpowiedziała: — Jak pan widzi.

Spojrzał. A raczej zmrużył oczy i wcale nie popatrzył. I odpowiedział, —

— Widzę, — znacznie lepiej z tą nóżką.

— Dziękuję panu bardzo. — Chciała odejść.

Mówił skwapliwie dalej, byle tylko zatrzymać pannę najdłużej na progu.

— A ja tymczasem mam zaszczyt zameldować, że zostałem wybrany posłem. Że już wkrótce wyjeżdżam. Do Warszawy, — na sejm. Chciałbym paniom, — pocóż to gadał, — zostawić paniom parę ciekawszych książek, właśnie z dziedziny ducha.

Czy *to* miała być kara, czy *to* miała być zemsta za uśmiercenie Lenory przez Zuzannę?!

— Myślę o Beblu, — prawił Koza uprzejmie, — o Kautskym, na początek, — o Lassalu. Ach, Lassal zginął zresztą w pojedynku! Tak, — w pojedynku o kobietę. Jest także inny pisarz, Otto Bauer, możeby panie oderwała taka lektura od innych spraw?... — Pożegnał je ozięble, a gdy już stanął na ulicy, przeszedł na drugą stronę, w cień. Nie śmiał iść teraz po słonecznej stronie.

Wstydził się. Przesuwał się wzdłuż ścian niziutkich domków, krzycząc prawie na siebie. Wbrew jego woli bowiem, — myślało mu się coś tak niebywałego! Wynajęcie w Domu Ludowym u Drążka sześciopokojowego mieszkania, które wynajął — były sekretarz Koza, — jako przyszły leader Zagłębia Węglowego, — połączony z panną Zuzanną Kostryniówną cywilnym ślubem. A może i kościelnym? Ach, Boże, — każdym, wszelkim!

Koza opuszczał Osadę Górniczą i jechał do Warszawy na sejm, rzecz prosta — incognito. Incognito, ale wagonem I-szej klasy kurjerskiego pociągu, z dowodem bezpłatności w kieszeni. Na szczęście uczucie sześciopokojowego mieszkania, oraz ślubu cywilnego, lub nawet kościelnego i wszystkie inne „ludzkie" zwyczajne uczucia rozpierzchły się w Warszawie.

Sejm, — sejm, — sejm!!

Cała góra władzy i powagi moralnej, i odpowiedzialności i jakże gwałtownego życia partji! Trzeba w to jakoś wniknąć, jakoś się wetrzeć mocno a nieznacznie, — nie wcierać się zbyt szybko, by nie zwracać uwagi, — ale trzeba coś zacząć znaczyć, — wybrać sobie komisję jakąś, — i kiedyś może wreszcie wypowiedzieć własną mowę na plenum!...

A rzecz nie taka prosta: Tu jest Centralny Komitet Wykonawczy — a tu sekretarz generalny, — a tam Rada Naczelna, — a tu znów regulamin obrad, — którego najlepiej chyba będzie — wyuczyć się na pamięć. A tu plenum, a tu znów jakieś sekcje, a tu znów interwencje.

Sekretarz generalny patrzy, widzi i czuwa, nic nie wiadomo, czego chce kongres partji, a tu znów wszyscy inni posłowie chodzą po całym gmachu, jakby się tu rodzili! A tu przecie, po Drążku, — który ma krótką szyję i może go szlag trafić, — gdyby się tak wysłużyć wszystkim, możnaby dożywotnio posłować z Zagłębia.

To są kłopoty. Sam tylko brzeg kłopotów. Takie tam pierwsze myśli, przelotne, niesprawdzone. Wcale nie chmury, — mgiełki. Raczej sam węch, niż myśli.

Z innej strony, jest znowu co innego, co odkupuje wszystkie inne kłopoty, a mianowicie, — radość ustawodawcza!

Radość ustawodawcza, tak wielka, tak ogromna, że nie miał na nią Koza innej rady, a tylko siąść, pięściami wpychać oczy w głąb własnych oczodołów i powtarzać: — Ustawa, — prawo, — sejm.

Wszystko tu służy ciągle radości tej, — ustawodawczej: Maszyny do pisania, światło, chodniki, schody, sale, rzeźby, marmury, piętra, pokoje, żyrandole, stołki, ławki, papiery i nawet własna poczta i własna bibljoteka. Wszystko tu masz na zawołanie, wszystko ci regularnie wypłacają, przecież ty jesteś właśnie — samem źródłem narodu! Tylko już siądź i namyśl się gruntownie, wszyscy na to czekają. Tysiącami swych głosów wierzą, że powymyślasz dla nich znacznie lepsze ustawy.

Ciało ustawodawcze: kontrola działań rządu, dobrze: wiadoma rzecz, że wszędzie wszystko trzeba kontrolować. To jest jedno. A drugie?

Drugie, — ustawodawstwo. Czyli właściwe, rzeczywiste apostolstwo.

Koza zaczął od rzeczy zewnętrznych, które są, — jak to już tyle razy stwierdziła psychologja, — symbolami wewnętrznych. Przykazał sobie przedewszystkiem, doskonaląc w sobie cechy ustawodawczego apostolstwa, — pluć zawsze do spluwaczek i nie na brzeg, lecz do samego środka. Nigdy, nigdy na dywan!

Jakże tu były piękne, choć tak skromne spluwaczki! Każda na granatowem tle miała numerek biały, olejno malowany.

Przykazał sobie nie rzucać więcej ogarków na podłogę. Nakazał sobie mówić wszystkim odźwiernym — dzień dobry, a gdy coś podawali, — dziękuję bardzo.

Myć co drugi dzień nogi. Ewentualnie codzień?! Szanować wszystkie druki. Ustawodawstwo sprawia, że posłowie muszą dostawać ciągle najrozmaitsze druki. Bo wszystko winni wiedzieć. Więc niech leżą te druki na szafie i czekają. Nie pluć, mówić dziękuję, — myć nogi, zawsze mieć twarz myślącą, — szanować druki, wszystkich leaderów puszczać zawsze przed sobą, — a równocześnie badać sam centr ustawodawstwa.

Centrem ustawodawstwa jest przecież gmach sejmowy!

Był już z woźnymi na galerjach żelaznych kopuły sejmowej. Dotykał tam z rozkoszą białych matowych szyb. Białe, matowe szyby tyle miały współ-

nego z miłością! Zawsze lśnią, wydają blask łagodny, a nic przez nie nie widać.

Pomyślał tu pan poseł Koza o swej pannie. Że trzeba będzie ułożyć jakoś bywanie, gdy te niewiasty osiedlą się w Warszawie. Znaleźć odnośny pozór i wygodne alibi wobec Drążka. Wiadomo, że poselska równość jest równością, komuż to jednak w życiu zaszkodziło dobre alibi?

Koza podziwiał już urządzenia powietrzne, świetlne i akustyczne. Może szkoda, że nie było w tym gmachu ani światła naturalnego, ani powietrza, ani chociażby jakiej takiej akustyki?

Lecz właśnie dobrze, że wszystkie te „elementy" sprowadzać i regulować należało zapomocą urządzeń specjalnych i specjalnych przepisów. Czyli znów zapomocą norm, — więc ustaw, spoczywających cicho w łonie głównej ustawy.

Zwiedził, poobmacywał wszystkie rezonatory na sali, na galerjach. Choć socjalista, — a cóż dla socjalisty burżuazyjna władza, — zwiedzając lożę Prezydenta Rzeczypospolitej, usiadł skrzętnie na jego krześle.

Z żałobną dumą obszedł wszystkie piwnice sejmu, — pełne olbrzymich czarnych tomów, — pełne ustawodawstwa. Jakgdyby pełne wina, — doskonałego wina! Ileż skarbów, ileż milczących, lecz kiedyś głośnych i tak wymownych skarbów w postaci protokułów posiedzeń! Tomy, tomy i tomy, każdy o wiele grubszy od starożytnej biblji.

Najbardziej zachwyciły Kozę urządzenia wentylacyjne, bo to już było trochę — jak w kopalni. Piękna i tak wzorowo, pięknie urządzona kopalnia ustawodawstwa!

Wszystko wyglansowane, bezpieczne, bardzo czyste, ha, — nawet flanelowe filtry dla powietrza, filtry z białej flaneli! Właśnie gdy ich dotykał i badał warstwy pyłu, zawezwano pana posła na górę coprędzej do przysięgi. Była to chwila ważna, tak ze względu na pensję, jak i ze względu na samą uroczystość.

Ludzie mówią, że głupstwo?! I Koza sam, gdy dawniej czytał o składaniu przez posłów ślubowania, opuszczał takie miejsca w gazetach. Ale ze ślubowaniem, to jak ze śmiercią, czy też z urodzinami: cóż wielkiego, gdy rodzi się ktoś inny?! Spróbujno jednak sam, urodź się, czy też umrzyj!

Ludzie mówią też, że samobójca wie w chwili śmierci wszystko o sobie i o życiu. Okazało się podczas przysięgi, że nie potrzeba na to wcale samobójcy: poseł Koza w sekundzie, w której usłyszał swe nazwisko, powstał z miejsca i powiedział — ślubuję, — przeżył wcale może nie mniej od samobójców.

Doznał w owej chwili wrażenia, że przerabia całe swe życie od początku. Od początku przerabia je, ale nie tak, jak dawniej, lecz jakby w dwóch wymiarach: oto jest tu na sali, ale zarazem biegnie naprzód chodnikiem, tocząc wózek przed sobą. Oto jest tutaj w ciszy obrad, ale zarazem głęboki huk kopalni leje mu się przez uszy.

Oto amfilady sali sejmowej, kamienne, marmurowe, ale zarazem coś jakgdyby filary kopalniane. Oto sala wyniosła, — ale zarazem czarna przestrzeń odkrywek. I tak się to zmagało w Kozie przez jakoweś drobiny czasu — ręka z nad wózka błagalnie wyciągnięta — i ręka uroczyście podniesiona do przysięgi... Straszna rozpacz — i radość. Lecz wreszcie

radość zwyciężyła, — od której Koza aż struchlał z zadziwienia...

Poczuł, że z tamtego kopalnianego świata wyszedł chyba na zawsze; że tamto życie, jak starą odzież znoszoną, innym pozostawia i niechta łażą w porzuconych łachmanach, on zaś raduje się największą zemstą, jakiej użycza życie biedakowi, — to jest szczęściem!

Wrażenie było tak silne, że Koza poczuł się jakoby zaczadziałym. Zatrutym. Tak dalece zatrutym, że nawet gdy przywołał w tej chwili na ratunek — wspomnienie Zuzanny, — wspomnienie nie przybyło!

Tak więc stan anormalny, na który trzeba zaradzić, gdyż sam nie przeminie. W tym nastroju odświętnym, a równocześnie jakby jakiegoś wyzwalania się i skazywania na dawną swoją dolę wszystkich innych znajomych i przyjaciół i wrogów, którzy nie zostali posłami, w tym nastroju — ustawodawczego utleniania się wszelkich przeżytków współczucia, — narzucił się Koza Drążkowi.

Tak, chciał koniecznie zagłębiowskiego leadera uczcić tu odpowiednio. Uczcić, spytać zarazem, wybadać, wytworzyć sobie też alibi w sprawie bywania u pań Kostryniowych.

Po wyborze Marszałka Sejmu, znanego aż zanadto wstecznika Stachowskiego, doznał Koza przelotnego zawodu. Bywa tak czasem w chwilach najwyższego szczęścia: już niby szczyt, już szczyt, — a tu nagle ogromny ból przejmuje cię, człowieku, i gdzież jest twoje szczęście?

Głosowanie klubu na obrzydłego narodowca Stachowskiego tak się odbyło, jakby Koza sam, osobi-

ście nic nie znaczył. Znaczył tylko towarzysz leader Mieniewski.

Dlaczego inne partje i nawet całe państwo naumyślnie przeciwstawia się słowu takich powag, jak Mieniewski? Marna głupota ludzka, na którą szkoda czasu!

Po wyborze Marszałka udał się Koza z zaproszonym przez siebie Drążkiem co żywo do bufetu. Jeszcze przed posiedzeniem, poprostu z planu sejmu oraz z własnej praktyki nauczył się był dobrze drogi, ażeby przy wzruszeniu nie pobłądzić.

Chodził tu teraz jak wytrawny bywalec. I tak szedł z Drążkiem, niby coś rozprawiając, w wielkiej, poważnej dyskusji, niby o ważnej bardzo ustawodawczej sprawie, — od czego można było chyba zemdleć z rozkoszy. A dopiero w bufecie sejmowym!

Jako kelnerki służyły panie z towarzystwa, w bieli, porządnie zaczesane — kooperatywa kresowych pań, dzierżawiąca tu bufet i normalnie, całkiem normalnie usługująca posłom. Przemknęło przez głowę Kozie, że mogłaby i pani Kostryniowa służyć wśród owych paniuś. Nie zawadziłoby to także Kostryniówne. Trochę pokuty, odrobineczka chociażby jakiegoś poświęcenia.

Ba! Nie przychodziłby wtedy Koza nigdy do bufetu! Miałżeby wołać na Zuzannę o herbatę, — o piwo?! Albo jeszcze, by mu przyniosła musztardę do kiełbasek?! Miałżeby patrzeć, jak wołają, czy może nawet krzyczą na nią inni?! Na szczęście, nie czas teraz myśleć o urojeniach!

Sala bufetu sejmu, z oknami, jakie się widzi tylko chyba w sztukach, dotyczących cesarza Napoleona

(sztuki takie oglądał Koza na szpaltach tygodników), z oknami aż do podłogi samej — podobna była wielce do sali okrętowej? Koza nie był na statku nigdy, — ale jakże tam miało być, jeżeli nie tak właśnie?! Tyle światła, powierzchni, przestrzeni, tyle tej jakiejś uprawnionej, a zarazem tak niepojętej nieskończoności oceanu.

Tyle samo, ile tu w sejmie błogiej nieskończoności ustawodawstwa!

Popili z Drążkiem o, — nie po sejmowemu, lecz po górnicku. Tego nie można zmieniać. I nie można też zmienić, że Drążek został dla Kozy, po dawnemu — duchowym ojcem, opiekunem, przywódcą. Przed którym żadnych sekretów być nie może. I żadnych tam oddzielnych polityk!

Koza odsłonił solennie wszystkie swoje zachwyty nad ustawodawstwem. Że to jest święty i straszny stan takiego posłowania, gdyż tamci, nasi, którzy w Osadzie pozostali, ta nieszczęsna biedota, co nas przysłała tu, nigdy się z nami tutaj nie porówna.

— My tu jesteśmy ojce, no a im pozostało być tu tylko potomstwem!

Drążek nie widział w podobnym stanie rzeczy nietylko uchybienia, ale jeszcze zawołał, aż czerwony od wódki: — Teraz ja, towarzyszu, mogę z wami być szczerym. Lud musi mieć zwierzchnika. No, — to źle, że ma nas?!

Zgoda co do zwierzchnictwa. Ale Koza musiał się jeszcze gruntowniej zwierzyć. Czuł, że mu włosy od tego dęba stają; bez rozumnej przyczyny stają gwałtownie dęba.

Czuł, jakby tutaj szła gra — o wszystko, ale przemilczeć nie chciał. Musiał się wypowiedzieć o pani Kostryniowej.

— No, mówię wam, jak ojcu, Drążek. Bo z wami niewiadomo, takiście zaraz warjat! Nie biliście mnie kiedyś o panie Kostryniowe?!

— Boś tam latał i boś się kochał, idjoto, taki tam ty, wyskrobek marny dla niej, która jest przecież dziwa żelazna, czy stalowa, stuknij się w głowę, Koza, żem miał zupełnie rację!

— Ach, — Koza oblał się gęstemi rumieńcami, — w takim razie dowiedzcie się ode mnie, że teraz także latam. Byłem tam, — raz z balkonu przemawiałem w Osadzie, to wiecie, — ale byłem i potem i jeszcze raz i znowu potem.

Poseł Drążek wpatrzył się w sekretarza, dziś już posła, — wzrokiem nieubłaganym. Był to wzrok małych, okropnie bystrych siwych i wąskich oczek. Wzrok przechodzący tak gładziutko, — jak szydło. Za którym wiadomo najdokładniej, że zaraz idą pięście.

Koza wytrzymywał już teraz takie „wzroki" bez żadnego wysiłku. Jeszcze zaś tu, w dziedzinie sejmu, w którym na każdym kroku spotykasz piękną, wielką straż marszałkowską, — strażniki wcale nie gorsze i nie mniejsze od kopalnianych drabów z drużyny ratowniczej!...

Poseł Drążek wpatrzył się w Kozę — ostatecznie.

— Możecie patrzeć, owszem. Ale, — tu znów przepili nagle, mimowoli, — mówię wam, że mi na to chodzenie zaraz dyspenzę dacie. I jeszcze zachęcicie.

I jeszcze mi powiecie, — biegaj tam, Koza, biegaj z łaski swojej, ubierz się tylko ładnie.

Drążek wyglądał już, jak gdy siedzi w Osadzie i do bicia się bierze.

— No, — a co będzie, Drążek, gdy wam powiem, żeście nie pomyśleli, taki organizator, jak wy, — że Kostryniowa ma potężne pieniądze po mężu?

Potężne?!

Pocóż mówił — potężne?!!! Zapomniał się!

I tak zawsze w swem życiu, — przez dobroć serca, przez służbistość zapominał się Koza, szedł dalej niźli trzeba. Chciało mu się alibi tylko do bywania u pani Kostryniowej, a cóżto powyciągał i co naopowiadał? O nawróceniu takiej wdowy i córki dyrektorskiej — na socjalizm. I znów o tych pieniądzach. I znów, — może tylko pod działaniem wódeczki — o Domu Ludowym, przy którym rzecz takiego rodzaju, jak pieniądze, mogłaby się stać pomocną wielce!

Drążek uderzył pięścią w stół, aż szklanki przycupnęły na spodeczkach. Trwało dobrych chwil kilka, nim się nareszcie uspokoił. Wtedy rzekł:

— Nauka ewangelji o maluczkich ma, — jak się okazuje, — pewne uzasadnienie. Jesteś tego przykładem, Koza, bardzo żywym przykładem. Jesteś również dowodem, jak dobra była moja szkoła. Po tem, cośmy przeżyli w Osadzie, niema dla ciebie świata poza murami partji. Jestem spokojny o to. Mam cię sto razy w ręku i chociażby dlatego tylko, — że sam masz dobre serce. Życie ci ratowałem kiedyś, gdy cię kamieniami ścigali. Musisz o tem pamiętać. I dlatego, — nietylko pozwalam, ale ci nawet nakazuję nawrócenie tych kobiet. Z rozmiękłej płaczem wdo-

wy wszystko prędzej wyciśniesz. A co myślisz, — jak robią księża? Spowiednicy?! Koza! Dokonasz dzieła! Pieniądze po Kostryniu, zwrócone Domowi Ludowemu, Koza, — dokonasz dzieła!

Oto, jak idą rzeczy w życiu ustawodawcy: za to samo bili cię dawniej w mordę. Teraz — dokonasz dzieła. Dawniej stałeś na czwartym pokładzie, z nogami w wodzie, z głową krwawą od guzów, półnagi, bosy — teraz w schludnem ubranku, z towarzyską chusteczką w kieszeni marynarki, możesz bywać, gdzie chcesz, i u burżujów, sam Drążek prosi o to.

Dzieła, dzieła dokonasz!

Koza obawiał się cokolwiek tego dzieła. Obawiał się zbyt wielkich apetytów posła Drążka. Ale do tych pań poszedł jak najprędziej, pewien, że je w danym momencie sam przed Drążkiem ostrzeże. Niema strachu, nie będą te niewiasty płaciły za alibi Kozy.

Uprzednio posłał kwiaty. Kupił je w pewnym sklepie kwiaciarskim, ogromnie widać katolickim, bo z wywieszonemi nad główną ścianą obrazkami świętemi. Tu właśnie kupił Koza owe kwiaty. Wierzył, że kwiat, ponieważ niepotrzebny, nigdy nie pracujący, przydatny tylko do przybrania, wielce ozdobny, — trzymać się będzie lepiej przy zbożnych i wystawnych katolikach. A że te katoliki — wstecznicy?

Trudno.

Kupił azalję dla pięknego imienia tego kwiatu, a także dla koloru. Różowo-białą. Wydał na to aż kilkadziesiąt złotych.

— Azalijka, jak panna, — wyrzekła sprzedawczyni.

Napisał na odnośnej kopercie z biletem adres swych pań. I polecił zaraz odnieść „to wszystko". Pierwszy raz w życiu zakupił takie kwiaty.

— Niech pani nie zapomni, — odnieść zaraz, koniecznie.

Ba, — zostawił chłopcu na piwo.

Całą godzinę, w pobliżu, za słupem do ogłoszeń czekał na owe kwiaty. Wyszły nareszcie, owinięte śnieżno-białą bibułką, niesione przez chłopaka. Koza skradał się ztyłu, albo podążał skrycie, drugą stroną ulicy, — wieloma ulicami, — dumny i tak szczęśliwy! Dumny i tak szczęśliwy, — choć przecież kwiaty owe przeznaczone są pośrednio — dla morderczyni dziewczyny robotniczej...

O — świecie!

Na drugi dzień zjawił się sam w pensjonacie.

Ta cisza, ta wytworność, ruchy, błogie szelesty, półrozmowy za drzwiami. Takich cisz, ni szelestów, czy lekkości nie mogła ofiarować nikomu Osada Górnicza, choćby nawet w mieszkaniu dyrektorów Kostryniów. Warszawa — mogła.

Warszawa, na którą pracuje ciągle przeszło trzydzieści miljonów ludzi, mogła improwizować takie zbytki, chociażby tutaj w takim pensjonacie, od którego muszą być lepsze, — bo gdy coś jest na świecie dobre, zawsze musi odcierpieć, że ma nad sobą lepsze.

Tyle tych różnych kufrów w przedpokoju, tyle różnych służących, tyle przerozmaitszych dzwonień. A tu znów torty wnoszą komuś, a tu cukry, a tu bilet oddają, a tu telefonują o wieczornej zabawie. A ci znów ze wsi przyjechali, pewno jacyś ziemianie, na których tyle ludzi i bydląt pracuje w pocie czoła.

W takich pięknych pokojach czekał sekretarz Koza, a dziś już raczej poseł, na panią Kostryniową.

Ten widok stąd, na miasto! Na rzekę polską Wisłę, tak samo polską, jak francuską musi być Sekwana, a angielską Tamiza.

Szowinizm, — Koza wzruszył ramionami.

Ten widok stąd, te rzeczy, łóżka, komody, dwa oddzielne pokoje dla dwóch oddzielnych osób, a jeszcze w środku trzeci tak zwany saloniczek!

Mury partji, duchowe, ale wszędzie obecne w sercu dobrego partyjnika i ty, — pokuso, fatamorgano strupieszałego świata! — Trzeba czasem tak wołać, samego siebie wzywać, gdy się widzi, że szyk i jedwab życia staje się nazbyt pięknym. Tak pięknym, iż może nawet warto, aby dla niego inni, potoczni, biedni ludzie nurzali się wśród błota...

Z głębin pensjonatu, z głębin tak rozkosznego puchu, ciurkania i gruchania i plusku i szelestu niezliczonych drobiazgów wyszła nareszcie pani Kostryniowa.

Koza zasmucił się na jej wspaniały widok, jak człowiek, który w obliczu utęsknionych ludzi zrozumiał nagle, że im nigdy nie sprosta. Ach czemuż, czemuż nie zostały biednemi? Czemu ten sknera Kostryń tyle zostawił pieniędzy?! Czemuż Zuzanna nie potrzebuje uczyć się na maszynie, a Stanisława nie szuka jakiejś biednej posady, chociażby tylko pośród kresowych pań, usługujących w sejmie?!...

Jakież tu, w takim zbytku, nastąpić może formowanie, krzepnięcie zwątlonych charakterów! Pani dyrektorowa, — no, tak, — dyrektorowa, — ale zarazem już co innego: — Dama!

Jej włosy siwiejące, — teraz to widział Koza, — lecz jeszcze ciągle złote, były tak suche, czyste, że aż prawie samotne w swoim puszystym blasku. Wionęły nad zmartwioną twarzą, — niby szczytna pociecha prawdy, litującej się nad znikomością świata.

Te włosy i te oczy! Schowane w jedwabistych powiekach. I usta bardzo blade, malutkie — a tak smutne. I tyle zawsze wdzięku i tyle łaskawości w każdym ruchu.

Koza zapytał przedewszystkiem o zdrowie. Cóż łatwiejszego w zwykłej konwersacji? Pytał o zdrowie i sprawy gospodarskie.

— Jakie może być zdrowie, — odpowiedziała z żalem. — A sprawy? Właśnie, sprawy zawikłane, wszyscy ze wszystkich stron ciągle coś proponują.

Na to Koza, — że w tych wypadkach trzeba być zawsze trzeźwym. I znów, — w kolei jednak, po zdrowiu i po sprawach, — spytał o pannę Zuzę.

— Zuza? Jak pan wie, panie pośle, — młodość. Młodość zawsze szaleje.

Nic tego nie rozumiał. Po co i z kim szaleje?... Dlaczego? W jakim celu? Począł więc Koza dowiadywać się ściślej. Dzisiaj się dowiadywał, — za dwa dni, — znowu jutro.

Począł bywać. Nie zastał dotąd Zuzy — nigdy. Znikała jak kamfora. Tak się pisze w romansach: kamfora!

Och jakże boli w życiu taka głupia przenośnia.

Udawał teraz stale, że go Zuzanna zupełnie nie obchodzi. Zaprawdę, — czyż nie pragnął jeszcze w Zagłębiu, po zdobyciu mandatu, — jakiegoś towarzystwa, czy też opieki matki? Czyż nie uważał wte-

dy, że byłoby za wiele naraz i — mandat, — i odrazu — powodzenie w miłości?!

— Nadewszystko, pani dyrektorowo, wiara w życie!

Proponował spacery. Uspokojenie ducha w obcowaniu z przyrodą. Z przyrodą i ze światem, — może nawet z wszechświatem!

Odczytawszy przypadkiem długi artykuł o życiu planetarnem, rozpowiadał dyrektorowej Kostryniowej o gwiazdach, drogach mlecznych, planetoidach, pustce międzygwiazdowej i galaktykach i nawet supergalaktykach. Słuchała tego wszystkiego z dosyć dużą uwagą, ale na tak konieczne skupienie nie pozwalały te jakieś niepokoje, połączone z postacią Strzęgorza.

Koza podwoił czujność, ba, — nawet bronić zaczynał tego pana Strzęgorza.

— Jest to nasz krewny, panie Koza, dżentelmen w każdym calu, ale, jak to określić, — może właśnie za dużo życia, za dużo ruchu wnosi w nasze życie.

Kostryniowa o ruchu, Koza cierpliwie dalej znowu — o duchu.

Tak, tak — o duchu ludzkim. A może nawet o duchu dyrektora Kostrynia, który oddala się od ziemi i — w myśl teorji teozofów, — im dalej jest od świata, tem więcej okazuje życiu naszemu zdrowego pobłażania. Oczywiście, z maleńkiem zastrzeżeniem: Pobłażać mogą zmarli i to stanowi nawet piękno ich wyższej roli. Żywi natomiast muszą być sprawiedliwi. Sprawiedliwi i twardzi.

Sprawiedliwość i twardość: Koza kładł znaczny nacisk teraz na ową twardość i czynił to w rozmo-

wach z Kostryniową świadomie. Duchy duchami, galaktyki galaktykami, ale Drążek co kilka dni nastawał.

Burzył się, upominał, jak idą sprawy nawracania tych niewiast, gdyż Dom Ludowy w Osadzie trzeszczy, weksle idą chmurami, a ty tam Koza co? U tych kapitalistek?

Tam Drążek — a tu Strzęgorz.

Póki Koza, — jak się to mówi, — na własne oczy nie zobaczył Strzęgorza, nigdyby nie uwierzył, że może być na świecie człowiek tak niebezpieczny, a równocześnie tak bardzo czarujący...

Poseł Koza słyszał z początku o Strzęgorzu, jak się słyszy o pierwszym lepszym znajomym swych przyjaciół. Taki, — siaki, — owaki, — no i cóż z tego dalej? Nic. Tymczasem później z owych pobieżnych słuchów wyłoniło się już niedwuznacznie, — że Strzęgorz jeździ z Zuzą, ni z tego ni z owego samochodem, ma się rozumieć własnym, — na ludowe nieszpory, do Łowicza. Co tacy dranie zowią, zwłaszcza na wiosnę, nieszporami w Łowiczu?!...

Z racji owych nieszporów Koza wpadł w rzeczywiste natchnienie: Więc mówił Kostryniowej rzewnie, jak nie pamięta swojej rodzonej matki, jak nie doświadczył nigdy macierzyńskiej opieki. Zapłakał nad tem szczerze i pozwolił, by łzy jego padały skromnie na dywan pensjonatu, u stóp, czyli u pięknych zamszowych pantofelków pani dyrektorowej. Przeczekał do dziesiątej wieczór, a Zuza nie wracała z Łowicza. Jakież to tam nieszpory? Takie długie?!

Niby, że Strzęgorz, — krewny, więc można mu zaufać?!

Koza ujrzał tego krewnego nareszcie przy obie-

dzie, zaproszony przez panią Kostryniową, niestety przypadkowo. Zasiedział się, zagadał, tamci, — Zuzanna i Strzęgorz, — przybyli niespodzianie, odrazu bardzo głodni i wytworzyło się, — że Koza został tutaj. Zrozumiał w jednej chwili, iż plenipotent Strzęgorz jest człowiekiem, jakim on, — dawny sekretarz Związku Górniczego, — nie będzie nigdy, a jakim pragnąłby się urodzić, lub też przynajmniej zostać po największych ofiarach, choćby to miało kosztować oczy z głowy!

Zostać takim człowiekiem, jak Strzęgorz, — poniżenie i rozkosz... Poniżenie: Walory moralne nie były tam z pewnością wysokie. Ale cała zewnętrzność?! Jakże na tym człowieku leżały spodnie, jakże się układała marynarka, jakże wszystko świeciło, pachniało, jak mu prześlicznie, białemi migdałkami rosły z palców paznokcie, jakże mu zęby lśniły?!

Jak to jadł, przełykając cichutko, jak to gryzł od niechcenia, jak szlachetnie popijał winkiem, jak trzymał nóż, widelec, jak pięknie i uroczo ocierał sobie usta. A ten głos, a ten uśmiech, a ten hrabski rozdziałek na głowie, a tok mowy, a lekkość dowcipu!

Z rozmów podczas obiadu okazało się jawnie, że Strzęgorz wrósł już dosyć głęboko w pieniężne sprawy pań.

Kraje zręcznie kotlecik a mówi przytem o jakiejś opcji na dobra ziemskie, — majątek pod Warszawą, — zdaje się, po nieboszczce ciotce. Albo z jakim uśmiechem proponuje udziały w firmie Hart, z którą sam ongiś konkurował jako przedstawiciel kopalniaka lachowskiego, w której to firmie ma teraz swe udziały. Mówi, — przytem śmieje się pobłażliwie, — o kup-

nie starego domu win odwiecznych, czy też może udziału w jednym z wielkich hoteli, naprzykład może — Patria, czy też może — Excelsior?!

— I tu, — zwrócił się Strzęgorz do Kozy, zmrużywszy lewe oko, — prawda, panie kolego? Lokata w tych hotelach zależna będzie również od konjunktury politycznej?!

— Ma się rozumieć, — odpowiedział poprostu Koza.

Poprostu i bezmyślnie. Wpatrzony bowiem w Zuzę, pragnął dowoli nasycić się widokiem ukochanej, a nic narazie nie rozumiał — z omłotu Strzęgorza. Rozumiał tylko jedno: arystokracik gładki, wonny, piękny a tak straszliwie cwany obierze te kobiety ze wszystkiego, puści potem na bruk, z torbami na ulicę. Z torbami na ulicę, to jeszcze nawet głupstwo.

Jest rzecz inna — straszniejsza. Koza wpatrzył się nagle w Strzęgorza głupkowatym wzrokiem: Strzęgorz, — to znowu Coeur!! Nie cudzoziemski, — swojski: jeszcze niebezpieczniejszy!... Trzeba tu było znaleźć jakiś ratunek, — pewny! Z kim się poradzić? Z Drążkiem?

Drążek w tej sprawie nie lepszy od Strzęgorza: Dybie też na pieniądze. Z kim się radzić? Wyjście jedyne, najlepsze, ostateczne przyszło do głowy Kozie, gdy mu Zuzanna podała po raz drugi półmisek z kremem. Jedno jedyne wyjście: sam leader Mieniewski!

Niechże Mieniewski powie sam, — co to za człowiek jest ten przeklęty Strzęgorz?! Po drugie: Niechże Mieniewski weźmie w swoją opiekę, — ale leader nie zechce!

Nie zechce, — albo zechce.

Jeżeli te kobiety mają tracić swój grosz na Excelsiory, Patrje, mają tracić pieniądze w jakichś hotelach, zależnych od konjunktury politycznej, — niechże swym krwawym groszem nie wspomagają konjunktury politycznej zdecydowanych wrogów klasy robotniczej. Tego samego popołudnia odnalazł Koza Mieniewskiego — w banku.

Rozmowa była krótka, chociaż dopchanie się do gabinetu Mieniewskiego trwało ogromnie długo. Jest na to sposób jednak — nawet w demokratycznych instytucjach i bankach: Złotówka! Koza dał po złotemu obu woźnym, siedzącym przy drzwiach od Mieniewskiego. Rozmowę samą poprowadził dawny sekretarz o wiele zręczniej niżby się mógł spodziewać tego po sobie, przy obiedzie ze Strzęgorzem.

Nad Strzęgorzem nie rozwodził się Koza długo przy Mieniewskim. Zaczął zwięźle:

— Ten macher, ten łapigrosz.

— Dlaczego zaraz macher? — zniecierpliwił się leader.

— No tak, ziemianin, — szlachcic. —

— To jeszcze nic nie znaczy. Można być bardzo porządnym socjalistą i być przytem szlachcicem.

— Tak, panie pośle. Ale zależy, — kto! — Koza poczerwieniał, teraz bowiem dopiero przyszła mu ta genjalna myśl, mająca znakomicie rozstrzygnąć całą sprawę. Ta myśl, — która tak wielką rolę odegrała później we wszystkich sprawach Kozy.

— Bo to jest tak, panie leaderze, — zawołał. — Te kobiety są głupie. Poluje na nie Strzęgorz, — jaki tam jest ten Strzęgorz to już mi wszystko jedno. Po-

luje — najwidoczniej. A znów po naszej stronie, wiem, że już Drążek przewąchał tu coś nie coś. Niby — na Dom Ludowy w Osadzie. Coście go tam zwiedzali kiedyś, u nas i nocowaliście tam nawet.

— Pamiętam, drogi Koza, doskonale pamiętam.

— Otóż to! Gdy tymczasem ja, widzę niedwuznacznie, — tak — Koza kłamał z najczystszym entuzjazmem. — Znam Kostryniową świetnie! Więc, — gdybyście kiwnęli małym palcem, choć jedno słowo powiedzieli, — Kostryniowa ulokowałaby najchętniej pieniądze u was!

Leader wstał, zakręcił coś w kaloryferze i wróciwszy za biurko, rzekł:

— Ten syk kaloryferów może doprowadzić do szału. Nie słyszałem, coście mówili przy końcu, kochani.

Koza powtórzył jeszcze raz, najdokładniej całą swą kombinację. Serce mu biło młotem. Boże święty! Jednym zamachem ocalał swoje panie przed Strzęgorzem; jednym zamachem, — pozbywał się opieki i nadzoru i łapczywości Drążka. Jednym zamachem, — dokonywał wielkiego nawrócenia kapitału. Ach, — dzieła dokonywał, dzieła, — i do tego w dodatku, — jakże się stawiał wyjątkowo w swej partji!!!

Leader Mieniewski zaśmiał się wspaniałomyślnie i rzekł ze smutnem westchnieniem:

— No, a jakże myślicie Koza, ileż ten nasz nieborak, ten biedny Kostryń mógł zostawić pieniędzy? Trzydzieści, czy pięćdziesiąt tysięcy? W akcjach, czy też w gotówce, czy też w nieruchomościach?

Koza, olśniony porywczym entuzjazmem, odpowie-

dział, — że ze sto tysięcy może? Ale w obcych walutach, więc wypadają z tego chyba grube miljony!

Mieniewski powstał:

— Rozważcie sobie te rzeczy, mój młodzieńcze, — powiedział. — Bo ja wpływać nie myślę na te panie. Ewentualnie, — jeśli jest jak mówicie, — przyprowadźcie je kiedyś tutaj. Męża jej, nieszczęsnego Feliksa, — słaby, choć może nawet niezły człowiek, — znałem jeszcze z młodości. Chętnie im więc pomogę w każdym danym wypadku.

Dlaczego po tej wizycie tak godnej i spokojnej zachciało się sekretarzowi Kozie powietrza, pędu, ruchu?! Dlaczego pobiegł znowu w stronę mieszkania Zuzy? Albowiem — radość go rozsadzała. Niech sobie Strzęgorz dalej bałamuci i dalej niech im zawraca głowę. Koza ze swojej strony chce tu jedno powiedzieć. Powiedzieć pannie Zuzannie Kostryń.

— Nigdy wam nie dam zginąć! — Powiedzieć to i odejść. — Niestety, — Koza nie zastał pań w mieszkaniu.

Pani dyrektorowa wyszła za sprawunkami, — informacje służącej, — panienka pojechała z panem Strzęgorzem na wieś.

— Na jaką wieś? — żachnął się niecierpliwie Koza.

— A na wieś, do Łowicza.

Do Łowicza... Spojrzał, zstępując ze schodów, na zegarek. — Piąta minut dwanaście. Dlaczegoż poszedł na Plac Teatralny?!

Dlaczego stanął pod cieniem amfilady Teatru Wielkiego i zapatrzył się na zegar wieży przeciwległego ratusza? Zapamiętał, że nad małemi skwerami

przeleciały trzy wróble; że z zielonego szaletu, wodą chlupiącego, wyszła baba, — no, — posługaczka klozetowa, w białym fartuchu. Na zegarze ratusza widział całkiem dokładnie godzinę: Piąta minut dwadzieścia dwie. Wtedy to ruszył naprzód, mimo skwerów, do stacji samochodowych dorożek. Wsiadł do taksówki i rzekł szoferowi:

— Jedziemy do Łowicza. Ma pan benzynę?

— Mam.

— A wóz w porządku?

— W porządku.

— No, — to jedziemy.

Ileż mogła kosztować ta jazda? Chyba, że do stu złotych. To właśnie prawie wszystko, co Koza miał w swym pularesie. Ukrył się na poduszkach, skulił i tak skulony leżał przez całą drogę, jęcząc — z uczucia, ze strachu i z miłości, albo też może także z nadludzkiej nadziei?... Przyjedzie, znajdzie Zuzę w kościele, — istotnie na nieszporach. Przystąpi, powie tylko te słowa: — Nie dam wam zginąć nigdy — i odejdzie.

Zielono-złote pola, z kwiatuszkami naiwnemi przy brzegach, — tak błogi szum powietrza, — małe miasteczka nędzne i szosa, — szosa, — szosa. Na każdym jej zakręcie poczciwe, dobre słowa, lecące zawsze naprzód przed Kozą: — Nie dam wam zginąć nigdy...

Łowicz, — uliczki, — kościół, — stare kamienie, — ludzie, — jakiś cień niespodziany i chłód — i znowu słońce, — lecz ani śladu auta pana Strzęgorza.

Koza zrozumiał tutaj nagle rzecz okropną, zrozumiał ją pobieżnie tylko, — nie śmiałby o tem myśleć

dłużej: Że się ich życie, — Zuzy i Alojzego, — rozminie na zawsze. Że się nigdy nie spotkają razem! Życie Kozy — potoczy się inaczej, — poza obrębem spraw i obrębem rozsądku, poza powierzchnią rzeczy, ludzi, — ach, — niepotrzebne życie!

Zjadł w restauracji przydrożnej kiełbasę z przysmażaną cebulką. Dwie wódeczki. — Herbata. To samo dla szofera.

Drzwi małej restauracji dźwięczały hałaśliwie i żałośnie, jak w Osadzie.

Potem wracali, już prawie nocą. Chłodną, piękną, srebrzystą nocą wracali do Warszawy. Do mieszkania pani dyrektorowej. Zastał ją przy biureczku w saloniku. Samą. Zuzy nie było. Tknięty dziwną boleścią, rozpaczą i przeczuciem upadł Koza nieomal do nóg Kostryniowej, — aby się nie gubiła... Dowiedział się, — tak mówił, — tylu niepewnych rzeczy o Strzęgorzu. Och, gdyby spróbowała zasięgnąć czyjejś rady?! Chociażby Mieniewskiego, który na wszystkich pulsach życia trzyma rękę. Na pulsach, — politycznym, sejmowym, bankowym, rządowym i państwowym, — także na pulsie socjalistycznej międzynarodówki, — a oni, socjaliści, wiele wiedzą! Chciał potem mówić jeszcze o Zuzie. Ale cóż, — powracała właśnie z wielkiemi bukietami białego bzu w swych rękach. Czarna, w żałobie z taką zawieją bzu około twarzy.

Koza uśmiechnął się i krzyknął:

— Jakie życie jest piękne! — Powtórzył lojalnie o Strzęgorzu co tu mówił przy matce.

Jeżeli Zuza uprawia z nim szaleństwa jakieś, — niechże wie z kim szaleje! A Zuza? Wzruszyła ramionami i uśmiechnąwszy się tak dziwnie, rzekła:

— No więc, skoro pan Koza tak nam właśnie doradza, niech mama idzie do pana Mieniewskiego. Nie jest naszym krewnym coprawda, jak pan Strzęgorz, — znamy go jednak dawno i dość dobrze.

Dawno i dość dobrze!... Koza uczuł coś podobnego, — jakby się nagle okazało, że sam wokoło siebie zamknął pierścień, czy rozwarte dotąd niebacznie koło pościgu, — ścisnął. Pocóż było pchać te kobiety w objęcia Mieniewskiego?!... Tam Strzęgorz, a tu Drążek, — a tam znowu Mieniewski, czyli wcześniej, lub później — Tadeusz!!

Następnego dnia, — leader wyznaczył już audjencję pani dyrektorowej.

— Trudno mi obracać się swobodnie tutaj, — mówiła Kostryniowa w przestronnym hallu Banku Robotniczego, — gdzie się jednak znajduję pośród wrogów. Czy pan wie, że tam w Zagłębiu wasi ludzie w swej prasie nie napisali nietylko nekrologów, lecz właściwie śmierć mego męża pominęli milczeniem? — Mówiła to do Kozy szeptem na parterze Banku Robotniczego przed marmurowemi schodami.

Koza zmilczał. Dopiero w poczekalni odpowiedział, zagadując o czemś zupełnie innem a bardzo ideowem. Mianowicie, że tutaj każdy grosz biedaków przeistacza się w kredyt dla biedaków, — oto szczytna zasada!

Szanowny woźny liberyjny na głos przyciszonego dzwonka otworzył drzwi do gabinetu.

Niespokojne bicie serca towarzysza Kozy znów przemieniło się w wielki podziw i zachwyt. Nad rozmaitą skalą wielkich urządzeń społecznych. W sejmie ustawodawczość wyciska piętno nieodparte! A tutaj

blask pieniężny! Blask — powstrzymany ciszą ogromnego namysłu. Wszędzie podwójne drzwi, politura i wojłok głuchy, politura i cisza i znowu politura błyszcząca i znowu głucha cisza!

Leader Mieniewski — nie było jednak chyba na świecie drugiej partji z tak wytwornym leaderem! Gdy siedział za swem biurkiem wyglądał, jako jeden z Trzech Króli, chyba ten trzeci z Myrrhą, dążący na wielbłądzie. A znów gdy szedł, wyglądało, jakgdyby z wielką powagą pozostawał na miejscu. Istne czary!

Podanie rąk i ukłon. Ukłon i wtedy dopiero, po niewielkim namyśle, ale *jednak* namyśle, — ucałowanie ręki pani dyrektorowej.

Pani Kostryniowa usiadła przy kanapce, pokrytej czemś niezmiernie drogiem, — wielce kapitalistycznem.

Koza trzymał się na ostatnim planie. Przewidzieć nie mógł, — trudno, przewidzieć nie mógł, — że wielcy tego świata, zszedłszy się razem w jakimś celu, — mówić nie będą o tym celu właśnie!

Oboje — Kostryniowa i leader Mieniewski, bądź co bądź wielcy tego świata, spotkawszy się w wiadomym celu, — nie wspominają nawet o przyczynie spotkania!?!

Pani dyrektorowa patrzyła na leadera, jakby nie wzrokiem życia, — lecz przeszłości. Wzrokiem, w którym nie było ani jednego błysku światła, a już tylko przytomność wspomnień nikomu i niczemu niepotrzebna. Ostatni raz widziała pani Stanisława leadera w ów wieczór rozpaczliwy, w Osadzie, gdy chciała oknem wyskoczyć z mieszkania, — wybiła szybę, — nosiła dotąd bliznę na skroni po tem wszystkiem. Pod-

czas procesu unikali się wzajem. Tyle tam było polityki i kłamstwa z jednej i z drugiej strony. Tyle wstydu i koniecznego przemilczenia!

Kostryniowa nie mogła się wydziwić teraz jakim to cudem stać się mogło i ktoby zdołał rzecz taką przeczuć kiedyś, że oto znajdzie się, po tylu przejściach, tu właśnie, jako wdowa, z prośbą o radę u takiego człowieka...

Zdziwienie to zrozumiał Mieniewski po swojemu: że to zakłopotanie przed nim, socjalistą najwyższym, oraz obawa, — zapewne słuszna, — krytyki człowieka, z którym przeżyło się życie, który umarł, nie zasługując na nic więcej, prócz zapomnienia. Bronzowe oblicze leadera, podłużne, ostre, tak wyraziste w otoce siwych włosów, wydało uśmiech nieporównanego doprawdy zamyślenia. Zamyślenia leadera posiadały w obecnym okresie działalności jedną głębszą przyczynę, a ileż innych, choć mniej ważnych?!

Mieniewski miał chwilami wrażenie właśnie tu, tutaj w banku, na tem krześle Prezesa Rady Nadzorczej, rzeźbionem tak wspaniale, — że jest kapitalistą! Nietylko w sensie dysponowania kredytami, pieniędzmi, lecz w sensie użytkowania swej energji i woli i — sił ducha. Ależ tak, — nawet ducha!!

Odmawiał, obiecywał, udzielał, zwodził ludzi, — jak nigdy w polityce, uznając równocześnie sens tej metody okrutnej, i tak zimnej. — Dręczył ludzi w myśl zasad, któremi dotąd jak najgłębiej pogardzał, z któremi walczył, czy też przeciwko którym perorował przez całe życie. Cóż za ofiara ducha i charakteru! Ogromna. I tak rzadka! Wymagająca tylu sił i energji. Cóż więc dziwnego, że za to muszą płacić? Że muszą

za to płacić w normach tych samych, w jakich opłaca się tę pracę we wszystkich innych tego rodzaju bankowych instytucjach?

I oto, brał pieniądze, *musiał* brać wielką, prezesowską pensję...

Tak, — bez względu na wszystko. Czy bez względu na stan interesów banku, — coraz bardziej wątpliwy?... Może nawet nie tyle wątpliwy, ile zbyt żywiołowy. Zaiste, — było tu coś tajemniczego w tym żywiole papieru i złota. Walka z ludźmi, na której leader wyznawał się tak dobrze, — to igraszka płocha wobec tajemniczej i żywiołowej siły, z jaką się pieniądze *plenią*.

Nikły z pod ręki i choć obwarowane jak najcięższą pewnością, — już! — gdy tylko zmieniły swoje miejsce, stawały się powietrzem, — które szalało w ograniczonym jak najściślej czasie, wracając z jego małych ścisłych terminów ponurą, groźną burzą.

Dodać do tego jeszcze uczucie tak dziś niezmiernie przykre, z powodu syna, — Stanisława. Stanisław pisze w swoim ostatnim liście, że został sekretarzem pana posła Bigdy, w zakresie spraw naftowych.

Młody Mieniewski — sekretarzem takiej czwanej kanalji i to w zakresie spraw naftowych!

Stanisław i ten drugi syn, — Tadeusz. Wiecznie otwarta rana, tem boleśniejsza może, iż młodość jego szalona, nie ujęta, była taką młodością właśnie, o jakiej marzył kiedyś sam leader Mieniewski. Awantury, — więzienie, — walka na śmierć i życie, przytem naiwność prosta, jakże czuła, dziecięca a zarazem odwaga męska, śmiałość, ach nawet bohaterstwo!

Za dużo bohaterstwa..

Za dużo bohaterstwa tam, — za dużo tu — przy biurku. Siedzieć w banku, grzebać w cudzych pieniądzach, tkać swym biedakom kredyt w rozdziawione gardła, kredyt, z którego wybrnąć nie potrafią, przyjmować tak żałobne damy, i bać się, że się spłoszą, — czyż to nie bohaterstwo?!

Leader uśmiechnął się do pani Kostryniowej i rzekł po długiej chwili:

— Bo w piersi mej — głos pieśni tej... Oto, co mi na zawsze pozostało z przyjaźni z mężem pani. Ten strzęp bojowej pieśni, która, być może dzieląc, — łączyła nas przez całe życie.

Koza, nawet sam Koza nie spodziewał się nigdy, że leader tak potrafi powiedzieć!

Pani Kostryniowa westchnęła niby po wielkim płaczu. Westchnienie poleciało w głąb piersi i w głąb serca i może nawet — w głąb przebytej bezpowrotnie przeszłości?

Koza zawstydził się, widząc tu Kostryniową tak prawdziwie czcigodną i wielce niedostępną. Posiadała widocznie jakiś zasób duchowy, — istotnie wyższej klasy?...

Odchyliła wbok zamyśloną szlachetnie głowę, ręce w nowiutkich czarnych rękawiczkach złożyła, razem splecione, na blacie stołu i tak tu trwała, odbita w politurze mahoniu bankowego, niby nad przezroczystą głębią wody, czy toni, czy też sprawy, — przeszłości, czy przyszłości, — czy też innego bytu?...

Pan Mieniewski przestraszył się widoku tej postaci, tak zamyślonej, — jakby prawie złowieszczej. W nowych warunkach pracy leadera Mieniewskiego

jeden przestrach, jedno zachwianie nerwów, — i wszystko wali się na głowę.

Tak, jeden przestrach, jedno wstrząśnienie nerwów, i oto już przepada tak cenna, tak konieczna równowaga nerwów.

Bo przecież place miały iść wgórę, uwięziło się w nich tyle pieniędzy a tymczasem, — place spadają. Cóż się dzieje z domami w Łodzi, o których tyle teraz plotkują towarzysze?!... Leader Mieniewski nienawidził już domów, brzydził się wszelką budowlą, czemuż jednak dał na te domy w Łodzi?! Place, — domy, — ileż ciągle przykrości miał teraz z firmą Hart, — nie mógł spokojnie myśleć o rozmowie z Kapuścikiem, odbytej tam, w Zagłębiu, — ach, pocóż było gadać z tym — idjotą!

No — i jeszcze — to drzewo do Gdańska, — okazało się przecież, że na tem drzewie roi się od robactwa, — niestety, — od robactwa ludzkiego!...

— Och, droga pani, — powtórzył leader z niewysłowionym wdziękiem, — nasze wspomnienia dawne niewiele już dziś znaczą. Wróćmy więc do szarzyzny, do naszych spraw bieżących. Pani będzie łaskawą mówić ze mną w zakresie tym, — jak z ojcem.

Uznał, że takie określenie różnicy wieku może jej wcale nieźle pochlebić.

— Jak z ojcem, droga pani. — Wytłumaczył sposoby lokaty, terminy i procenty. Spytał przytem łagodnie o — posiadaną sumę.

— No tak, — przyznała się ze wstydem Kostryniowa, — jest tam tego, — chyba, że przeszło pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

— Jakto? — Zadziwił się łagodnie Mieniew-

ski. — Tak, poprostu w papierkach, — w dolarach Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej?!?

— Tak, panie pośle, — zawstydziła się Kostryniowa. — Mój mąż nieboszczyk, Feliks, w nic innego nie wierzył.

— Może słusznie? — Leader Mieniewski wsparł głowę na swych żylastych dłoniach. Zamyślił się. Poczem jął mówić wolno, cierpliwie, a później, w miarę słów, coraz głośniej i piękniej.

— Jeżeli mamy razem pracować, proszę pani... A tak, — pracować! Ja bowiem zarządzać będę tylko, pracować jednak będą pani pieniądze u nas, a więc pośrednio pani. Jeżeli mamy razem pracować, trzeba, byśmy się bliżej trochę poznali na tym właśnie terenie. — Zmarszczył brwi: — Międzynarodowe Biuro Pracy przy Lidze Narodów w Genewie, — zaczął leader, — wymienia w ostatnim roczniku 728 centralnych organizacyj spółdzielczych w 48 państwach.

W jednem kwiecistem zdaniu wymienił leader nazwiska profesorów i socjalistów: Hall, Ander Oerne, Crüger, Lavergne i Mariani, czy Tuhan-Baranowski...

Kostryniowa usłyszała wyraźnie te piękne słowa:

— Wszystkie spółdzielnie są uwieńczeniem postępu, którego pierwszym etapem było powstanie kapitalizmu.

Nikt nie rozmawiał z nią jeszcze tak poważnie, źródłowo o tak ważnych zagadnieniach. Prawie do łez wzruszyła się, usłyszawszy w surowych ustach Mieniewskiego wyrazy: — Te świetlane postacie... Fourrier, — Mazzini, — Owen, nawet August Cieszkow-

ski, który w swym Ojcze-Naszu troszczy się także o wyzwolenie ciała!

Raiffeisen, Grundvig, Sonne, Staszic i Samarzewski, ksiądz Mellaerts oraz van Elsen, Schulce oraz Luzzatti... Banki centralne, oraz inne, małe, — la banchina, — to znaczy małe banczki...

I znowu usłyszała te dobre, błogie słowa:

— Luzzatti, który godził te idee z najsurowszemi wymaganiami ekonomji... — Bezpośrednia komunikacja między oszczędnościami... — Ideałem spółdzielni jest zastąpić bankiera... — A przytem — bardzo ostre wymagania, co do kapitału własnego i — aby procent od rezerwy wystarczył na pokrycie kosztów administracji. —

Czyż nie marzyła o tem, — chociaż nie tak wyraźnie, ale czyż nie marzyła o tych rzeczach w Osadzie? Czyż nie dlatego także zakładała w tak trudnych warunkach wypożyczalnię książek i to właśnie pod nazwaniem Staszica, które tutaj Mieniewski z taką czcią znów przytacza? Zaniepokoiło Stanisławę jedno tylko, a mianowicie, gdy w swych pięknych wywodach, wspominając o włoskich bankach, jął mówić leader o pożyczkach — na słowo honoru — prestiti sull'onore, — dla najbiedniejszych!

Był to jednak epizod tylko, widać całkiem przelotny, bo się już potem więcej nie powtórzył. I widać, że epizod to tylko był, znów bowiem pogrążyło się wszystko w danych, całkiem konkretnych, związanych z wójtem wsi Heddesdorf czcigodnym Raiffeisenem i z profesorem Fay'em i z Schulcem i z Durand'em i z Władysławem Grabskim i znów z doktorem Haase.

— Więc niech pani pomyśli, — kończył już pan

Mieniewski. — Jaknajwiększa swoboda, utkana z mocnych węzłów interesu, przetykanego zresztą jedwabiem miłości.

Pani Kostryniowa wysłuchała leadera w skupieniu i z wdzięcznością. Czyż mogła wnikać w tak trudne dowodzenia? Czy mogła je zrozumieć? Nie mogła i nie chciała nawet. Zdało się jej ważniejszem — samo wrażenie, odniesione z rozmowy. Wrażenie solidności, rozumu i miłości. Poprostu — ideału. Powiedziała to nawet Zuzie, gdy przebierały się, by dziś wieczorem zwiedzić razem ze Strzęgorzem bibljotekę Lachowskich.

— Ci ludzie, — mówiła Stanisława, — mają jednakże swe ukochane ideały. Ideały tak szczytne, że z tego, co opowiadał o tem pan Mieniewski, wynika, iż socjaliści pracują w tej dziedzinie razem z księżmi. Poprostu razem z księżmi! Czy wyobrażasz to sobie u nas, w Osadzie Górniczej?!—Naszego kanonika pracującego razem z panem Drążkiem? Wobec takiej wyżyny dążeń, — możemy już nie zważać na to, — że nam Lachowski wizyty nie złożył i idziemy tam zwiedzać do niego.

— — — — — — — — — —

A teraz szły, Zuzanna z matką, we dwie przez salę bibljoteki Lachowskich, obie tak piękne, tak poważnie kroczące wśród tych skarbów kultury od tylu wieków gromadzonej wysiłkami szanownych pokoleń.

Czy Zuza domyśla się czegośkolwiek o sprawie Kozy? Przenigdy. Stanisława nie widywała się już teraz z Kozą w pensjonacie. Kryła za sobą starannie wszystkie ślady.

Chłód, oraz sztywna harmonja pozorów trwała pomiędzy matką i córką od owej sceny, zaraz po śmierci ojca, dyrektora Kostrynia, — od owej sceny przy parawanie z pierścionków od cygar. To już tak pozostało i może pozostanie na zawsze.

Ujęły się pod rękę. Służący zatrzymał je w ostatniej sali bibljotecznej, jakoby w sanktuarjum wszelkich skarbów kultury. W obramowaniu ścian starożytnych, wypełnionych pod sufit książkami, przestrzeń powietrza zdała się drżeć łagodnie w blasku starych świeczników.

Kostryniowa zmarszczyła gładkie czoło: przestrzeń powietrza zdała się drgać, — jakgdyby w dreszczach wiedzy.

Zuzanna uśmiechnęła się przykładnie a stary kamerdyner w ciemno-zielonym fraku i w ciemnej bordo kamizelce i w zielonych liberyjnych porteczkach, usłyszawszy dyskretnie słowo „wiedza", jął co żywo objaśniać, — nim jaśnie pan ordynat zejdzie z pokojów nadół.

Otóż, tak, — póki co, bibljoteka jest zamknięta dla dostępu publiki, jako, że się należy tutaj remont przeprowadzić i tak ciągle zwlekają z remontem i póki co, marnują się te cuda, całkiem nieoglądane, — przez publikę, ani przez ludzi. Cuda następujące: szabla, — ukazał w szafeczce oszklonej, — spoczywającą na ciemnym aksamicie, — szabla wielkiego hetmana Lachowskiego, który rozgromił ordę tatarską, a na miejscu tej wiekopomnej bitwy, założył miasto Lachów.

Zuzanna podeszła parę kroków.

— Oto ta wielka szpada, czyli rapier sławnego podróżnika i admirała Vasco de Gamy, który odkrywszy „nieoficjalnie" Amerykę, wrócił do Europy.

Szabla hetmana, i szpada admirała i znów czepiec, wyszywany perłami straconej na szafocie królowej, — sukmana Naczelnika.

Kamerdyner w nicianych pończochach na wyschniętych łydeczkach starczych, nic przecież nie rozumiał z tego, co opowiadał.

Tak tedy wielkie czyny, po latach, wielu latach stają się zwykłą papką wydarzeń w ustach starego sługi. Jeżeli taki jest los wielkich czynów, — cóż wszystko inne, zwykłe? Cóż zwykłe życie ludzkie i cóż jakaś tam miłość, czy rozpacz, czy nieszczęście i cóż jakaś tam nagle Zuzanna, zabłąkana na wysokich obcasach, wysoka, szczupła w starannej swej żałobie?!...

Po wąskich, krągłych stopniach schodzili już panowie, przepraszając za chwilę czekania. Strzęgorz pierwszy. Z myślą pieczołowitej asekuracji próbował jeszcze raz każdego schodu, — za nim hrabia Lachowski, już całkiem pewnym krokiem.

Służący znikł, po chwili wrócił, tocząc przed sobą piękny, specjalny wózek, pełen butelek, starej, pięknej zastawy, z jakiemiś przekąskami.

Nie wypadało podziwiać tego wszystkiego tutaj zaraz, więc tylko Zuza przeprosiła za tyle ambarasu. Tak, był to kaprys, chcieć aby sam właściciel bibljoteki pokazał swoje zbiory.

Hrabia Lachowski zaprotestował energicznie. Obowiązek najświętszy właściciela, — spełniać takie kaprysy. Ordynat uśmiechnął się łaskawie z wielkim

wdziękiem. Już nie pamiętał, — coprawda nigdy nie pamiętał, — co ma tutaj w pałacowej bibljotece, a co się mieści w bibljotece zamkowej Lachowa? Hrabia Lachowski nie cierpiał wszelkich nazw, tytułów, bardzo tego nie lubił, gdyż nigdy nie pamiętał.

Postanowiono najprzód zacząć zwiedzanie, a potem resztę czasu poświęcić na omówienie wrażeń i posiłek.

Pan Strzęgorz zaczął ochotnie, — zaraz z brzega. Jął pokazywać jakoweś wielkie druki, które, — niby ogromne ptaki martwe, — pod jego dłonią suchą ożywały, szeleszcząc stronicami, — jak skrzydłami.

I to jest najpiękniejsze! Iść wolno naprzód, myśleć o czem innem, na najciekawsze rzeczy nie patrzeć wcale, wodząc po nich oczami. Iść tak, powoli, w jakowymś gołosłownym międzyczasie — a przecież wiedzieć, że tam, całkiem gdzieindziej, w domniemanym układzie niespodziewanej pory rozciąga się granica całkiem inna!

Tam właśnie, tam, przed nami, wśród smugi czasu niespodzianej a nieuchronnej leży granica naszych najdroższych cierpień...

Zuza widziała przed sobą kształtną sylwetę matki, zasłaniającą cały prawie zarys postaci Strzęgorza. Zabawna rzecz! Ten niby jakiś wuj, ten Strzęgorz, przyjaciel platoniczny. Widać stąd jego czoło, kawałek brwi i piękny orli nos, — resztę zasłania matka. I jeszcze tylko widać na książce rękę Strzęgorza, upstrzoną brylantami.

Od tego to człowieka dowiedziała się wreszcie o wszystkiem: że Tadeusz popełnił morderstwo,

I w jakiej służbie, — w Ordynacji, jako normalny hajduk straży leśnej!

Hajduk ze straży konnej, — powtarzała Zuzanna w myśli, krocząc uważnie przy boku ordynata. A jednak, jednak, jednak, — od czasu gdy pan Strzęgorz opowiedział jej właśnie te wszystkie okropności, wiedziała już Zuzanna, że nic jej nie rozłączy z Tadeuszem. Że się w nim lęgnie tam jakieś zło szalone i namiętne, jedyne a tak wspólne, — słyszysz Lenoro, słyszysz?! Już nic jej nie rozłączy z Tadeuszem, — choćby się całe góry najokropniejszej zbrodni rozrosły między nimi.

W straży konnej popełnił morderstwo! — Otóż to jest najcichsza muzyka niezachwianej nadziei, w której dźwiękach żałosnych a przecie tak szczęśliwych doświadczała Zuzanna najtrwalszej równowagi. Tadeusz goni po lasach, szczuje, pachołek ordynata, czy hajduk, strażnik leśny, czy jak to nazywają, a tu jego dziewczyna idzie z tym samym hrabią pośród grubych pokładów przed wiekami pisanej mądrości. Taki jest bowiem nasz świat wielki, obcy, że wciąż zawsze rozłącza wszystko, — i im dalej odejdziesz, tem ci łatwiej powrócić będzie, — taki jest świat, wieczyście inną stroną świecący a na innej obecny. Tam zapłacony hajduk straży konnej, — a tu uprzejmy pan ordynat Lachowski.

Hrabia Lachowski, choć znali się tak mało, prowadził Zuzę serdecznie, osobliwie, niby pod rękę, czy tylko zlekka ramię podtrzymując, czy też tylko ogólnem tchnieniem ruchu przyciągając do siebie.

Pan Strzęgorz z Kostryniową wysunęli się naprzód.

Hrabia pozostał w pokoju starych biblij, ewangelij, sam na sam z Kostryniówną. Służącego odprawił do gotowania kawy. Takiej, jak nigdzie indziej niema chyba w Warszawie.

Pan Lachowski opowiadał cierpliwie o swym młynku tureckim, o tem, jak woda winna spływać, powoli i o tem, że maszynki, wymysły mechaniczne, nowe, — te wszystkie wynalazki nietylko prażą, lecz, po części zawsze zagotowują kawę. A tylko zwykły filtr, odwieczny filtr! Ordynat schylił się nad otwartym Nowym Testamentem, iluminowanym ozdobnie!

Papier księgi strudzonej i jakby wyczerpanej już przez wieki, giął się zwodną, zmienną wklęsłością — wypukłością. Niby rola, zorana, zbronowana, rzekomo równa a zawsze przecież falista w swoim kształcie. Rząd starych liter, greckich, może gotyckich, — tego nie rozróżniała Zuza, — zszczepiających się wzajem od góry aż do dołu stronicy, rozpoczynał na górze anioł lub umartwiony święty, czy też, jak tu — obraz bożych narodzin.

— Niechno pan patrzy, panie hrabio, — wykrzyknęła z zachwytem Zuza. — Niechno pan tylko patrzy!

W zarysach inicjału, niby z pośród przestrzeni wyjęta i w inną przestrzeń pergaminowej wieczystości przeniesiona siedziała boża matka, oczami, jak niebieskie turkusy, wpatrzona wprost przed siebie. Wpatrzona tak spokojnie, a przecież, jakby w głębię bezdenną, niewysłowioną nigdy. Na swem ręku trzymała dzieciątko. Nie takie, jakie wydrukowane było na okrągłem pudełku od pudru do zasypywania niemowląt. Znacznie chudsze i wątlejsze, prawie sine.

Jakże miała nie pomyśleć Zuzanna o dziecku swem, prawie, że niewiadomem i tyle tylko znanem, co z bólu zabiegów chirurgicznych, oraz z kilku bąkliwych słów doktora: — Miał być chłopiec. Czy ma jakie znaczenie ta sprawa? Niema wcale znaczenia i żadna zbrodnia nie może mieć znaczenia, gdy tylko smutek po sobie pozostawia a już nic i nic więcej. Żadnych żalów, — wyrzutów żadnych!

— Niechno pan patrzy, panie hrabio, na te przedziwne barwy!

Rzecz przemija, zostaje kłębek barw a nad nim, jak tu na tym malunku — czy też nad zapomnianym krzyżem nieznanej już nikomu Lenory, czy też nad niewiadomą ziemią przykrywającą wszystkich zbłąkanych i zatraconych ludzi — błyszczą wysokie gwiazdy. Owionęła Zuzę woń angielskiego tytoniu i zabrzmiały nad głową senne, znużone słowa:

— Tyle miałem przykrości dzisiaj. Nie ma pani pojęcia. I może nawet nie potrafiłbym pani sformułować charakteru tych bolesnych przykrości?...

Zuza podniosła oczy. Utwierdzając bezmyślne spojrzenie w niebieskich źrenicach Lachowskiego, rzekła:

— Tak, czasem niepodobna prawie sformułować przykrości, — tak są wielkie, czy może właśnie, mimo, że wielkie, — tak znikome?

— Na szczęście, — ucieszył się ordynat, — tu, w tych salach nie potrzebujemy kłopotać się wyszukiwaniem określeń. Tyle tutaj wszędzie tego dobrego i najlepszego, — w tych książkach.

— Ale, panie hrabio, — dobrze się jej mówiło z ordynatem. Był uważny, spokojny a słuchał tak

uprzejmie. — To, co się znajduje tu w książkach nie dotyczy nas i naszych przykrości. Dotyczy życia przeszłego i ludzi, którzy minęli. A my stanowimy przecież życie teraźniejsze i jesteśmy ludźmi, którzy właśnie są, — no tak, — trwają właśnie! — Wymawiając słowa — trwają właśnie, — zaśmiała się Zuzanna raczej westchnieniem i nagłym porywem lęku, niż wesołością. Przypomniał się Kostryniównej potworny Coeur, dyrektor administracyjny kopalń Erazma Coeur.

Hrabia Lachowski otwierał tymczasem ogromny rocznik starej, bardzo rzadkiej podobno, angielskiej ilustracji, leżącej obok półek na olbrzymim stole, zawalonym tego rodzaju wydawnictwami.

Na ilustracji wyobrażona była afrykańska, egzotyczna okolica, z rzeką płynącą w głębi. Od tej rzeki, ku Europejczykom, Anglikom, czy może Holendrom w kaskach kolonjalnych, szli gęsiego murzyni, niosąc na głowach tace, pełne owoców.

Na pierwszym planie ryciny trwał tłum nagich kobiet murzyńskich o wielkich piersiach, z malutkiemi dziećmi, niesionemi na plecach. Zuza wzdrygnęła się: — Znowu te rozmaite, odległe, przedziwne kraje Coeur'a! Ileż ich zjeździć musiał, by dotrzeć nareszcie do Zagłębia Węglowego i Osady Górniczej, oraz, by tu nareszcie...

— Wolę na to nie patrzeć, — zawołała, przechylając się ku Lachowskiemu z przerażeniem.

Całe życie, — to tylko zwłoka, zwłoka przed ostatecznym losem. Dawna zwłoka — to Coeur!

Czuła go tu przy sobie, tak bardzo obecnego w niechęci wszystkich zmysłów, w nagłym popłochu

wspomnień... Czyż hrabia Lachowski byłby także odmianą innej zdawkowej zwłoki? A Tadeusz, marnotrawny i jedyny, — jak sam los, — nie ucieknie?! Uśmiechnęła się do ordynata z wdzięcznością.

— Tyle tu pięknych rzeczy u pana w tych księgach, że doprawdy o wszystkiem, co było, czy jest w życiu, chciałoby się zapomnieć.

Hrabia Lachowski twierdził, iż wręcz odwrotnie, — o niczem, co było nie należy za żadne skarby zapominać. Gdybyż to on, Lachowski miał, czy gdyby mu kto dał, — taką dyspensę pamięci!

— Mógłbym chodzić, — uśmiechnął się uprzejmie, — tam, po ulicy, choćby naprzeciwko pałacu i sprzedawać pomarańcze, czy stare kamizelki. Widziała pani chyba, jadąc tutaj z mamusią, mrowia biednych, handlujących starzyzną żydków? Jakże ja im zazdroszczę! Niestety muszę i powinienem zawsze wszystko pamiętać, muszę zawsze dbać o wszystko, co mi do pamiętania przekazano i dlatego —

Zaciął się. Przestał mówić, porządkując usilnie brzegi książek na półkach. Czynił to jednym palcem, serdecznym, raz po raz zawadzając paznokciem o zleniałą skórę oprawy.

Stała się bowiem rzecz dość nieoczekiwana: Przy nagłych przejściach społeczno-politycznych (dzisiejszy ranek w sejmie i wstrętne wycie Bigdy) doświadczał hrabia t. zw. „szumu przebaczenia historji". Lekarze twierdzili uporczywie, że to anemja, ale wiadomo, — cóż ci lekarze?! Nie była to anemja, — lecz szum. Teraz stała się rzecz o wiele rzadsza. Hrabia zrozumiał, że poczyna w nim kiełkować nowe jakieś uczucie:

Owładnęła jego myślami w tak dokładnej świeżości owa dawna osoba, której nazwiska od lat już nie mógł sobie przypomnieć, — a kogóż o to pytać, — ta osoba urocza z trzeciego piętra ulicy Instytutowej, osoba, która tak ślicznie biegała z foksikiem dokoła stołu, ale umarła po operacji, bo nie chciała mieć dziecka — z Lachowskim.

Czyżby uczucie rzeczywiste, rodziło się znów teraz do tej malutkiej, milusiej krewnej przezacnego Strzęgorza?!...

Ordynat doznał nader drażliwego uczucia: Że opustoszał całkowicie a wszystka krew skierowała się na policzki, tworząc tu — och, z pewnością, — dwa okrągłe rumieńce. Chłodną i drżącą dłonią podniósł do ust rękę Zuzanny i uśmiechnął się do niej żałośnie:

— Tyle dziś miałem zmartwień, droga pani, tyle, tyle, przykrości i aż do teraz, do tej chwili — ani jednej pociechy.

Zuzanna pozostawiła swą rękę w blado-niebieskich palcach ordynata. Zrobiła to — bezmyślnie całkiem, — poprzez platynowy łańcuszek na piersiach Lachowskiego i przez wypchane równomiernie ramiona patrząc stąd, gdzieś dalej jeszcze — jakoby ku nieznanej wcale — granicy uczuć. Wiedziała chyba, że na granicy tej, nieznanej ciągle jeszcze, spoczywa potajemnie tak ciągłe, tak upragnione nieszczęście jej miłości.

Rozmowa dwóch doktorów.

Poczucie bezpieczeństwa jest chyba najważniejsze? Deptuła sycił się tutaj tak doskonałem poczuciem bezpieczeństwa! Stół nakryty, żarcie takie, czy inne, wytworne, czy prostackie — wszędzie to mogło być. I muzyka, — taka, czy jeszcze lepsza, żywa, czy z gramofonu mogła być wszędzie. I kwiaty, światło, powietrze! O te drobiazgi nie dbał poseł Deptuła.

Poczucie bezpieczeństwa — rzecz chyba najważniejsza. Możnaby to porównać jedynie do koszuli, rozmieszczonej porządnie na ciele. Bądźże człowieku ubrany, choć w najcieplejsze sukna i w szuby i w bekiesze, a niech ci tam koszula z tyłu aż na plecy wyjedzie — nie doznasz ciepła. Dla duszy tą koszulą, właściwie nasuniętą, będzie poczucie bezpieczeństwa.

Tu w tem locum, — Strzęgorz nazywa osiem pokojów tak pysznie urządzonych, słowem locum, — doznawał Deptuła tego właśnie błogiego stanu bezpieczeństwa. Rzekł więc całkiem swobodnie:

— Jeżeli chce mi pan zrobić rzeczywistą przyjemność, — poproszę jeszcze raz o arję z Carmeny. Bo proszę pana, doktorze, ludzie mówili zawsze Wagner, Wagner, — a ja zawsze twierdziłem, że innni też nie psy.

Pan Strzęgorz wstał, wysunął lekkim ruchem mankiety z rękawów fraka, udał się do salonu sąsiedniego, by raz jeszcze na szafkowym, bardzo drogim gramofonie nastawić romans z Carmen.

Deptuła widział wyraźnie przez otwarte drzwi salonu postać Strzęgorza, mimo, że wypili tego wieczora — rekordowo. Takie picie mogłoby już uchodzić za oblewanie jakiejś zasadniczej sprawy, — tymczasem sprawa zasadnicza nie była jeszcze nawet poruszona! Ani nie poruszona, ani nawet muśnięta, choćby najlżejszem słówkiem. Sprawa nowej większości. Większości jeszcze niema, to prawda,— ale już jest potrzebne dla większości powietrze: — poczucie bezpieczeństwa.

Widać je tu w ogólnym nastroju i nawet w poszczególnych drobiazgach: wystarczy patrzeć tylko, jak taki Strzęgorz nastawia gramofon, jak kręci cicho korbę, jak zręcznie zakłada nową igłę, starą zaś odrzuca. Nie odrzuca, lecz suchemi, połyskliwemi palcami odkłada do pudełka. We wszystkich ruchach, — Deptuła uznawał, mimo, że mu waliły skronie, a serce przewracało się w piersiach błogo, niby w pudełku z ciepłego aksamitu, — iż równocześnie we wszystkich ruchach Strzęgorza dobrzały nieustannie — spokój, krągła powolność i godna pewność siebie.

Gdy Strzęgorz wrócił do jadalni i znów zasiadł

za stołem, Deptuła, utkwiwszy widelec w piersi indyczej, zapatrzył się na portret Strzęgorza, wiszący pośród głównej ściany salonu nad rozśpiewanym gramofonem.

Wrażenie muzyki, pomieszanej niejako z portretem było lube i błogie.

Deptuła uczuwał, iż w przepływach owego wrażenia dochodzi do syntetycznej koncepcji pewnych spraw, wcale ważnych. Z tonów romansu Carmeny, Pajaców, Trubadura, śpiewanych cudnym głosem tenora i z legendy portretu, a równocześnie z naporu żarcia, zwłaszcza mielonych kasztanów, — powstała w Deptule niejaka pewność co do charakteru tej rozmowy i wzajemnego stosunku rozmówców.

Doktór prawa Deptuła i doktór prawa Strzęgorz: nasza pierwszorzędna drugorzędność, albo też nasza drugorzędna pierwszorzędność. Tak nazwać, czy inaczej, ale to jest właśnie istotne i stąd to bezpieczeństwo niezawodne.

Legenda zaś portretu Strzęgorza nad rozśpiewanym pięknie gramofonem, była następująca: Strzęgorz na koniu siwym, na czele konnej baterji pędzi galopa przez marny mostek drewniany, mimo typowych szarych polskich wilklin. Obnażoną szablą wskazuje pagórek, na którym stoi chłop w parciance, z dziewuchą, jakoby wskazujący ukrytych dalej w gąszczu nieprzyjaciół. Wiadoma rzecz, że obraz jest Wojciecha Kossaka.

— To jest dziś wszędzie i wszyscy „uczestnicy Polski", — tak to właśnie określił Deptuła, — zamówili sobie takie obrazy swej osobistej sławy. Podobne malowidło starczy już dziś za sygnet.

Drażniło wielce Deptułę, że Strzęgorz jest we fraku. Deptuła był w poselskiej marynarce, czyli w najcodzienniejszej odzieży i w miękkim kołnierzyku i w brudnym krawacie i w wysiedzianych portkach. Wieczór ten mieli spędzić razem, dla siebie mieli cały czas poświęcony, pocóż ten bałwan we frak się rzuca, jakby miał potem inne jeszcze zabawy?! Czekajże draniu, jak popijesz z Deptułą, nogi ci się zaplączą i nigdzie już nie pójdziesz!

— Tak, każdy z uczestników Polski ma dziś taki swój obraz. Ma obraz i ma sygnet, chociażby na Nalewkach niedawno zamówiony. Zabawa, może nawet snobizm idjotyczny, — odpowiedział pan Strzęgorz. — Ale panie doktorze, — obaj byli doktorami praw i przemawiali do siebie z tytułem, — Nie kryję się że lubię taki snobizm. Lubię wszystko, co pewne. Lubię ten snobizm głupi, — bo to pewne. Lubię tytuły wszelkie. Lubię święty obrazek nad łóżkiem, bez względu, co tam robię w tem łóżku. Jestem stuprocentowym legalistą.

Deptuła nie odpowiedział i jadł dalej. Raczej żarł, uważając przykładnie, aby i Strzęgorz nie zaniedbał talerza. Strzęgorz jadł z apetytem, różnica między nimi była tylko w samym sposobie. Co Strzęgorz załatwiał chirurgicznie, poniekąd naukowo, zręcznym sposobem sekcji, to Deptuła załatwiał dzikim raptem, rwąc kawały i tytłając je w sosie i syrpiąc, gwiżdżąc, mlaszcząc niemiłosiernie.

Trwało tak podczas całego dania — szedł indyk z kasztanami, — a przytem popijali. Nie na łyki. Rzecz tu szła na kieliszki, na szklanki, a nawet całe

flachy. Potem robiła się we wszystkiem przerwa. I w jedzeniu i w piciu.

Pili i jedli, — owszem, jednakże nie z tym sensem już, co jeszcze przed sekundą. Trudno im było spojrzeć na siebie wzajem... Tyle podstępu i tyle przebiegłości!

Deptuła miał wrażenie, że gdyby padło jedno nieodmierzone słowo, — buchnęłoby z nich obu czarną, zapiekłą juchą. Łysnął olbrzymiem czołem i jeszcze jeden guzik odpiął od starych portek. A potem chrząknął nieomal urzędowo.

Pan doktór Strzęgorz uśmiechnął się — niebiańsko i podniósł brwi do góry najłagodniejszym ruchem rozmarzenia.

Nie puszcza, ścierwo, farby! — Deptuła z bocznej kieszeni marynarki wyłożył na stół swój ciemnoszary notes, dwukrotnie gumką czerwoną owinięty. Notes ów sławny był w życiu partyjnem i politycznem całej Rzeczypospolitej. W tymto notesie zapisywała partja Bigdy piórem Deptuły — wszystko co najważniejsze.

Jeżeliby naprzykład wyłożyć notes ów na posiedzeniu prowodyrów stronnictwa, albo też na konwencie seniorów w samym sejmie, jużby wszyscy poznali, że gra będzie szła serjo. Czyż nie mówili wszyscy, że posiedzenie o dwa miljony hektarów rozlazło się, bo Bigda nie polecił Deptule zapisywać w szarym notesie?!

Strzęgorz, — szelma i cwaniak: Przypatrzył się owemu notesowi, niby z pewną odrazą, że taki przedmiot obszarpany leży tu na tak czystym obrusie.

Notes leży i znowu nikt nie mówi o niczem ważnem, tylko nowa butelka wina bulkoce w kieliszkach.

Deptuła zsunął gumkę ostrożnie, otworzył notes i dłonie podłożywszy, przeniósł na drugą stronę nakrycia, takim samym ruchem, jak kiedy mszał przenosił, do mszy służąc w dzieciństwie. Poczem hepnął bezczelnie głośno i rzekł:

— Wszyscy chcą teraz zostać ministarmi. Możebyś i pan zechciał doktorze? Jakiby się tam panu resort nadał, — nie wiem. Rzecz jest do obgadania, doktorze. W każdym razie jesteś pan już naprzykład potem, po zaszczytnym odbyciu urzędu — chyba do końca życia murowanym człowiekiem i to na wszystkie boki. No, bo jeżeliś miał zaufanie samej Rzeczypospolitej, — to niby można sobie pozwolić po tem na niejedno... — Deptuła wypowiedział te zdania bez pośpiechu, mocnym, zażywnym basem i z niemałą rozkoszą. I z jeszcze większem poczuciem bezpieczeństwa! Westchnął głęboko.

Wobec Strzęgorza w zakresie takich spraw i propozycyj można było pozwolić sobie na wszystko. Był to człowiek przytomny, tak, — pierwszorzędnie drugorzędny!

Strzęgorz otarł pot z czoła i odpowiedział:

— Owszem, ministrem warto zostać, należałoby jednak przedtem rozpatrzeć się w możliwości wszelakich konstelacyj. To jest, żeby mieć wolną rękę, — choć trochę wolnej ręki, poza udziałem partyj! Cóżby pan o tem sądził?...

Kiedy o konstelacji mowa, Deptuła jest już w domu! Konstelacja to przecie już to samo, co kon-

cepcja, koncepcja zaś, — to już to samo, co idea, idea zaś to będzie zawsze — czcze gadanie.

Gadać o czemś bez końca, jak o życiu, o śmierci, — a nic to w niczem niczego nie wyjaśni i nikomu nic nie da.

— Cobym ja o tem sądził, najdroższy mój doktorze? Sądzę, że najważniejsza rzecz to wolna ręka. — Deptuła osadził się jeszcze wygodniej w krześle. — Sądzę także, iż konstelacja jest sprawą bardzo względną. Zależną od umowy i tylko od umowy, czyli znów od gadania, czyli znów od niczego; konstelacja jest niczem i nie istnieje wcale dla przytomniejszych ludzi. Przytomniejszych — współczesnych. Człowiek, taki jak pan, tak spokojny, tak pewny, czyżby się rzeczywiście miał liczyć z konstelacją?!

Poczucie bezpieczeństwa — zupełne! Deptuła poczuł się niespodzianie, jakgdyby kominem o pękających prawie od naporu ścianach. Bolała go już trochę wątroba, parł też cokolwiek pęcherz i serce mdliło zlekka w aksamitnym futerale osierdzia. Komin o rozciągniętych ścianach, przez który wali i dmie potężny przeciąg życia: arje, kasztany, indyk, sosy, kompoty, kremy, sprawy, stronnictwa, ludzie i kompromisy, świństwo i polityka i cały humor świata. Jaki humor, — aż boki pękają!

— To znaczy, — rzekł uważnie pan Strzęgorz do Deptuły, — iż pan uznaje wszelaką równorzędność konstelacyj. Wszystkie dobre, żadna bowiem nie może stać się nigdy, — obowiązującą. Ja tak samo. Obliczam jednak sobie, bo to znacznie wygodniej, — konstelację, — wyłącznie między wami

a nami. Między chłopstwem a szlachtą. Nie chcę tu socjalistów. Nie chcę tutaj nikogo trzeciego. Jest jednak inny szkopuł: Nie wierzę w taki podział na chłopów i na szlachtę. Koncepcja to przebrzmiała.

— He! — wykrzyknął Deptuła, chłonąc olbrzymim haustem cały kielich burgunda. — Popatrz pan dobrze na mnie i potem mi pan powtórz, najdroższy mój doktorze, że pan w takie podziały nie wierzy!— Wino otwarło znowu w Deptule świeże zasoby zgrozy i nienawiści. Zbruździł czoło. Schowane pod niem oczv tchnęły siną ciemnością. Na białych, płaskich, tak rozległych policzkach drżała dziwna zawziętość, rozszerzająca ogromne sine wargi.

— Nie wierzę — prawił dalej spokojnie Strzęgorz, — w taki podział na chłopstwo i szlachtę. Tego już niema dzisiaj. Pan znaczy dzisiaj więcej, niż wielu wojewodów, niż niejeden minister, niż wielu kolatorów, iluż poważnych ziemian! Demokracja...

— Pragnie mnie pan uszlachcić. Więc dziel pan na tych, którzy mają i na tych, co nie mają, — parsknął niecierpliwie Deptuła.

— I tego niema dzisiaj, drogi panie doktorze. — Strzęgorz zalśnił znienacka pełnym blaskiem spojrzenia, gorsu, spinek, mankietów i paznogci. I mówił dalej, śpiewnie:

— Wszystko stało się dzisiaj kwestją woli. Pomiędzy tymi, którzy chcą coś osiągnąć i tymi, którzy nie chcą. Można śmiało powiedzieć, że dziś, dzięki ogromnej ekspansji pieniądza, obalającej wszelkie przesądy, kasty, czy hierarchje, rzeczywiście — duch święty rządzi światem. Nic bowiem dzi-

siaj nie powstrzyma silnej woli człowieka od zdobycia pieniędzy. Pieniądz, panie doktorze, to najprawdziwszy demokrata. Lenin jest feodałem, zażartym feodałem wobec naszej instytucji pieniądza. Ach pieniądz, — to duch święty! — Gdzież pan ma dziś na świecie większą siłę, bardziej niematerjalną, a zarazem równie przytomną, bardziej powszechną i bardziej zrozumiałą?! Ci, którzy chcą —

— Ja chcę, — warknął Deptuła.

— Ja może chciałbym, — zawstydził się pan Strzęgorz.

— Czegożtoby pan chciał?

— Jestem zawsze do wzięcia. — Na właściwych warunkach jestem zawsze do wzięcia.

W nagłej ciszy stary angielski zegar wybił godzinę drugą.

Deptuła spiętrzył się na krześle i wystawiwszy swobodnie naprzód brzuch, jął głośno mówić:

— W swoim obozie jest pan zawsze do wzięcia, — jako sługa. — Jako sługa, drogi, najdroższy panie doktorze. I tylko, jako sługa. I zawsze tylko jako sługa możnych ludzi.

Strzęgorz uśmiechnął się z tak czułem pobłażaniem:

— Ale ja lubię służyć! Bardzo lubię zależność, doktorze. Herb, indygenat, czy inne rodowody, — to tylko właśnie uznanie zależności. I służby i poddania. My wiemy o tem zgóry. Przynosimy to na świat odrazu z urodzeniem. Gotowe, umówione my, herbowi demokraci z urodzenia. No, a wy, demokraci, zaczynacie raz po raz od samego początku. I znowu czekać będzie trzeba na was przez całe

pokolenia. Będziecie teraz rzeźbili tę najważniejszą mądrość służby, poddania, jak my kiedyś, — rozbijając sobie wzajemnie pyski, — znowu przez sto a może dwieście lat?! — Panie Deptuła, — ja to mówię klasowo, wcale nie osobiście, nigdybym nie śmiał pomyśleć takiej rzeczy osobiście: klasowo, byłby pan jeszcze dzisiaj, w Polsce, najszczęśliwszym człowiekiem, gdyby panu ktoś dobrze...

— A pan?! — przerwał Deptuła.

— Mnie już tę moją gębę obrobili gruntownie przed wiekami. Mój pysk — jeśli pan łaskaw, — dawno już obrobiony. To się później nazywa rasą. Rasowo lubię służyć... Dlatego mówię panu całkiem szczerze: chętnie zostanę ministrem, o ile równocześnie będzie to połączone z jakąś służbą. Służbą dla kogoś, — komuś. Byle nie dla idei. Żadnej! — Dla kogoś, — komuś. Wtedy można się zawsze porachować przytomnie i rozliczyć. Rozumie pan? Bo pieniądz jest zbyt lotny, by się dla takich dawnych ludzi, jak ja, — nie streszczał w jakichś zwykłych, rzeczywistych osobach.

— Doskonale rozumiem. Ba-a-ardzo piękny romantyzm. Nieomal, — Oda do Młodości. Jedyną hipoteką — człowiek. — Twarz Deptuły wypełniła się nagle powietrzem i trwała tak przez dłuższą chwilę, niczem wydęty balon. Balon ów syczał wąziutką szparą warg, pomniejszał się i kurczył.

Umowy ze Strzęgorzem trudniejsze były znacznie, niżby się ktoś spodziewał. Pan plenipotent nie uznawał idei, ani też społecznych klas. Nie miał żadnych przesądów. Unosił się w połyskach swojej lekkiej mądrości, — cichy, nieobliczalny.

— Więc pan nie wierzy jeszcze, w nas, — dobrych ludzi Bigdy?!

Strzęgorz poruszył aksamitnemi brwiami.

— Nie wierzy pan? Czy może jeszcze, — za mało wciąż dajemy? — Deptuła schylił czoło i jakby onem czołem poszukał wśród stronic notesu, śliniąc obficie palce.

Rozmowa „zasadnicza" urwała się. Bez najmniejszego przejścia poseł Deptuła zawrócił do drobiazgów, błahych, zapewne bardzo nawet błahych, które w bieżącej robocie politycznej były na rękę i ludziom ordynacji i dobrym ludziom Bigdy. Stwierdzili wspólnie obaj doktorzy, iż Bank Robotniczy Mieniewskiego dojrzał już całkowicie. Jest obstawiony dokładnie, tak dokładnie, że z leaderem socjalistów będzie się można spokojnie już nie liczyć. O ile go zaś partja pokryje, — no, to go później strawi doszczętnie. A zatem leży też cała sprawa fornali.

Deptuła i Strzęgorz obawiali się wielce fornalów. Przewodził im ów Tyczka, zwany także Sobieskim, potworny drab, atleta, który wszelkie dyskusje kończył waleniem w mordę. Tyczka, jako organizator Związku służby folwarcznej cieszył się znaczną opieką leadera Mieniewskiego. Nie był to więc przeciwnik zbyt wygodny. I sprawa była nad wyraz niewygodna. Dla ordynacji trudna, bo co robić z gromadą fornalską, gdzie tych ludzi obsadzać, czy naprzekór dzierżawcom drobnym jeszcze nie upełnorolnionym, czy też ich spłacać, tę całą służbę, teraz tak niepotrzebną?!

Trudna też była ta sprawa dla Deptuły, dla

całego stronnictwa, bo nadzielenie fornala gospodarstwem — jakiż to koszt! Deptuła twierdził, że najlepiej, aby jakieś powstanie może jeszcze wybuchło, chociażby gdzie na kresach, żeby tam gdzie przystali na jakich kosynierów może ci fornale?! Teraz zaś, gdy się trzyma Mieniewskiego za gardło można przegnać fornali.

Dalej wedle notesu Deptuły:

Wkręcili Bank Robotniczy przez swych fachowych ludzi nietylko w firmę Hart i w dostawę kopalniaka do Osady Górniczej, lecz w kredytową operację drzewną wywozu zagranicę surowca. Tymczasem nie był to wcale żaden surowiec, lecz już materjał obrobiony, zachodziły więc znaczne różnice celne ze stratą Skarbu Państwa.

Strzęgorz ziewnął. — Ach, niezgorsze to wszystko. — Ziewnął raz jeszcze. Ukazała się przytem dokładnie cała jama ustna pana plenipotenta. Czerwonawo-różowa i kształtna, jak u kota, obrzeżona szeregiem zdrowych zębów, w głębi zaś pod łukami podniebienia nabierająca barwy nieomal purpurowej.

Niezgorsze! — Agenci pana plenipotenta, — był przecież płatny od obrotu, musiał więc mieć agentów do naganiania tych obrotów, — wśród kombinacyj ze Związkiem Osadników natrafili na bardzo znaczny objekt kresowy, w który wlazł bank pana leadera Mieniewskiego na ciężkich kilkaset tysięcy dolarów — tymczasem nie uzyska przewłaszczenia teraz i nigdy nie uzyska, gdyż pretensje dawniejszych właścicieli nie dadzą się obalić. Tak więc bank... — doktór Strzęgorz popił winem delikatnie

całą tę sprawę i przełknął solonego migdałka, otarłszy wargi koniuszkami serwety.

Sprawa syna leadera, Tadeusza Mieniewskiego nie była taka jasna, wedle pana plenipotenta.

— Rzecz całkiem inna, gdy wchodzimy w afery, a znów inna, gdy potrącamy o ludzkie życie. Ogromna to różnica. — Niewiadomo dlaczego, mówiąc o życiu ludzkiem jął doktór Strzęgorz zaciągać po kresowemu, chociaż dotąd rozmawiał czystym mazowieckim akcentem.

— Żadna afera przemysłowa, wekslowa nie skompromituje nam ani ordynacji, ani też ordynata. Za duży objekt, — za duże mamy długi. Mieniewskiego skompromituje, bo Mieniewski wspiera się na idei. Tymczasem życie ludzkie może skompromitować zawsze każdego i wszystko. Czy pan Tadeusz Mieniewski zastrzelił rzeczywiście tego chłopa wtedy, podczas leśnej obławy? Nasz adwokat, adwokat ordynacji.

Deptuła machnął ręką.

Losy Tadeusza Mieniewskiego zachowywał dla siebie. Nic to już nie obchodziło pana dyrektora Strzęgorza. Były to kombinacje wyższe, łączyły się z kooperatywą maślaną, piękną spółdzielnią MASŁO.

Łączyły się też z polityką spółdzielni za bardzo radykalną, niebezpieczną, chwilami wręcz spiskową, prowadzoną przez dawnych żołnierzy, wieczystych patrjotów, słowem ludzi bardzo podejrzanych, a skierowaną coraz widoczniej przeciw Bigdzie. Łączyły się też z jakimś nieznanym planem

Bigdy, który to plan Deptuła węszył już dawno, — bezskutecznie.

— Tak, życie ludzkie, — oczywiście. — Deptuła ziewnął głośno. — Będzie tu zeznawała rodzina zabitego kłusownika, pewno inni strażnicy, nasi ludzie. Będzie tu miał niejedno też do powiedzenia...

Deptuła nie wiedział na razie, kto tu i co będzie miał do powiedzenia. Chyba powie coś sama Sprawiedliwość, powie co będzie mogła, zależnie od okoliczności. Powtarzając nazwisko Mieniewski, — nożykiem od owoców uderzał w wystawione na srebrnym kloszu piękne jabłka tyrolskie.

Z salonu śpiewał znów w gramofonie Caruso, do swej Mimi z Cyganerji, o kluczu; zegar angielski tykał luksusowe sekundy, z za okien nadlatywał głuchy huk ruchu ulicznego, tu zaś powtarzało się raz po raz nazwisko prześwietnego leadera, jakgdyby brocząc cichym sokiem ranionego wciąż miąższu.

— Piękny to wieczór, — rzekł Deptuła, podnosząc się z fotela. — Lecz dosyć smutny. Bo ani w mojej osobie, ani też w żadnych nie widzi pan gwarancji dostatecznej, aby iść razem z nami.

— Musimy przedtem, — Strzęgorz jakby się ocknął nagle, — uporządkować stan naszej ordynacji. Nie przyjmujecie panowie dwóch miljonów hektarów.

— Niewiadomo.

— Wiadomo. Będziecie kręcić, zapewne — ale nie przyjmujecie.

— Dlaczego?!—Deptuła wyrzucił ze swej czarnej gardzieli słowo to osobliwie: niby pocisk o na-

stawionym na określony czas zegarze, rozerwało się sprzecznym rozgłosem dopiero gdzieś nad owocami.

— Nie wiem, dlaczego, — odpowiedział pan plenipotent, obierając wonną mandarynkę. — Przecież rewolucji nie zrobicie. Droga konstytucyjna jest dla waszych apetytów za długa. Nie wiem dlaczego nie bierzecie ochłapu, który jest wcale sporym kawałem mięsa. Pan mi powie doktorze, — bo to ochłap! Takie to już na świecie jest prawo selekcji, że pewnym ludziom, klasom, — zawsze będą przypadały ochłapy. Ale ochłap królewski. Jest co rwać, jest co krajać i papuńciać.

— Ochłapy już się na nic nie zdadzą. — Deptuła zjeżył się niespodziewanie. — Bo teraz my weźmiemy całą władzę. I tylko my. Radzę Strzęgorzowi, by sobie nie zawracał głowy ordynacją. Niech idzie z nami! Niechże Strzęgorz zrozumie nareszcie, jeżeli jest choć trochę humanistą, — że człowieka sprzedawać może, — zaledwie do granicy możności ludzkiej. Ideę zaś — do granicy idei. O wiele dłużej, — poprostu w nieskończoność. A mój najdroższy Strzęgorz wciąż tego nie rozumie!!!

Plenipotent odsunął się od stołu, wpatrzony jak najgrzeczniej w swego gościa. Widok był niecodzienny: Deptuła siedział przed saskim talerzykiem, kopiastym od owoców, jak skamieniały. Ostatnie zdania wyrzucił z rykiem, świstem i wściekłością. Teraz zaś, blady, siny, — milczał i choć płaty olbrzymich warg drżały jeszcze, jakgdyby nie oddychał. Praca wydanych słów zdawała się lśnić ustawicznie na połyskliwych płaszczyznach czoła i je-

szcze chyba huczała w trzewiach tego człowieka, — przelewem wrącej treści.

— Powiem panu, doktorze, — westchnął cichutko Strzęgorz, — to jest nowe i wciąż może za wielkie. Nie mówmy o tem jeszcze. Mówmy ciągle o zagranicznej pożyczce ordynacji. Jeśli mi to oddacie w ręce, to całkiem między nami...

Rozmowa urwała się — na czas potrzebny do ustalenia ważności tajemnicy.

Odczytali jej zapewnienie we wzajemnem spojrzeniu, — najzwyklejszem, potocznem. Czuli dla siebie tyle obojętnej pogardy! A cóż da lepszą gwarancję bezpieczeństwa?! Strzęgorz, kreśląc desenie po obrusie nożykiem od owoców, mówił dalej cichutko:

— Gdybyście mi oddali całkowicie sprawę owej pożyczki zagranicznej dla ordynacji, — możnaby sprawić, by nasza sejmowa prawica rozbiła się. Kto wie?... Ordynat miał już dawno tyle zastrzeżeń do tych ludzi. Nie pomogli mu nigdy, mimo, że tyle dawał im swego czasu. Ordynat, całkiem słusznie, uważa się za symbol, widomy ludzki symbol całego obozu. Skoro ten obóz nie dba o swe symbole, pocóż się liczyć z nim! Zdołałbym może namówić Lachowskiego?... Mybyśmy się rozbili. Wybyście się rozbili. O tak, to jest konieczne. Wasza część radykalna odeszłaby wówczas od was, niewątpliwie. Złapalibyście za to naszych radykalniejszych durniów. Ze skorupek zlepiłoby się nowiutką całkiem większość, — naszą... Jeśli mi to oddacie w ręce, — tę pożyczkę, — możemy już dziś myśleć o całkiem nowym bloku złożonym z elementów

odrębnych dawnej konstelacji. Ale cóż?! — Mówił pan sam przed chwilą, że konstelacja nic nie znaczy, drogi panie doktorze?

Deptuła uśmiechnął się pośpiesznie. Bał się teraz okazać nadmierną radość. Strzęgorz sprzedawał Lachowskiego. Ty, Deptuła, nie ciesz się tu zanadto, — na rany boskie, wytrzymaj jeszcze chwilę, — parę minut jeszcze trzymaj się, jak przystało rzeczywistej kanalji!

Deptuła zaśmiał się miłosiernie i nic nie odpowiedział. Rzeczy tak ważne musiały zawsze zapadać w milczeniu, bez widocznych reakcyj. Największą siłą woli panował nad swą twarzą. I znów po dłuższej chwili powrócił do swojego:

— A jednak nie chce pan, — najdroższy nasz doktorze, — teki ministra handlu, mimo, że już teraz mam przed drzwiami ogonek o wszystkie teki całego gabinetu.

— Doktorze, ten ogonek wcale mnie nie obchodzi. — Strzęgorz rozejrzał się po swem własnem mieszkaniu, jakgdyby je oglądał pierwszy raz w swojem życiu. — Przemysł, Handel, — żebyś pan wiedział, — wezmę. Warunki omówimy dokładniej. Wezmę to za pożyczkę dla naszej ordynacji. Więc wezmę nie odrazu. Stawiamy iunctim, pomiędzy nowym blokiem a pożyczką. Mnie zrobicie kuratorem pożyczki. Gdy ją przeprowadzimy, gdy ją ja przeprowadzę, porzucam ordynację, wchodząc w skład gabinetu. To pan przecież rozumie, — formy trzeba zachować. Mówiliśmy już o tem: rasa, forma, czy tytuł, order, herb, czy chociażby tra-

dycyjny obrazek, — to dla mnie rzeczy święte. No tak, no tak, no tak.

Pan Strzęgorz popił winem, zadzwonił, kazał dolać czarnej kawy, odczekał służącego, chrząknął bardzo subtelnie i mówił dalej:

— Hrabia Lachowski wobec tej sytuacji, nowej, tak całkiem nowej, — odejdzie od prawicy. Utworzymy coś odrębnego około ordynata. Elementów jest dosyć, personalja nie trudne. Wysunie się tu na plan pierwszy sprawa kontyngentów ziemi do zabrania. Ziemi do zabrania dla podziału na waszą reformę rolną. To zrozumiałe. Możemy szukać i znaleźć ów kontyngent w tych, albo też w całkiem innych województwach. Zależnie od personalnego składu naszych obszarników. Znajdziemy, gdzie nam będzie wygodnie! To jest a. b. c. tej całej sprawy. Trzeba będzie ustalić kolejność województw, które pójdą pod nóż. Zachodnie, albo wschodnie, południowe, czy może północne?... Na obszary naszych województw, to jest naszej młodej, świeżo utworzonej większości przyjdzie czas chyba wtedy dopiero, gdyż już dawno zabraknie kochanemu naszemu przyszłemu rządowi — pieniędzy. Rozumie pan, doktorze?!...

Deptuła rozumiał doskonale. Musiał się jednak przedtem nacieszyć — poczuciem bezpieczeństwa. Nacieszyć się, — napieścić! Rwało się teraz wszystko w pośle i czekało i huśtało i dygotało przenajsłodszą radością podstępu, oraz dumy, tak wielkiej dumy! Chyba zrozumie wreszcie Bigda, jakiego ma kompana!!

Deptuła odął się dla niepoznaki, schylił nos

nad notesem, zapisywał coś niby na kartce, — może pan być spokojny panie plenipotencie, ja szyfruję, — natomiast w rzeczy samej obliczał doniosłość intrygi... Obliczył więc odrazu, że tak, czy owak, czy się Strzęgorz przewali na pożyczce, czy nie, — dla ordynata będzie zawsze za późno! Mieli to przecież ułożone Deptuła z Bigdą, że ordynat sam, osobiście wejdzie w skład gabinetu. Kiedy wejdzie?

Wejdzie, wysunięty po wszystkiem już, przez wrogów Bigdy, jako minister Wyznań i Oświaty. Ten idjota! Bo dyrektorem Wyznań zrobi się przedtem, — radykała. Znajdzie się na tę posadę zawsze jakiś warjat, jeśli nie z Odrodzenia (Dolański?!) to chociażby ten matoł Gruszka! Gruszka naciśnie kler (mało to tam takich kwiatuszków w konkordacie) a ordynat dla tejto świętej sprawy będzie musiał i wejść do gabinetu i jako członek gabinetu, podszczuty przez Ciaracha, będzie musiał poniechać swej pożyczki aby bronić zagrożonych spraw wiary. Niechno ksiądz biskup a zarazem poseł na sejm poczuje pismo nosem, — ordynat będzie musiał tak tańczyć, jak mu katabasy przykażą.

Deptuła podniósł się nagle z krzesła. Schował notes, owinąwszy go gumką nader pieczołowicie. Schowawszy notes, strzepnął mocno rękami, jak człowiek, sposobiący się zaradnie do podźwignięcia ogromnego ciężaru. Wyrzekłszy błogim falsetem słowa, — a więc mamy już naszą zdrową większość, — podszedł do Strzęgorza.

Dyrektor Strzęgorz otrzepał lekko swój frak na ramieniu. Potem namarszczył czoło, — ale już roz-

pogodził ponure zmarszczki. Zalśniwszy blaskiem skroni, oczu i zębów, gorsu, spinek, paznogci, — wyciągnął ku Deptule ramiona.

Dwaj doktorzy padli sobie w objęcia, — tuż obok twarzy własnych, czule i głośno całując zadymione powietrze jadalni.

Dobrzy ludzie Bigdy.

Należało teraz jaknajprędzej obrobić Gruszkę! Rozumiesz, Gruszka, — tak to sobie układał w głowie Deptuła, — bałamuciłeś za młodu księże gospodynie, a teraz samym katabasom dobierzesz się do sadła. Tak się powie posłowi Gruszce, zacnemu ojcu wszelkiego ruchu ludowego.

Uwalniałeś tam, kiedyś, ciało swego ludu, uwolnij teraz duszę z strasznej niewoli księżej, ty, jako minister Wiary i Oświaty. Minister, — oczywiście!

Potem okaże się, że ministrem stary kochany Gruszka zostać od ręki nie może, gdyż jeżeliby został zaraz teraz, — to Kos, mający piekielny apetyt na tekę Skarbu, zwarjuje chyba z zazdrości i secesję wyczyni! Czyli trzeba poczekać, poczekać pięknie, z przeczekania zaś wyjdzie już potem nie minister a coś mniejszego: dyrektor departamentu Wyznań.

To źle? A cóż to, dyrektor departamentu Wyznań też nie pies chyba i nie mucha dla starego łazęgi, — jak Gruszka! Ale to zawsze tak jest w życiu: Wszyscy się już zwiedzieli, wszyscy przemyszkowali, że tu już idzie gra większa i znacznie grubsza od poprzednich, — tylko Gruszka zapodział się gdzieś, czy wyjechał, czy zapił?

Wszyscy się nasuwali Deptule pod rękę, wiedząc przecie, że do Bigdy on jeden jest instancją właściwą. Nasuwali się swoi jawnie, a przeciwnicy cichcem, tylko właśnie nie Gruszka. Szło tu nietylko o reformę, ale o cały Rząd. Gadania i szemrania po kątach, i znów cichych pijatyk i po hotelach spotkań, z dziwkami i bez dziwek i znów jakichś wyjazdów, wielce kombinowanych, ci do tych, a tamci znów z tamtymi, a potem znowu w prasie domysłów, gadaniny!

Kos był tu najgłośniejszy, rwał z miejsca na ministra finansów (nie mówił Skarbu, ale właśnie finansów) Kortys rozdzierał szaty, Sarbus — kwilił. Ta chytra szelma umiała kwilić jeden, dwa, trzy tygodnie, potem się jawił z jakąś tłustą pretensją a nie wygódź mu, — to już secesją grozi.

Nawet Ciarach! Czy to słychane były dotąd rzeczy, by taki Ciarach, choć niby zawsze Hamlet zdychający, ale przecie profesor, hrabiowski nauczyciel, taki tam sobie ostatni z Habsburgów jak o nim mawiał Bigda, — czy to słychane rzeczy, aby się teraz ta śmieszna człeczyna tak przypinała właśnie do Deptuły?! Na obiad prosi do domu, do wicemarszałkowskiego mieszkania sejmowego.

Nie cierpieli się obaj oddawna. Ciarach bowiem w dystynkcji tonął, podczas gdy znów Deptuła uważał się, choć pod chamską pokrywą, — za człowieka wysoce współczesnego. Wiadomo chyba, co taki Ciarach gadał między posłami zawsze o Deptule. Zazdrościł mu pierwszego miejsca przy Bigdzie, intrygował, podjudzał. Przemilczał w swych gazetkach ludowych. A teraz daje obiad familijny, pomiędzy

portretami swemi i rodzinę wystawia, dla towarzystwa takiej tam niby świni jak Deptuła.

Jedzą razem obiadek higjeniczny, wzorowy, bardzo moralny,—córeczki asystują z kokardkami we włosach. Czoło Deptuły od tej zapiekłej cnoty, na jednem miejscu tak szczelnie zgromadzonej rozbruździło się i wyrównało do gładzizny — stalowej.

Idą wspólnie uśmiechy i wspólne uprzejmości wzajemne, poprostu już — cholera i istny Wiesław Brodzińskiego. A przecież Ciarach wie i musi wiedzieć, że Deptuła o świństwie tylko myśli, w plugawych myślach może tu nawet córeczek nie oszczędza i na żonę, na panią Ciarachową obleśnie patrzy, — od strony kształtów, — co też stanowić może taka kobieta w łóżku?!... Ciarach to wie. I nie może się łudzić, bo to jest właśnie w wzroku Deptuły otwarcie wyrażone. To nic! Dzieciny z kokardami we włosach papuńciają zbożnie, pani Jadwiga Ciarachowa, córka hrabskiego oficjalisty rozmawiła towarzysko, — potem przeszli na papierosa i czarną kawę, bo u pana wicemarszałka nie wypada już wszystkiego żreć przy jednym stole.

Zostali sam na sam. Deptuła kazał sobie podać do czarnej kawy zwykłej wódki i szklankę, literatkę. Zapijał literatką ten obiad dla niemowląt, w całkiem szczere obawie, że „inaczej" zrzuci te wszystkie dania, — gdziebądź, chociażby tutaj zaraz, na kilim krajowego wyrobu.

Ciarach szeptał Deptule pilnie do ucha, o poświęceniu własnem:

— Bo w takiej sytuacji, jakaby nastać mogła dla nas, gdy zwyciężymy, — zostać marszałkiem sej-

mu, to już potem przekreślić się na przyszłość całkowicie. Bo marszałkowstwa takiego nigdy potem człowiekowi nie wybaczą!...

— Więc już obliczasz naprzód, nawet na nasz upadek przyszły?!

— Nic nie obliczam! Nie chodzi tu bynajmniej o żadne obliczenia. — Ciarach i to wbrew własnym osobistym interesom, — czuł poprostu brutalne powołanie a nawet coś w rodzaju historycznej misji!

— Coś w rodzaju ofiary! Pierwszy marszałek— pierwszej chłopskiej większości!

— Taka pensja — pięciokrotna, — hepnął zwięźle Deptuła. — I masz fundusz reprezentacyjny, — najdroższy mój! No, wydasz na początku jedną głupią herbatkę, a potem wszystko bierzesz legalnie do kieszeni. Samochód masz, bilet kolejowy za darmo, ale ci tego mało, — masz swój osobny przedział, gdyż jesteś zaraz postacią historyczną i niechże z ciebie przypadkiem jakaś tajemnica historyczna wycieknie, — musisz mieć własny przedział w wagonie! Będą nowe portrety, każ robić na obrazach dziurki w klapach surduta, będziemy ci tam wtykać świeże kwiatki codziennie!

Ciarach był entuzjastą, więc choć żałował już naprzód owych pieniędzy reprezentacyjnych, krzyknął:

— Fundusz reprezentacyjny oddam zaraz na partję.

Okrzyk ten sprawił swoje i pierś Ciaracha wezbrała nagle wielkim oddechem szczęścia: tuż obok tacy z czarną kawą ukazał się nareszcie znany notes Deptuły w ceratowej okładce. Pierwszy przyja-

ciel Bigdy ściągnął rozważnie gumkę blado-czerwoną, poślinił brzegi kartek, odszukał wolne miejsce i jął coś zapisywać.

Ciarach wstydliwie odwrócił się ku oknu. Deptuła zaś zakrywszy notes ręką, pisał tutaj pośpiesznie w gęstej rubryce agend:

„Nie zapominać, że Ciarach belferował u książąt Rosławskich. To Ciarach zwróci się do Rosławskiego, w sprawie udziału Lachowskiego w naszym gabinecie. Nie wolno zapominać".

Jeszcze nie skończył Deptuła napisać tego zdania we własnych kryptonimach, gdy już Ciarach znów gadał. Przysiadł się do Deptuły blisko i podniecony gada prosto w ucho. Deptuła zaś nie słucha. Nie słuchał teraz wogóle nikogo a tylko rozpoznawał sprawę tak jakoś, — po zapachu.

Ciągle przecież w tych dniach ostatnich, i wielce gorączkowych podchodził ktoś, podkradał się, przyczajał a potem gadał tajemnie prosto w ucho, zionąc zapachem gęby i żołądka. Podczas takich okazyj Deptuła rozjaśniał połyskliwe czoło, chłonął oddech człeczyny i już słów nie słuchając, sądził wedle zapachu. Wonie te, czy też smrody były różne: wódeczne, tytoniowe, żołądkowe, inne znów jakby przaśne a inne przypalone, czy też zakalcowate.

Zapach Ciaracha był niby świeży, ale z głębi, od spodu, gniło coś w tym człowieku nieustannie.

Naszeptywał teraz żarliwie o Stachowskim i o dywersji z krzyżem w sali sejmowej. To ci dopiero nowość! Jakby Deptuła nie miał już w ewidencji i od kiedy i od ilu miesięcy, — owego Sta-

chowskiego i jakby go nie śledził i nie powierzył już zawczasu do rozpatrzenia Kapuścikowi.

Pogrążony w zakalcowatym zapachu Ciaracha, myślał Deptuła znowu z wielką niecierpliwością o tem właśnie, że Kapuścik wciąż idzie torem politycznym, gamoń głupi, pcha się wciąż w konspiracje narodowców, tam szuka, tam bobruje po sprzysiężonych, kruchtach kościelnych i podziemiach, a to wcale nie o to tutaj chodzi, lecz o najpospolitsze najcodzienniejsze łajno! Którego przecież mają ci „Kontuszowcy" wyżej głowy, — nadużycia, prywaty, hazardu, oszukaństwa, — mało to tego było na każde zawołanie?! Ciarach bał się o Stachowskiego, narodowców i kler. Idjota Ciarach! Nic nie wiedział, że między głównych powierników kleru wtryni się sprawę obu wielkich hoteli, hotel marszałka sejmu Stachowskiego, Excelsior, contra hotelowi księcia Rosławskiego Patria, na tem tle dopiero Lachowski wejdzie do gabinetu... Bali się wszyscy tej historji i nawet stary Gruszka, który się znalazł wreszcie.

Przyniósł do klubu swe nowe numizmaty, — tak się wyrażał, — numizmaty.

Dwie srebrne, rzymskie monety, znalezione gdzieś na wsi, przy kopaniu ziemniaków. Dwa sreberka okrągłe, płaskie z głową Imperatora, bardzo jeszcze wyraźną. Obie monetki przyniósł w pudełku od zapałek, Deptule na pamiątkę, — zawinięte w czerwoną watę.

Z racji owych monetek przydarzyło się posłowi Deptule, co mu się już nie przytrafiło od tak dawnego czasu i potem tylko raz jeszcze, ale to już po wszystkich strasznych wypadkach z Bigdą i z sejmem,

przesileniem i z całym tym garusem państwowym:— że w panu pośle Deptule zadrżała niespodzianie — dusza. Zadrżała dusza w dreszczach — niepotrzebnych, całkiem niespodziewanych, bezużytecznych a idących z zapomnienia w zapomnienie.

Oto jest twarz Imperatora, oto oblicze systemu światowego, oraz prawa, które nie może umrzeć, wpatrzona tutaj nagle wieczystą swą powagą z pudełeczka zapałek, — w nędzny rozgardjasz klubu.

Poseł Deptuła nie wierzył przecie w żadne metampsychozy. Pogardzał zaświatami. Jednakże przez krótki błysk sekundy poczuł się wyższym i odmiennym człowiekiem. Człowiekiem choć zbłąkanym, — to przecież nieśmiertelnym. Doznał wrażenia, że przelatuje przez jego marne ciało, poprzez nędzne, doczesne istnienie — cała wielkość historji. Wszelkim wdziękiem, jedynem pięknem tej historji jest zawsze, — że kroczyła i kroczy przez wieki wieczne po karku wszelkich Deptuł.

Trzymał rzymskie pieniążki w grubej, spoconej dłoni. Ich zimny chłód, chłód objektywny, spokojny, rzekłbyś boski — zdał się przemagać tutaj z żywem ciepłem człowieka. Deptuła szukał pośpiesznie w myślach: jakieś dalekie światy, lepsze, o stokroć lepsze, trudne, straszliwe, mroźne...

Uśmiechnął się do Gruszki rechotem tłustych piersi, porwał to stare truchło ludzkie w swoje ciężkie objęcia i zawołał do ucha prosto:

— Ciarach ma być marszałkiem sejmu, a ty będziesz ministrem Oświaty, oraz Wyznań. Tylko nie mów nikomu, dziadu, bo przecie wiesz, że Kos śpieszy się też ogromnie!...

Oblicze Gruszki oblała łuna szczęścia. Złożone modlitewnie dłonie wyciągnął przed się i zawołał po trzykroć, — Oświata! Poczem otworzył starą gębę szeroko i tak został z otwartą, pustą japą, żeby mu w nią pieniążek rzymski można spokojnie wrzucić, a staryby nie poczuł. Deptuła zostawił tu starego durnia; odszedł, na cóż ich mieli widzieć tak długo razem gadających?

Wszędzie teraz gadali i wszędzie coś szeptali, nawet ci z Odrodzenia przebąkiwali o swoich apetytach a tu znów wielkie żarcie w Excelsiorze z przemysłowemi bańdziochami. Nie w barze Klasa, — w Excelsiorze, w hotelu pierwszorzędnym marszałka Stachowskiego, w gabinecie, z tańcami artystycznych baletnic.

Tu się znowu poczuł Deptuła kominem, długą rurą przestronną, okopconą, która trwa tak wybornie pośród nagich dzieweczek, — pośród tej gładkiej wymuskanej sarniny ludzkiej. I smoli tę sarninę! Podczas żarcia z przemysłowcami w hotelu Excelsior rzecz była trudna, gdyż poczucie bezpieczeństwa odczuwał tu Deptuła jeszcze o wiele większe, niż w rozmowie z Strzęgorzem. Zupełne, — graniczące chyba z błogostanem.

Gdyby jeszcze nie myśl o tym idjocie Kapuściku, który mając taki punkt zaczepienia, jak ten hotel, — po kruchtach i po podziemiach kościelnych szuka, — bydle!

Poczucie bezpieczeństwa: wszystkie problemy życia stopione w jeden poryw, w jeden szum, jeden ogień. Deptuła gotów był już zapomnieć tutaj o tem, co najważniejsze — o stworzeniu większości dla Re-

formy Rolnej. Na to przecież tytłał się z tą hołotą, aby wyniki dobre przedstawić jaknajśpieszniej Bigdzie. Więc — prędzej, prędzej, prędzej!

Deptuła, który naogół nigdy nie przemawiał, tylko targował się, handlował o kompromisy, ustępstwa i ugody, — poczuł, że jeśli nie przemówi teraz uroczyście, — rozpłynie się i do reszty ulotni w poczuciu bezpieczeństwa.

Przemysłowe bańdziochy, — zdrowa tęga hołota.

Wstał tedy, — widział się doskonale w przeciwległej sali. Oto stoi tu przecież, syn biednego dróżnika kolejowego Władysław Deptuła, który całe dzieciństwo bawił się czerwoną chorągiewką kolejowego ruchu. Oto stoi tu doktór dwóch fakultetów, których to fakultetów nie zdoła przez najdłuższe swe życie wyrzygać z powrotem na głowy swych rodaków. Stoi tu rura, przewód, komin, którym ciągnie bezmierna rozkosz żarcia i wszystkich spraw zmąconych. Komin huczy rozgłośnie przed tem bydłem — o Bigdzie.

— Bigda idzie, panowie, czy wy to rozumiecie!? Znaczy to, że historja odrabia swoje przerwy. Historja, — metalowe oblicze, nigdy nie wiedzieć kiedy z grud ziemskich wyorane. Ta historja powraca na zapuszczone, nieobrobione miejsca. Nic groźniejszego, panowie przemysłowcy, od powrotów historji w życiu społeczeństw, czy państw, czy też narodów. Bo na tych miejscach zapomnianych oczekuje historji swej człowiek, który choć był, — lecz nie żył dotąd historycznie. Jeśli mu nie pomogą wszyscy inni,

jeśli mu nie ułatwią, — zabierze wszystko sam, niszcząc po drodze wszystkich!

Deptuła spostrzegł, że mówi źle i niebezpiecznie. Że w tem, co mówi, są przecież tony denuncjacji. Tak to już było zawsze! Ile razy wpadał w zachwyt nad swoim przyjacielem i opiekunem Bigdą, tyle razy, jakby go denuncjował przed wspólnymi wrogami. Syn dróżnika kolejowego doktór Władysław Deptuła zweksłował więc coprędzej z tego toru na inne wygodniejsze. Choć trwali tu przy wspólnym stole, jeszcze bliżej ich skrzyknął. Zbliżyli się głowami, czoło w czoło, — największe było białe czoło Deptuły.

O cóż chodzi, — poprostu?

Nie o drobiazgi jakieś. Już nie o certyfikaty z ministerstwa Przemysłu i Handlu na wywóz jaj, czy mleka. Już nie o cło na papier dla pana redaktora. Nie o cło na jedwabie! — Deptuła przycisnął swój wiekopomny notes oburącz do piersi. — Chodzi tutaj o cały wywóz, cały bilans, wszystkie premje, cały bilans handlowy, cały rynek wewnętrzny. Ha!!! — wrzasnął dziko wśród spartych wokół siebie bańdziochów.

Jakby je poszczuć pragnął. Krzyczał, szczuł, wąchał olbrzymi ich apetyt — w poczuciu zupełnego bezpieczeństwa.

— O co chodzi? O cukier? To proste! Przystąpcie do kartelu z o wiele większym kontyngentem wywozu. To sobie tam wyróbcie w słodkiej międzynarodówce cukrowej. Trzcina walczy z burakiem. Bezczelna jest ta trzcina. Niech żyje biedny i uciśniony burak! Jeśli z nami pójdziecie, my wam tu pod-

niesiemy cenę wewnętrznego spożycia. Możemy to spunktować, kiedy chcecie! — A znów panom, — mówił to do omszałej pały, rozkiwanej sentymentalnie na opasłym żywocie, — chodzi bardzo o krochmal. Anglja musi mieć tani krochmal. Masło, cukier, bekony, jaja z dokładnemi datami na żółtawych skorupkach. Bo muszą być żółtawe, Anglicy wolą takie. I muszą mieć dokładne daty. Ha! Zboże!!

Dech z siebie wszyscy wydali, gdy się nareszcie do tego słowa domówili. Zboże rodzone w ziarnie, czy też poprzez hodowlę zamienione w rozliczne mięso!

I znów, jak gdy o Bigdzie mówił, doznawał tu Deptuła uczucia prowokacji. Nie dlatego, że kłamał. I nie dlatego, że rozliczne warunki wypisywał w notesie wiekopomnym. Lecz dlatego, że to była dość straszna sprawa, — patrzeć, jak za pomocą tych rozmaitych cen, cicho, składnie, uprzejmie przeganiały bańdziochy po stole wszelki ziemiopłód kraju i łączną pracę wielkich miljonów ludzi.

Deptuła drżał z rozkoszy. Ciągnął te sprawy poprzez siebie z ogłuszającym szumem, z najmilszem rozrzewnieniem, widząc je jeszcze dalej i szerzej. I tu i w innych krajach, wszędzie składają się na ów korzystny bilans kosztami rynku wewnętrznego, składają się tak wszędzie, coraz dalej i dalej przez wszelakie narody, nad granicami płyną, — jeden zwarty świat krzywdy, zakamieniały, twardy, przerzucany spasioną ręką z jednych pleców skrwawionych na drugie. Tak rozumiał te sprawy Deptuła, godząc się na nie zgóry, w jaknajszerszym szacunku dla niezgłębionej chciwości ludzkiej.

Warto na wierzchu tego świata posadzić wkońcu Bigdę.

Patrzeć, jak będzie siedział i tronował i stać sobie spokojnie obok. Patrzeć, jak Bigda będzie im łamał kości, a oni będą wrzeszczeć w niebogłosy, że t a k nie wolno kości łamać i nikt jeszcze nie łamał tak okropnie...

Deptuła pisał skrzętnie w notesie, popijał, dogadywał, wspominając zasłyszane kiedyś od leadera Mieniewskiego nauki o „próbie przedmiotu". O tem, że nowi powojenni działacze nie wytrzymują zupełnie pokusy posiadania. W tych dniach tworzenia nowej większości przechodził Deptuła z swym obozem „próbę żarcia".

Nażarty i napity, pękający z sytości, wzdęty, porozpinany, z żyłami skręconemi na skroniach, nie wracał już z układów jak dzisiejsze, do mieszkania w sejmie, lecz szedł do swojej „budy", o której wiedział z kolegów tylko Bigda. Szedł do budy, do poufnego mieszkania za barem KLASA, — wysoko, aż na szóste pięterko.

Takie tu miał mieszkanie och, skromniejsze od „locum" Strzęgorza. Bocianie gniazdo, — bardzo skromne i biedne. Prawie całkiem bez mebli a tylko udrapowane taniutkiemi szalami z tureckim drukiem, na perkalach, czy korcie. Szale tanie, jak barszcz, a nader fantazyjne, przenośne a zarazem ogromnie malownicze.

Mieszkanie składało się z dwóch pokoików i kuchenki, zupełnie pustej, w której na piecu zimnym, przy gazowej maszynce kisły zazwyczaj stare zapasy jedzeniowe. A znów w kącie — butelki. Deptuła nie

mógł zasnąć bez trzech, lub czterech butelek piwa do poduszki.

Do mieszkanka wchodziło się z głównego korytarza, boczną sionką, potem przez cztery całkiem niespodziewane stopnie. Kto nie wiedział, ten prawie zawsze potykał się i nie bez tego nawet, że mógł tu sobie dokładnie powybijać zęby. Deptuła jednak wiedział o tych schodkach i lubował się nawet do pewnego stopnia tem właśnie, że opity, obrzękły, wprost z bramy aż na to szóste piętro idzie po ciemku, nie świecąc, a nawet dłońmi nie macając poręczy.

Wędrowanie po ciemku, bez oparcia o poręcz schodów, utwierdzało Deptułę w poczuciu trzeźwości. Na podwórzu i na parterze szumiał, gruchotał, oraz dudnił muzyką bar KLASA. Warto było przystanąć i posłuchać tu właśnie, w ciemnej klatce schodowej — owego gruchotania.

Głos ludzi bardzo miękki, — dźwięk naczynia i szkła, donośny, sypki, szczelny. Jakgdyby w metalowo-szklanych trybach mełło się ciało ludzkie pokrzykując bezsilnie.

Próbowana wzdłuż pięciu pięter trzeźwość posła doktora Deptuły, doznawała powyżej baru, na drugiem, trzeciem piętrze dość częstych pokus a nawet niebezpieczeństw. Zjawiały się tu — przywidzenia. Groźne i straszne. Rozpoczynały się zazwyczaj na drugiem piętrze i trwały aż do skutku, to jest aż do poddasza. Pośród przywidzeń tryskały w łomocie bijącego nadmiernie serca myśli nagłe i straszne: Że się z Bigdą rozejdą... Że ich rozdzieli śmierć...

Jaka, — czyja — i kiedy?!!

że lepiej teraz jeszcze zawrócić do gimnazjum na belfra znów. I znów wykładać chłopcom o wzniosłym romantyzmie. Albo odszukać matkę?...

Poseł doktór Deptuła pamiętał, że matka jego pobiera emeryturę po swym mężu dróżniku. Parę groszy miesięcznie. Gdzie się obraca stara, z czego żyje? Podobno nawet żebrze?... Wzdłuż wszystkich pięciu pięter takie myśli — anielskie.

Na szóstem, wobec światełka arabskiej lampy, umieszczonej pod stropem ciemnego korytarza, pierzchały te idylliczne stany duszy. Deptuła wchodził do siebie, — do bocianiego gniazda.

Ciepło tu było aż gorąco, oba pokoje przylegały ścianami do kominów. Miotał się tu, obżarty i opity, pomiędzy tureckiemi łachmanami. Patrzył zgóry przez balkon na światła wielkiej stacji centralnej, na dymy lokomotyw, ogromne kłęby pary, rozpływające się w węglowych mrokach. Na sztywne gały elektrycznego światła.

Widział stąd dworzec centralny. Całe dzieciństwo przecież od zarania pamięci spędził Deptuła przy kolejowym torze w nędznym domku dróżnika. Patrzył teraz na wielki dworzec, oczekując, czy nie zastuka pani Guńkiewiczowa.

Stukała, kiedy trzeba, nie przepuściła dotąd nigdy żadnej okazji. Wdowa po jakimś rzekomym pułkowniku, czy też radcy cesarskim i do tego hrabina niby! Ów mąż, radca, czy też pułkownik, za resztówkę oddał to wielkie mieszkanie Deptule. Za protekcję do tej resztówki. Resztówki nie otrzymał pan radca, protekcja nie pomogła, umarł ze zmartwienia na udar serca, babsko zostało same.

Deptuła odnajął jej mieszkanie z powrotem, wziął weksle, a znów pani radczyni uwiła w tych pokojach dosyć wesołe gniazdka...

Poseł doktór Deptuła obraził się, steroryzował babę możliwością policji i podwyższył komorne. Miał już i forsy więcej i miał tu też, co chciał, — cały kojec młodziutkich dziewczyn z miasta. Mieszkanek tego pięterka eleganckich, wytwornych, do wyboru na każde zawołanie. Opity i obżarty, najchętniej wołał sobie Lolkę Romek, która go olśniewała bezczelnością.

Lola Romek odgrywała przepiękne sceny cnoty z swymi kawalerami. Że to nieporozumienie chyba,— wołała — ona nigdy nie chciałaby, to hańba! — I zaraz w dyrdy na korytarz mdleć w pantofelkach z pomponami, w bieliźnie, lub w koszuli, lub nawet boso — pod kaukaską lampeczką. Sceny swe odgrywała tak świetnie, że gdy się to po raz pierwszy przytrafiło, nawet on, zatwardziały Deptuła, — chciał już interwenjować.

Lola Romek była dziewczyną zgrabną, dość pełną jednak, o twarzyczce niewinnej, smagłej, niebieskookiej. Rączki małe; malutkie śnieżne piersi; puszyste złote włosy i karczek gładziusieńki jak szkło. Niestety, — Lola Romek była dzisiaj zajęta.

Deptuła wywołał sobie inną, z pod numeru czwartego, sentymentalną szatynkę, płaksę, byłą nauczycielkę, lecz gładką, bardzo ciepłą. Gniótł, dręczył i pożerał tę cielęcinę ludzką. Poczem ją wygnał, najmarniej opłaciwszy, przespał się i leżąc jeszcze w łóżku, rozprawił się stanowczo z zamówionym na tę godzinę ranną Kapuścikiem.

Czas był najwyższy, ostatnie prawie chwile przed wielkiem przesileniem mijały — a Stachowski wciąż jeszcze wcale nie osaczony.

— Panie Kapuścik, — huczał Deptuła niesamowitym basem, — ja pracuję nad panem, pracuję i pracuję, dziecko moje najdroższe, wysilam się, nastawiam pana pilnie, lecz zdaje się bez skutku?!

Kapuścik żachnął się zbyt energicznie, przeto Deptuła powtórzył po raz drugi:

— Bez skutku, tak — bez skutku. Mówię, byś mi co żywo wystawiał Stachowskiego. Przecież pan wie, — Stachowski może nam w sejmie wyskoczyć nagle z krzyżem. Ze sprawą krzyża w sejmowej sali obrad. Jeśli mi z tem wyjedzie, — wszystko będzie zapóźno i już nie odrobimy! Wie pan to raz nareszcie, czy też ciągle pan nie wie?

Kapuścik dźwięknął rozumnie ostrogami.

— A więc pan wie? I cóż pan robi?

— Wszystko.

Na to Deptuła: — Za dużo!

— Nie, panie pośle. Wiem najdokładniej, gdzie się zbierają, kiedy, jak są zorganizowani. Gdzie mają broń. Wiem wszystko!

— Pan nie rozumie, dziecko moje najdroższe,— huczał Deptuła, ze zgrzytliwym chrobotem skrobiąc zarost na piersiach, — że ja nie potrzebuję, abyś ty mi ze Stachowskiego tworzył tutaj spiskowca, bohatera. Daję panu do wystawienia drania, a pan mi chcesz koniecznie wystawiać męża stanu. Słuchaj pan prędko, bo nie mam wiele czasu: Masz pan tu elementy. Doskonałe. Ba, mogę dodać nawet trochę pieniędzy. Dodam, jak Boga kocham, dodam. Ele-

menty: mieszka tu obok panienka. Lola Romek. To moja pierwsza dzisiejsza myśl poranna, a takie myśli nie zawodzą mnie nigdy. Lola Romek, z prowincji, a może ze stolicy, — wszystko jedno, — nie o to. Obejrzysz ją pan sobie. Poznasz się może bliżej. Dziewczyna doskonała. Cacko — i drań skończony. Niema mądrzejszej nigdzie, mógłbym za to ręczyć. Tę dziewczynę musisz pan skombinować z portjerem Excelzioru. A także z panem dyrektorem hotelu Patria. Pan dyrektor hotelu Patria — konkurencja naszego Excelzioru — poda ją komu trzeba dalej i jeżeli za dwa, do trzech tygodni nie zacznie się tam w Excelziorze poker, którego to pokera nakryjecie z powodu awantury z kobietami, — to nie znam pana więcej!

W odpowiedzi wygłosił Kapuścik mowę. O służbie, oraz świętych obowiązkach służby.

— Panie pośle, — zawołał, — wiemy o sobie wiele. Dobrze, robimy sitwę. Ale to, co pan tutaj wypowiada, — przekracza wszystkie zakresy służby. Ani to nie jest wywiad, ani inwigilacja! Tu się już służba kończy!

Deptuła żachnął się na łóżku, kosmate łapska wyciągnął nagłym rzutem z rękawów koszuli i niespodziewanie jął szeptać. Zrazu szeptał spokojnie, potem ze łzami w oczach, potem z jękiem proroczym:

— Twoja służba, najdroższe dziecko moje, nigdzie się dziś nie kończy. Twoja służba musi przenikać wszystko, jak miłość, która przecież tak samo, — wszystko, wszystko przenika. Nie wiesz o tem, żeś ty jest wszędzie na świecie — wiernym stróżem

i psem?! Wszyscy zawsze na ciebie z kijem idą, ale ty wiesz dokładnie, że bez ciebie byłoby jeszcze gorzej. Ty przecie jesteś widomym wstydem ich wstrętnych namiętności. Ty przecie jesteś—owo najmniejsze, najpospolitsze zło, tak słusznie ukochane. Każdy tu mówi zaraz, że służba mu się kończy. Na tem, czy innem miejscu. Zawsze tam, gdzie wygodniej. Dziecko moje najdroższe, pokażże mi pan ludzi, takich, jak ja, dla których służba nigdzie się nie kończy?! A dlaczego? Bo ja jestem współczesny, kochany Kapuściku i ciebie także muszę nareszcie uwspółcześnić. Jesteś zanadto — romantyczny. Powiedziałem ci kiedyś, że możesz zostać wojewodą. Dlatego teraz już widzisz wszystko w za szerokich rozmiarach. Widzisz, tragicznie szukasz odrazu broni, wielkich historyj, awantur!

Gdybyż to poseł Deptuła wiedział, na czem polegał prawdziwy tragizm położenia pana Kapuścika. Tragizm ów polegał teraz na istotnej nadziei i wierze... Kapuścik zbadał najzupełniej dokładnie w herbarzach, na czem zasadza się istota karmazyństwa. Polega ona na szeregu przodków, którzy piastowali w państwie wysokie urzędy. Pierwszym z takich przodków w rodzie Kapuścików miał właśnie dzięki Deptule pozostać on sam, Florjan Kapuścik, gdy wytrzymawszy wszelkie ciężkie próby, zostanie mianowany kiedyś wkońcu, dzięki wpływom Deptuły, — wojewodą.

Komuż jednak przekaże ten zaszczyt?!

Pan Kapuścik bowiem, — miał od niedawna syna. Karolcia Domagało, czyli Pecyńska, wydana za Antoniego Pecyńskiego na Politechnikę Warszawską,

budynek Nr. 3, powiła woźnemu Pecyńskiemu chłopca, którego ojcem był przecież on, Kapuścik!

Bolał teraz nad synem tym, poczuwszy w sobie wielką miłość ojcowską, oraz jakowąś ciągłość życia, tradycji, następstwa, nieznanych sobie dotąd. Czy będzie mógł kiedyś tam, kiedyś, — usynowić małego Pecyńskiego?!... Nie mogąc sobie poradzić z nawałem spraw tak wielce doniosłych, dramatyzował Kapuścik w swej pracy policyjnej i — „latał po obłokach", szukał broni, wielkich sprzysiężeń, spisków, zamiast tropić i szukać zwykłych przeciętnych łajdactw.

Rozstali się, Deptuła olśniony samym sobą, Kapuścik zaś ponury, chmurny, pełen nowej, wielce srogiej energji.

— Ty jeden o tem wiesz, — szepnął mu w ucho Deptuła przy rozstaniu.

Stanąwszy tuż nad jezdnią, poseł zapomniał natychmiast o Kapuściku. Zażywał, — kołysząc się nad ściekiem ulicy, — niebywałej rozkoszy, jaka wyniknie niebawem z rozmowy przełomowej, pomiędzy Bigdą, Stachowskim i Deptułą w decydującej chwili.

Sprawa krzyża w ręku marszałka Stachowskiego ustąpi bardzo łatwo problemom Excelsioru... Deptuła wszedł do pokoju Bigdy w hotelu sejmowym, bez pukania. Zastał swego leadera, siedzącego na łóżku w krótkiej, dziennej koszuli, z pod której lśniły na pościeli potężne nogi, żółte, o mięśniach zwartych, wyraźnie oddzielonych, jak się to widzi u atletów na japońskich malunkach. Żółta skóra wielkich ud Bigdy błyszczała w kilku miejscach, powyżej kolan ogromnemi kręgami białych blizn.

Wiedzieli obaj posłowie, że mówić niema o czem. Popatrzeć sobie w oczy, chociażby raz, przypadkiem, — to jeszcze niebezpieczniej, niż mówić. Deptuła kawę obstalował. Dwie kawy. A nawet dwa komplety! Całe porcje.

— Otóż to, tak, — komplety.

Już za dużo powiedział. Niepotrzebnie. Pocóż było dodawać słowa, — „otóż to, tak"?! Tu trzeba czekać cierpliwie, nie gadać nic, być tylko sobą. Którym sobą? Trzeba być tak, jak Bigda, — kamieniem.

Popiwszy kawy, wziął się Deptuła niby to — do notatek, choć czas było zejść już na posiedzenie sejmu.

— Widziałem, — rzekł, podnosząc białe, i jakby wzdęte czoło, — że Ciaracha szukali, by zastąpił marszałka. Znowu konwent seniorów. Coraz im się tam robi taki guz...

Bigda nie odpowiedział. W butach w portkach, w koszuli, bez kamizelki jeszcze, bronzowy, żółty, połyskliwy i cichy, stojąc przy drugim stole, zawalonym papierzyskami, siorpał rozgłośnie kawę. Siorpał kawę i gruchotał w swych twardych szczękach chleb. Nikt chyba nie potrafił za cudze pieniądze jeść tak szybko i sprawnie, jak Bigda.

Nawet tej błahej myśli musiał teraz poniechać Deptuła: W odgłosach jedzenia i siorpania utracił najzupełniej poczucie bezpieczeństwa. Bał się — i drżał z radości. Czy długo może trwać przyjaźń tak wielce niebezpieczna? Cóż z tego, że się spokrewnili i związali różnemi złodziejstwami?

Złodziejstwo znaczy tyle, ile do niego przywiązywać wagi. Jaką wagę do czego, kiedy, — przywiązuje w swem życiu Bigda?

Deptuła bał się, — drżał zarazem z radości: Uczucie nienawiści pomieszane z bezgranicznem oddaniem.

Bigda ładował do kieszeni drobiazgi ubraniowe. Zegarek, portfel, chustkę do nosa, portmonetkę, jakieś papiery, listy, nawet stare koperty. Rozmieszczał toto wszystko po kieszeniach przytomnie i dokładnie, jakby owe drobiazgi w ubraniu swem na wieki już układał.

Tak jest zawsze, — wściekł się Deptuła. Dwa doktoraty nawet nic tu nie pomagają. Takiego chama, — myślał o Bigdzie, — nie widzisz kilka dni, uganiasz wciąż dla niego i służysz mu i służysz jego sprawie — a on dobrego słowa nie da, i ileż znowu zdrowia cię kosztuje?! Deptuła miarkował z całego zachowania przyjaciela, iż się zanosi na trzydniówkę picia, żarcia, błądzenia, — nim się nakoniec zmówią.

Trzydniówki takie bywały niebezpieczne, nawet straszne. Konieczność zwierzeń, ostrożność w każdem słowie, bezmiar żarcia i picia, a przecież poseł Deptuła nadszarpnął już swe siły niezgorzej w czasie długich tygodni formowania większości, ucztowania z chłopami, a potem z przemysłowemi bańdziochami.

Wlókł się teraz za Bigdą przez korytarze sejmu z wściekłością i zachwytem. Jakże się nie zachwycać takim draniem?! Jakże się nie zachwycać tym człowiekiem? Cały Bigda to mięsień, jeden żywotny mięsień, stuprocentowy, chłopski!

Zeszli do sali obrad.

Ależ to mądre ścierwo, — radował się Deptuła. Bigda schodził amfiteatrem sali cicho, ciężko a zręcznie. Nikogo nie zahaczył, nikogo nie potrącił. Na nikogo nie spojrzał, a widział wszystko dookoła, pamiętał każdą gębę. Szedł zaś przytem, jak ślepy, całym sobą ociężale podany naprzód, z głową zaś rozkiwaną, niby ogromnie senną.

Miał się z kim witać? Po co? Przyszedł, doszedł, siadł na swem pierwszem miejscu przed trybuną, rozłożył papierzyska sejmowe, rozpostarł na nich ręce — i już, — i nic — i jest — przystępują do niego, szukają, wypatrują. Deptuła się nie liczy, gdy jest Bigda, bo Bigda jest, — jak kamień.

Rady były burzliwe. To prawica, to znów lewica opuszcza salę obrad. Środek — kruszy się w środku. Raz po raz przerywają posiedzenie, — znowu konwent seniorów. O byle co, — o głupstwo.

Bigda zajrzał tam do nich, siedzieli w gabinecie marszałka owiani gęstym dymem papierosów. Poseł Bigda wszedł tutaj swym rozciągliwym krokiem, jakoby z bagna wychodzącym. Ręce trzymał w kieszeniach od portek, grzejąc zmarznięte palce przy pachwinach. Zimno mu było dzisiaj od rana, — z napięcia i wzruszenia.

To duch kraju, — zwierzał się później przyjaciołom w Lachowie, — to sam duch trząsł mną wtedy i ziębił.

Na konwencie seniorów — blaga i gadanina, czysta bzdura i niemoc.

Pan marszałek Stachowski trzymał fason bardzo dzielnie. Przeliczał sejmową bzdurę i układał, przy-

mierzał do porządku dziennego, a nic zaprawdę wyjść nie mogło.

Seniorowie — cholera, — jeden tłuszczak! Jeden ogromny tłuszczak — na ciele obrad sejmu. Tłuszczak ogromny na samym środku karku miał kiedyś przecie Bigda! Wycinali mu żywcem, w wojsku, w artylerji fortecznej, a potem łyżeczkami łuskali. Że też to wtedy zębów nie połamał od zacisku, — aby krzyk opanować?! Jeżeli wtedy się to nie stało — i dziś sobie nie skruszy.

Patrzyli w niego z jawnem prawie błaganiem o pomoc: Stachowski, Ciarach, Mieniewski i drugi socjalista Cynwajs, ksiądz biskup Bokaniewicz, leadery chrześcijańskie; Dolański, Kortys, jeszcze dwa profesory, uczone socjologi, — cały konwent w komplecie, — wielki wodnisty tłuszczak.

Patrzył nawet Lachowski. Ordynat, wielki hrabia. August hrabia Lachowski. Nawet podniósł się z krzesła, nawet ręce wyciągnął białe, blado-niebieskie i nawet sam zawołał:

— Prosimy tutaj, do nas, szanowny panie pośle!

A Bigda na to — nic.

Patrzyli wszyscy z jawnem błaganiem a zarazem z pogardą, — że u chama teraz o pomoc błagają. Cham teraz decyduje o większości.

A cham, psia krew, i cóż z tego, że cham, skoro tu decyduje?!?

Wykańczali porządek do drugiego czytania noweli ustawy o Reformie. Przy wykańczaniu na byle jakiem głupstwie mogło się przerwać wszystko, — większość ciągle na włosku. Każde stronnictwo i każdy leader wypowiedział się przedtem, nie wytrzy-

mał, żaden z nich nie wytrzymał, zmaniony blaskiem słowa. Blaskiem słowa, — cholera głupia, — blaskiem słowa.

A Bigda, — nie. I ludzie jego, — nie. Niech się ta w słowach inni wydziwiają, Bigda potrafi zmilczeć, — od ilu wieków milczy?!

Na prawo, czy lewo, na któryż bok wywróci się ta większość? Radykały — i pany... Prawica i lewica do ostatniego głosu wyciągnięte. To ci, to tamci wychodzą z sali obrad, — gremjalnie.

Ostentacja!

Wychodzą z sali obrad, gęby świecą w połysku, każdy leader jak gąsior, sunie poważnie przodem.

Drzwi sukienne pracują, chłoną to całe błoto i wydzielają raz po raz na korytarz.

Z korytarzów wracają znowu do nowych dalszych punktów porządku dziennego. Stara mamka — Dolański. Zwykły Lejek, — przechrzczony na szlachcica. Stary rekin Mieniewski. Na przodzie pyskiem świeci i siwizną potrząsa. A teraz znowu lakierowany Strzęgorz. Teraz kilka bańdziochów przemysłowych.

A teraz pan Lachowski! Napracował się dzisiaj, — po łokcie! A namawia, — a działa! Zgoda mu dzisiaj wcale z gęby nie schodzi, tymczasem chłopy wściekłe, bo gdy zapyta który, jaka ma być ta zgoda i na czem się zasadza, — to Lachowski nic nie wie.

Więc garus jeszcze większy i dzwonienie, tupanie!

Ministry tak przystojnie zaczesane, — teraz wszyscy w swych ławkach przestraszeni ogromnie. Naprzeciw zaś ministrów, z tamtej strony trybuny

siwi senatorowie i ogolone gładko podsekretarze stanu. Wszystko to blednie, trzęsie się, — prawie z ławek wypada!

Radykały i pany,—władza chwieje się w środku między nimi, — a Bigda nawet się nie odwraca ze swego miejsca w ławie. Plecami czuje cały swój klub, aż do najdalszych ławek, cały klub do samego końca sali, całą salę, aż do filarów rozłożystej galerji, wszystkie galerje, wszystkich możliwych obrad tego kraju, — cholera, — cały kraj na barkach teraz czuje — i co?

I nic! I nic, — i mówi sobie w uśmiechu: — o tem się pisze w traktatach naukowych, że to dziejowa chwila, oraz ciężar historji... I nic — i wzrusza ospale ramionami.

Nie rozmawiali jeszcze, więc nie wiedział, — no, bo i skądże, kiedy, — jak mu to tam załatwił wszystko Deptuła, całą dziejową chwilę, — co się tyczy formowania większości nowej. Ale z tej kawy choćby — (dwa komplety) — wnosił i wiedział prawie, że załatwione zostało wszystko akuratnie.

Bigda wnosił te rzeczy z kawy i teraz ze Strzęgorza. August hrabia Lachowski ogromnie się ugania, ale Strzęgorza — nigdzie niema pod ręką.

Nie mogło być inaczej, gdyż rzeczy wszystkie obliczyli z Deptułą, wymiarkowali przecie zawczasu wszystkie najsłabsze strony swoich przeciwników. Więc przez posełka Gruszkę bobrował Bigda dalej wśród radykalnych chłopów z Odrodzenia, jako że niby Gruszka stale przeciw konkordatowi idzie i jakieś własne, ogromnie radykalne tyły zachowuje dla siebie w tych przykrych sprawach z klerem.

A znów Ciaracha podrzucał Bigda panom, mamutom osędziałym, żeby tam judził, mącił zawczasu, co do postawy Lachowskiego, — chyba niepewnej ze względu na pożyczkę. Że nic, że zdrady tu nikt nie podejrzy wcale, — a tylko chyba smród! Może nawet dość wielki smród!?!

Takie było zadanie Ciaracha, oraz drugie: aby się ubezpieczył zawczasu od strony swego dawnego chlebodawcy, księcia Rosławskiego. Tak, niby nic, — że to tylko sumienie obywatelskie, — polskie, bo niby co? Tu niby opozycja do Bigdy, a tu niby pożyczka? Takie, takie sumienie, obywatelskie,—niech się nazywa psia krew polskie!

To znów wystawiał się pan poseł Bigda dziennikarzom, to znów brodził samotnie po przedsionkach. Wszystko na nim utknęło, — wszystko czeka na Bigdę. Marzł ciągle od tej myśli, — że też duch kraju może tak ziębić człowieka?! Nie myślał już o klubie swoim, ani też sobie głowę hektarami zaprzątał, miljonami hektarów, ani też niczem innem. Szukał teraz Deptuły, — po co?

Może nawet po to, by się jeszcze ułożyć co do fornalów, i co do socjalistów i jak te sprawy stoją i nie w sprawie co do biskupa, chociaż te wszystkie rzeczy były nadzwyczaj ważne.

Chciał powiedzieć Deptule, czego nigdy nikomu innemu w świecie nie powiedział. Chciał powiedzieć Deptule, — że czuje w sobie d z i e j e! Dzieje ludu, dzieje całej historji!!! Może to być w człowieku... Powiedzieć to raz wreszcie komuś, wydąć się tak raz w życiu chociażby przed Deptułą.

Bigda odnalazł przyjaciela przed wejściem se-

nackiem, zajętego nadzwyczaj osobliwie, pilną rozmową z niejakim posłem Kozą.

Poseł Bigda znał swego Deptułę dość dobrze, by zmiarkować, że to rozmowa ważna.

Gadali tutaj we dwóch, samotnie, Deptuła z Kozą pod figurą polskiego rycerza. Koza do miecza z bronzu, jak do krzyża przyciśnięty, wybladły, zlany potem, — Deptuła nad nim, jakgdyby żuk, zwany łajniarzem, potworny, zielonkawy.

Bigda sądził, iż w chwilach, jak dzisiejsza, jest to już małostkowość pewna rzucać się też i od tej strony jakichś babskich stosunków na swoich nieprzyjaciół. Poznał owego Kozę, posła socjalistycznego z Zagłębia Węglowego niedawno, właśnie na schodach sejmu w towarzystwie tej pani.

Dama ta uczyniła na Bigdzie wrażenie bardzo wielkie: nie dla swojej urody przywiędłej już, lecz dla wspomnienia z dawnych czasów młodości. Podobna była bowiem i to nie tyle z twarzy, z rysów, co z samego gatunku postaci — do tej jakiejś hrabiny Lachowskiej, nie Lachowskiej, — jakowejś ciotki starego rodu hrabiów, przebywającej swego czasu w Lachowie.

Ta właśnie ciotka hrabska, księżna, czy margrabini, — licho wie, jak tam miała na nazwisko,— opatrywała kiedyś Bigdę, gdy jako bandos młodociany zdychał już prawie, skłuty po żniwach przez dziwki szpilkami od włosów. Skądże mu się to dzisiaj wciąż tylko rany i rany wspominały?! Duch dziejów to przynosił!?

Dziwki gnój przewracały wonczas w polu, Bigda je skubał, macał. Gdy zasnął po obiedzie, rzuciły się

na niego, kłując po nogach, ramionach i po piersiach. W męczarni zakażenia leżący na barłogu pustych czworaków, nieprzytomny, sklęty przez ekonoma, porzucony przez wszystkich, doznał nagle cudnego olśnienia...

To hrabina, czy margrabini, to owa pani wielka, uśmiechnięta i wonna przemywała mu rany. Potem wywieźli go, cięli, pruli w szpitalu. Nie widział jej już więcej, tej pięknej damy, ani też spotkał inną do tamtej podobną, — aż ta nareszcie, ta jakaś Kostryniowa przypomniała mu na schodach sejmu i samo wydarzenie i jego urok, na zawsze już przepadły.

Bigda zarumienił się nagle i rzekł do Deptuły:

— Patrzno, z jaką kobietą przychodzi tu do sejmu taki pętak.

Deptuła objaśnił jednak Bigdę zaraz, w czem rzecz: że ów socjalistyczny pętak napuszcza się na bogatą wdowę, aby jej forsę zabrać i oddać Mieniewskiemu, do Banku Robotniczego.

— Ratują się, — jak mogą.

Poznajomili się wówczas na schodach z Kostryniową, Bigda mruknął kilka słów nieuprzejmych, Deptuła zarechotał do Kozy — i to już chyba wszystko. Tymczasem widać, że nie wszystko to było, skoro teraz i to w dniu takim, w takiej chwili bzyka jeszcze Deptuła tu w sejmie nad socjalistą, jak giez nad końskiem uchem.

— Najdroższy panie Koza, towarzyszu, któż nie był kiedyś w życiu towarzyszem, — szumiał gęsto Deptuła, — z tej forsy nic nie będzie. Pan się nie orjentuje i niszczy pan tych ludzi, te swoje przyjaciółki. Mówię panu poufnie i całkiem między na-

mi, — pan Mieniewski, czyli wasz leader, czyli wasz Bank Robotniczy jest na ostatnich nogach. Bankrut. Rozumie pan? Lada dzień, — lada tydzień będzie to wszystko leżeć. Pamiętam pana dobrze z Zagłębia. Wyśmienity redaktor. Sprawa stempli i obudowy drzewnej, — nowego kopalniaka. Pan też dobrze pamięta. Robiłeś pan prześwietną prasę, wtedy nasz „Hart" dostał dostawę. Prawda? Bank Robotniczy nieźle na tem zarobił. Niestety — teraz leży.

— Nie leży! — Koza uśmiechnął się złowieszczo do wszystkich swoich myśli i do całego świata. Przedewszystkiem jednakże do tej pustej sali, z której po purpurowym chodniku znikały właśnie wysokie buty Bigdy.

Nie miał pojęcia Koza o sprawach banku. Skądże?! Lecz jak mógł leżeć taki prawdziwy bank? Koza oceniał przecież powagę chociażby tylko samych mebli bankowych. Firanek, okien, biurek, posadzek i całego metalu wszystkich ozdób i całej politury. A cóż dopiero solidarność samego Mieniewskiego, nie mówiąc już o takiej sile ekonomicznej, jaką przedstawia towarzysz Cynwajs, znakomity ekonomista partji?!

A sam Mieniewski, jeżeli brać chociażby tylko jego uczciwość pod uwagę!

Tymczasem znów Deptuła począł gadać i to objąwszy Kozę poufale przez ramię. Mówił Kozie nieomal prosto w ucho z odległości siedmiu, najwyżej ośmiu centymetrów, ale jakoś wypadało, jakgdyby czoło swoje posłowi Kozie pod zbladłe wargi podtykał uporczywie. Białe błyszczące czoło w sinoczerwone plamy, — niczem w piętna rudawej rdzy.

Deptuła wiedział wszystko. Wiedział o orkiestrowym wekslu, a tu jeszcze, niespełna tydzień temu przysłano Kozie z Zagłębia trąbę do reperacji,— trąba zwana helikon, którą na dzień kładł Koza w nogach łóżka w swem mieszkaniu sejmowem. Taki helikon — w sejmie! Ale to głupstwo, — weksel, bo przecież nie to jedno wypadło wtedy razem przy wyborach. Wiedział o przemówieniu z balkonu — wyborne przemówienie, tyś jest Koza prawdziwy Laertes klasy robotniczej! Deptuła wiedział wiele o Drążku, oraz Domu Ludowym. Wiedział jednak rzecz inną najstraszniejszą, a mianowicie, że poseł Koza kocha się w Kostryniównej. Zuzannie! Że się kocha!

— Na nędzę ją narażasz, pamiętaj, — na głód, na poniewierkę, zaprzedajesz ją nędzy tę twoją ukochaną, zobaczysz, — stracą wszystko! Muszą stracić, to murowane, pewne. Chcesz ratować starego niedołęgę, a taką młodą płonkę, najdroższy mój, — pozbawiasz wszystkich soków. Bo pieniądz daje soki!

Koza stał pod posągiem rycerza, pobladły, zapatrzony tragicznie w czarne gałęzie drzew za oknami przedsionka na białem niebie rozpostarte. Nie znajdował narazie odpowiedzi. Tylko w prawo i w lewo od rozdziałka przez środek lnianych włosów wytkniętego głaskał się machinalnie. Za dużo zwaliło się tu naraz! Tu, w samym właśnie gmachu sejmu, w gmachu — ustawodawstwa.

Parlamentaryzm, biedny parlamentaryzm, — szeleściło Kozie po głowie poprzez spłoszone myśli, przez wszystkie ideały i tak liczne marzenia. Tutaj właśnie wybierać pomiędzy przyszłą nędzą Kostry-

niównej, — a swym własnym leaderem! Pomiędzy szczęściem osobistem, — czy też honorem Robotniczego Banku?! Wybierać — pomiędzy partją a miłością?!

— Głupia pokusa, — zaśmiał się Koza mężnie do Deptuły. — Marne, tanie sposoby, ale, pośle Deptuła, nie takie my pokusy znaliśmy w naszem życiu!

Deptuła szeptał jeszcze prędzej, znów przysuwając przedziwne swoje czoło. Nie dawał za wygraną. Szło mu tu o pieniądze, a oprócz tego miał inne rachunki... Jeżeli Bigda przy pierwszej znajomości z taką babą zarumienił się, jak wtedy tam na schodach, — nie można tego chyba nie brać wcale w rachubę...

Deptuła dalej swoje, o bankructwie i nędzy i o tem, o tem wreszcie, że to wiadome było wszystkim jeszcze w Zagłębiu, iż t a m, raczej Mieniewski młody krążył, koło panny, którego ojca teraz taki socjalistyczny Koza pieniędzmi córki faszeruje. Koza słuchał ostatnich zdań z lubością ostateczną, — przerażoną, straszliwą! Słuchał, — jakby to była prawda! A któż znać może prawdę? Może i była — taka właśnie bez wyjścia, smutna, najukochańsza?!... Wyższa, ustanowiona uprzednio w jakiemś niebie cierpienia, cierpienia miłosnego, cierpienia życiowego, cierpienia partyjnego, cierpienia duchowego, cierpienia wszelakiego!

Słuchał i wciąż powtarzał:

— Licha, marna pokusa!

Powtarzał — licha, marna pokusa, — biorąc w myśli na świadka owych wyrazów szczerych, tak bezsilnych, całą swą dolę przeszłą, turganie wózków

i pracę na odkrywkach w lodowej wodzie po kolana i pracę na kopalni Flora na czwartym pokładzie gdzie z zakrwawioną głową wychodzi się po dniówce. Czy wrócą jeszcze kiedy te dawne skromne czasy? Przeraził się tej myśli.

Powtórzył po raz ósmy — licha, marna pokusa, — poczem, stukając głową o wielki miecz rycerza, dorzucił jeszcze w porywie świętej zgrozy następujące słowa:

— Ładny parlamentaryzm! Niema co mówić, — ładny!

Ze szklanych drzwi, wiodących do senatu, wyłuskwił się znów Bigda. Wielki, cichy, leniwy.

— Deptuła, co tu robisz? — wołał ochryple Bigda. — Chodź ze mną, mam interes.

Koza doskoczył do nich straszny, przerażający. Twarz mu się wykrzywiła, na głowie stanął sztorcem kusy wicherek włosów, przez całą postać zdał się przelatać — świst.

— Ładny parlamentaryzm! — wyszeptał Koza składając się niezdarnie, niedołężnie, jak połamany pajac.

Wzruszywszy ramionami, odeszli po czerwonym chodniku senackim w stronę sejmu. Bigda nie pytał o rozmowę z posłem Kozą. O nic nie spytał. Miał dotąd jeszcze rozdęte nozdrza po spotkaniu z Lachowskim.

Wpadli na siebie, rzekomo niespodzianie tuż przy wejściu do loży rządowej, pomiędzy filarami wielkiego hallu. Bigda wyczuł odrazu, że Lachowski go szukał oddawna. Hrabia złapał, — takiego Bigdę!—za klapy marynarki. Rzecz niesłychana! Sinemi dłońmi

dzierżył wyświechtane klapy, starając się przyciągnąć posła jeszcze bliżej ku sobie.

Ordynat działał z namowy swego klubu. Ba! z namowy Strzęgorza, swego plenipotenta. Orzekli wszyscy razem, że nikt, tylko Lachowski potrafi jeszcze wstrzymać chłopów od obalenia Rządu.

Tylko Lachowski wziął tę misję na siebie, nie wiedział jednak, — pytać nie wypadało przecież,— co ma tym ludziom mówić?!... Obiecywać, — czy może grozić?...

— Niechże pan powie, — szeptał tkliwie do Bigdy, — z kim pan idzie? Zaklinam pana, mój drogi przyjacielu, na największe świętości, niech pan to powie!!

Bigda mu przerwał: — Które, jakie świętości?

— Na naszą wspólną ziemię, — nie wspominam panu o wierze, — na wieki wspólnej pracy. — I tu wymknęło się hrabiemu, czego się bał najwięcej... Wiedział, że powie t o, — gdy tylko wziął na siebie tak trudną misję zgody. Przez usta przejść nie chciało a wiedział, wiedział że t o właśnie wypowie jaknajśpieszniej:

— Zaklinam pana, — jestem starszy od pana i w życiu i w narodzie, zaklinam pana, jakgdyby ojciec syna!!... — Rzekłszy to hrabia, nie spostrzegł nawet kiedy, — znalazł się za filarem.

Bigda bowiem ust nawet nie otworzywszy, — zaskuczał. Właśnie jak wtedy, gdy rozmawiali tu, w tym samym hallu, z Mieniewskim i Stachowskim.

Zaskuczał po psiemu — ohydnie. I wyjąc tak, przeszedł poseł Bigda mimo hrabiego, nie odwróciwszy głowy.

Ktoś obcy, widząc te chody, krążenia i kołowania Bigdy po sejmie, senacie, przedsionkach, salach, klubach — mógłby sądzić, że twardy leader chłopski błąka się, czy też działa z okazji na okazję. Nie było tak. Poprzez „mróz dziejów" nie ustawała w Bigdzie czujna, ba, nieomylna dotąd zawsze miara czasu. Podnosiła go z pierwszej ławy sejmowej na korytarz, z korytarza do klubu, z klubu znów ku Deptule. Gdy uczuwał niepewność jakąś, mocno zaciskał szczęki. Lekko, mocniej, lub wreszcie z wszystkich sił. Gdyż nawet miarę czasu, tak ogromnie duchową—trzeba często poganiać.

Bat musi być we wszystkiem!

Ów zacisk szczęk pomnażał dopływ krwi do głowy a wówczas miara czasu działała jeszcze pewniej.

— Idziemy na spotkanie biskupa, — rzekł Bigda do Deptuły, przydeptując rzucony przed siebie ogarek papierosa. Tego biskupa czuł Bigda w swoich myślach, jak Lachowskiego we krwi, — od samego dzieciństwa. Nie podawał to kiedyś jako mały chłopczyna, piłeczek tennisowych na kortach ordynacji? Czy nie uczyli go wtedy lokaje, kopiąc niemiłosiernie w tyłek, jak się ma ruszać, chodzi i jak się ma ukłonić?!

A cóż było z biskupem? Nie wygnał to ów biskup, jeszcze jako wikary, starej bigdowej matki, za to, że siadła kiedyś w pustej ławce kolatorskiej? Gdy staruszka zemdlała, wynieśli ją z kościoła, ale siąść nie pozwolił, jeszcze z ambony zpsioczył! Nie rozwalali to Bigdzie później wieców różne księże wyrostki nasyłane z mszalnemi dzwonkami, dzwoniące wokół okien nieustannie?! Nie płakał to Bigda przed

tym samym biskupem, jeszcze jako proboszczem, gdy synów swoich grzebał, a nie miał czem zapłacić? Nie sprzedawał to wtedy jedynej krowy na pochowanie dziecka?! Nie całował to Bigda jeszcze parę lat temu tego samego biskupa po pierścieniastych rękach, gdy się udali we dwóch z Deptułą do biskupiego pałacu w sprawie kompromisów wyborczych?

Przyszli odważnie we dwóch, z Deptułą, a tu biskup powiada w złocistym swym salonie:

— Jako politycy przyszliście tutaj, czy z mojej diecezji? Polityków nie przyjmę.

— Przyszliśmy z diecezji.

— Na kolana grzesznicy! — woła, aż purpurowy z gniewu.

Nadzieja kompromisu: Uklękli zaraz obaj, biskup podał im rękę do ucałowania.

Teraz za kilka sekund rozmówią się raz jeszcze.

— Będziesz Deptuła świadkiem, czy też Ciarach nakręcił dzisiaj na czas biskupa.

Ciarach nakręcił dobrze. Spotkali się z eminencją na korytarzu, w kuluarach sejmowych. — Bigda wcale nie zgłębiał sensu wyrażenia „kuluar", zapewne jednak było w niem coś od kuli, chyba że tak iż poprostu, jak kula przetacza się tamtędy parlamentarna sprawa.

Biskup Bokaniewicz kroczył poważnie, w złotym łańcuchu na szyi, z emaljowanym krzyżem na rozległych piersiach, w czerwonej jarmułce na szczycie wielkiej głowy. Zoczywszy Bigdę stanął. W cennej, czarnej sutannie, stanął olbrzymi, pyszny, niczem złom czarnej skały, promieniejącej wszędzie na obwodzie równym, czerwonym rąbkiem biskupiego obszycia.

— Jakby piekielnym ogniem, — mówił później Deptuła.

— Świat jest do odrobienia teraz, proszę księdza biskupa, — uśmiechnął się pan poseł Bigda.

— Co to znaczy?

— Znaczy to, co mówicie w swoich ewangeljach o poniżonej wyżynie, i nizinie wywyższonej.

— Nic jeszcze nie rozumiem. Sens ewangelji jest, panie pośle, wieczny, a świat zmienia się ciągle.

— To właśnie bardzo dobrze, że ów sens ewangelji jest tak wieczny. Ja temu nie przeszkadzam, a tylko nie wiem, jak się tu wobec zmienności świata z minionym czasem rachować?

— Czas, panie pośle, spoczywa w ręku Boga.

Twarz pana posła Bigdy i twarz księdza biskupa: — strugany świątek wiejski, a tu wielmoża srogi w lśniącej czerni, listewką ognia obramionej.

Głos pana posła Bigdy i głos księdza biskupa: — małe płaściutkie słowa, jak nienasmarowane piasty skrzypiące uciążliwie, a tu dźwięk złotodajny.

— No tak, księże biskupie, — westchnął przeciągle Bigda. — Czas w ręku Boga spoczywa, a znów pracuje w biednym ręku człowieka. I teraz właśnie znów jest do odrobienia.

— Kto?

— Czas, czyli świat, — na jedno to wypadnie. Nizina i wyżyna. Świat się zmienia, — powiada mi tu ksiądz biskup. — Jakgdyby jakąś zawadę odgarnąwszy ramieniem, rzekł Bigda nagle:

— Porobimy z was — nas. Tak idą teraz dzieje. W tem całe ich szlachectwo zresztą.

— Wielki to będzie dla nas zaszczyt, panie pośle.

— Nie zaszczyt, ale wstyd. Będziecie teraz wy znowu litylko materjałem.

— No, to się pan już porachował z onym czasem minionym, gdy nas pan teraz w swój materjał obraca. Dlaczegoż więc pan mówi, że niewiadomo panu, jak się tu porachować?

— A jednak niewiadomo, eminencjo. Jakże długo będziemy mogli czerpać z tej krzywdy, tak słusznie teraz panom wyrządzanej?! Na ileż może nam jej dziś starczyć? Na jak długo? Chłopi dłużej płacili za szlachtę. Płacili całe wieki za szlachtę i za kler. A wy? Na ileż was wystarczy po tych stupięćdziesięciu latach niewoli całego narodu, przez was samych zrządzonej, — żeby się teraz wami jako tako odżywić? Więc dobrze mówię: — nie wiem, jak się tu porachować z czasem, który minął, a zowie się historją. Chcę, aby popracował jeszcze w biednym ręku człowieka, — nim spocznie w ręku Boga.

Bigda zwrócił się nagle do Deptuły, struchlałego opodal i rzekł zachrypłym głosem: — Nie przeszkadzajmy dłużej biskupowi, chodź Deptuła. — Ruszył sam naprzód, pierwszy, ciężkim powolnym krokiem, niby z bagna przez puszczę, zapatrzony przed siebie obojętnie.

Sejm porzucili zostawiając tu wszystko rozgrzebane i rozgrajdane i niech się wali, pany i radykały mogą jeszcze poczekać. Bigda jął iść ku Wiśle. Snuli się tędy, siędy, nad rzeką, wokoło starych domostw, oraz nowych kolosów, jakichś kooperatyw obszernych i wspaniałych.

Deptuła wiedział, że to znów będzie nieznośna próba sił, próba wagi milczenia.

W onej powadze można się było z Bigdą na śmierć chyba zamęczyć. Milczał, bestja, — jak drwal i czekał na drugiego.

Przyjechali dorożką do Excelsioru. Postraszyć sobą ludzi. Twarz się zalśniła Bigdzie, gdy przechodzili w bardzo niebieskiem, bardzo pańskiem powietrzu pysznej jadalni, poprzez stoliki, stoły, utkane najróżniejszą hołotą wielkomiejską.

Spożyli tutaj we dwóch przy specjalnym stoliku obiad bardzo wytworny. Tu się zwierzył Deptuła Bigdzie ze swoich machinacyj ze Strzęgorzem i z planem co do hotelu Excelsior, żeby przetrącić tą aferą tak prostą wszystkie nabożne wystąpienia Stachowskiego w nagłej kwestji krzyża w głównej sali sejmowej.

Siedzieli tak do czwartej, czy piątej, wypiwszy bardzo wiele. Bigda milczał zawzięcie, na jedno tylko pytanie dawszy krótką odpowiedź, to jest co do ostatnich wiadomości z domu. Że miał list od córeczki, od Zośki, — przyjeżdża tutaj z matką już w tych dniach. Wiadomość bardzo cenna w tej chwili dla Deptuły. Nic bowiem w życiu Bigdy rodzinnem, tak strasznem, osobliwem, nie działo się z przypadku...

Jeżeli te kobiety przyjeżdżają, — to Bigda pragnie tego. Więc sprowadza tu córkę i żonę swą, — warjatkę. Po co?

Deptuła znał wybornie wiejskie stosunki Bigdy. Że się tam ma do Zośki syn ich dawnego wójta, tego samego wójta, od którego brał Bigda kiedyś okrutne cięgi. Zośka zaś ma się do tego chłopca także. Więc

czy tam co nie wyszło nagle? No, Bigdaby się wściekł... Po co sprowadza żonę? Jeżeli ją sprowadza do Warszawy, — to planuje widocznie jakąś uroczystość rodzinną?! Jaką?

Stosunek Bigdy do żony był jednym z najsilniejszych atutów bigdowych wśród szarej masy chłopstwa. Kobieta była całkiem niespełna zmysłów, synów mu mordowała przecież raz po raz po porodzie, pomylona, szalona, brzydka, stara i zła.

Deptuła podejrzewał jakieś swatanie Zośki i domyślał się może nawet komu, nie śmiał jednak powiedzieć tutaj zaraz na poczekaniu.

Siedzieli tak do piątej. Wyszli. Pochodzili po mieście, w milczeniu. Przysiedli gdzieś na kawę. I na mieście i teraz tutaj, na tej kawie Bigda patrzy na wszystko niezmąconym a tak przerażającym wzrokiem zdumionego zwierzęcia!

— Kobiety żadnej nie masz i to jest właśnie źle. Nie masz żadnej kobiety, — rzekł niespodzianie poseł Deptuła, w bardzo pięknej cukierni przy kawie czarnej. Gadaj mu o kobiecie, a on siedzi, jak w sejmie, jak w dorożce, jak wszędzie, — zukosa. Na bok odsuwa nogę, jakby tylko przycupnął i zaraz miał iść dalej.

— Kobiety nie masz żadnej, — zdałaby ci się jakaś piękna matrona. Nie całkiem młoda, ale znów za to dostatnio rozrośnięta. Widziałem taką niedawno. Łania a przytem dama. Tyle ci się należy do łóżka, — z honorem, z zachowaniem, z własną czcią i tradycją. Widziałem taką. Może i ty widziałeś? Socjaliści za nią latają, pieniądze jej chcą zabrać. Doskonała kobieta. Szlachcianka wielka, Strzęgorz koło niej krąży

także. Biała. Rozrąbać, wypaproszyć, — zabawna rzecz!

Deptuła przy każdej pijatyce i naogół przy wszystkich tego rodzaju okazjach lepszych, — wymawiał Bigdzie brak kobiety. Kończyło się to czasem awanturą, wyzwiskami, czasem nieomal pięścią.

To wszystko jedno. Z kim, do jasnej cholery, żył wkońcu ten Mateusz?! Czy miał dziwki na mieście? Czy urzędniczki? Czy kumy na wsi? Bo Bigda trzymał do chrztu dzieci wszystkich stronników swoich, chłopów. Z żoną przecież żyć nie mógł. Z taką warjatką dziką, a był chłop zdrów, — jak ćwik.

Gdy Deptuła wspomniał o tej szlachciance, Kostryniowej, do obskubania, do rozrąbania, do „wygarnięcia wszystkich ciepłych wnętrzności" — Bigda zasępił się i poczerwieniał i odpowiedział wkońcu:

— Ja mam przecież swój dom. Ty znasz przecie mój dom...

Deptuła zmilczał, odczekał dłuższą chwilę, znowu wyszli na miasto, póki się nagle w barze KLASA nie znaleźli. Zamknęli się tu we dwóch w gabinecie, jedząc, pijąc w milczeniu. Deptule lał się już pot po plecach i po piersiach, od owego milczenia i od ciszy grobowej, idącej znów od Bigdy. Zaczął więc prawie z płaczem, że się nic nie zmieniło między nimi. I wszystko załatwione. Stachowskiego się kładzie, i Strzęgorz już nie szkodzi i Lachowskiego odłupie się od narodowców.

Deptuła rozmazgał się, że już nie widzi przyjaźni między nimi!

Na to zaś Bigda: — Jest przyjaźń, — doświadczona. Żebyś był nie kradł, a tylko był uczonym, no, —

tobyś nie był moim przyjacielem. My wytrzymamy zawsze razem, no, bo nas świństwo łączy. Cóż to, Deptuła nie wierzysz mi?

Deptuła wystawił naprzód czoło, — ważył się bowiem na ryzyko ogromne. Postanowił powiedzieć teraz, w chwili dziejowej to, co już dawno myślał. Postanowił ulżyć przyjacielowi, a zarazem poddać go doświadczeniu. Podwinął się pod Bigdę na wyleniałej kanapie gabinetu, złożył przyjacielowi olbrzymią łapę na kolanie i nie patrząc przed siebie, a tylko świecąc mętnym blaskiem spoconego czoła jął teraz, teraz, już chyba w niezawodnem poczuciu bezpieczeństwa, mówić o rodzinnych sprawach Bigdy.

Mieszał je jeszcze zrazu ze sprawami Banku Robotniczego leadera Mieniewskiego. Położymy ten bank i położymy Mieniewskiego; albo nie położymy, — nie o to jednak chodzi, Mateuszu, najdroższy Mateuszu, prawda? Chodzi tutaj o córkę twoją. Już się stary Mieniewski nie wykaraska ani z dostaw drzewa do Gdańska, ani z pożyczek dla osadników kresowych, nie wykaraska się już z tych głupich placów łódzkich. Ja cię rozumiem, Bigda...

Jeszcze bliżej podsadził się pod Bigdę. Obie ręce położył nagłym ruchem na piersi przyjaciela. Jak pies wierny pada łapami na piersi swego pana.

— Ja cię rozumiem, najdroższy Mateuszu. Choć taki silny jesteś, odpocząć chcesz w swem dziecku. Ulepszyć się, — odpocząć. Pożyć innem powietrzem. Ach, — pożyć wszystkiem innem. Nazywam odpoczynkiem taką zmianę. Wydać chcesz swoją córkę tutaj w mieście, — może gdzieś w polityce?... Wyjść w swojem dziecku z tego chamskiego chłopstwa?...

Ja to nazywam odpoczynkiem taką zmianę. Bij w mordę, jeśli kłamię!!

Stała się rzecz najrzadsza: Deptuła, poseł, doktór dwóch fakultetów, a ongiś syn dróżnika i wychowanek bursy dla najbiedniejszych dzieci i w swoim czasie ulubieniec dyrektora tej bursy, księdza Karolkiewicza, którego później Jezuici wywieźli za zboczenia przeciw naturze... Deptuła wzrokiem swoim a nie czołem popatrzył w oczy Bigdy. Dodając znowu:

— Odpocząć chcesz w swem dziecku i pożyć innem życiem. Wyjść w swojem dziecku z chamskiego chłopstwa. Bij w mordę, jeśli kłamię.

Źrenice posła Deptuły były drobne i mętne. A znów tęczówki na tle szarego białka też nie nazbyt szerokie, raczej wąskie i jakoby splecione z dwóch kolorów: z bronzu i z niebieskiego, rozrywanego szarawą iskrą światła.

Wzrok Deptuły, zaćmiony w własnem jądrze, a świecący brzegami, przesunął się po twarzy Bigdy, wywołując na ustach przyjaciela potężny śmiech. Ależ chyba szczekanie! W szerokich piersiach Mateusza warczał ten śmiech jak proca.

Nakoniec Bigda objął Deptułę zupełnie po swojemu, bardzo dziwnem objęciem, które zdaje się dusić.

— Gdy pomyślę, — szeptał przyduszony Deptuła, — że mamy już u siebie tych obu synów Mieniewskiego, Tadeusza w kooperatywie, a Stanisława, przyłączonego do twej własnej osoby w onych naftowych sprawach... Czy cała nafta nie na tem tu polega, żeś już sobie upatrzył tego chłopca? Dobra rodzina, — szlachta. O wiele lepszy zapach. I całkiem inne życie

i niby socjaliści, ale już jednak pany, pany i radykały, nawet z nimbem wojennym!

Tu się dopiero Bigda popłakał niespodzianie nad córką, z miłości ojcowskiej, nigdy nie objawianej, a wielkiej, — że chyba nikomu nie wiadomo, co robić w życiu z tak ogromną miłością.

Nie były to odrazu łzy, lecz takie tylko szkliny, ale na Bigdę to i tak bardzo wiele. Wypuścił przyjaciela ze swoich objęć i jął nim wkoło mieszać powietrze, jak się kopyścią miesza zbyt gęstą ciecz. Tak zdał się mieszać Bigda całą tę sprawę pamiętliwą a straszną rodzinnych swych stosunków.

Żony nie miał, bo cóż miał z tej warjatki? Synów mu potraciła czterech, jednego własnoręcznie utopiła w korytku. Ale Mateusz Bigda dawał se rady sam, w zakładzie żadnym żony swojej nie trzymał, — dla dobrego przykładu, ażeby nie mówiono, że złym przykładem świeci.

— Ten przykład mój, — rozumiesz ty, Deptuła, tyle lat męczarni?! Wolałbym z kozą żyć, aniżeli z taką kobietą. To jest prawda i niema co, możesz tu śmiało wreszcie usłyszeć to ode mnie. Ale powiadam ci, że to mój skarb największy — to nieszczęście. Z tego wyrasta ogromna moja siła. Że mi rady nie może dać ani jeden z was wszystkich. Nie z tego, żem drwa rąbał i na barłogach zdychał, — ale z tego nieszczęścia. O córce zaś, jedynej mojej, jaka tam jest, sam wiesz, nic ci nie mogę mówić. Nie mogę ci zaprzeczyć, bo może widzisz...

Oddech mu zatrzymało. Przedziwna rzecz, gdy zatchną się znienacka płuca tak rozłożyste. Gwiżdże w nich, jak w organach i przerywa się, — straszy.

Gębę miał Bigda w tej chwili, jakgdyby pełną gliny, tak mu ją czułość wielka zalepiła gruntownie.

Deptuła podgarnął się życzliwie jeszcze bliżej.

— Ja tego dla niej nie chcę, dla córki, całego tego chłopstwa. Tego mam dosyć chyba już w swojem własnem życiu. — Bigda to rzekł, powtórzył, przyczem sam się nie spodział, kiedy się wcisnął w grube ramiona Deptuły. Który, — Deptuła, — wycirus i uczony i straszna oczajdusza trzymał takiego władcę teraz w ramionach, — niby niewinne dziecko. Taka opiekła gnida taką ogromną siłę trzyma w swoim uścisku.

Deptuła świecił nad Bigdą swem niewidomem a tak wydętem czołem. Marszczyło się przebrzydłe w cienie i jaśnie, doliny i wyżyny i w taki wzór nieszczęsnej sprawy ludzkiej, przepojony pogardą. Pogarda wielka rozpętała się w Deptule po raz pierwszy, odkąd się znali ze sobą ci obaj przyjaciele. Pogarda za tę słabość. Takieżto jest tam w tobie, Bigda, całe to twoje chamstwo? Całe to twoje chłopstwo?! Taka siła żywiołu?! Takie niemiłosierdzie tylko? I tak już przemęczone?!

— Bo ci powiadam, — teraz Bigda sam gadał w objęciach przyjaciela, — odrabiać się za wszystko w tem jednem, krótkiem życiu?! Zawsze sam wśród przepaści, bo czego nie rozumiesz, to przepaść, a ileż nie rozumiesz?! — Zawsze sam, — westchnął, — tyle tylko, że z tobą. Zbóju. Bigda ze swoim łotrem. Bo ci powiadam, bezczelny ty złodzieju, żebyś to wiedział, żebyś to zapamiętał: Że oprócz ciebie...

Oddech wyleciał przez czarne dziury nosa Bigdy, jak kiedy zwierz wydaje ostatnie swoje tchnienie. Potężne szczęki Bigdy zwarły się nagle razem i okrze-

pły w zacisku, aż póki twarz bronzowa nie nabrzękła czerwienią.

— Powiadam ci, że oprócz ciebie, tom jest ten czarny święty, ten czarny chłopski Jezus, ale z zębami wilka. Rozumiesz to, łajdaku?! — Tu Bigda wstał ze zwierzęcem zapatrzeniem oczu w niewypatrzoną nicość, której spokoju nic zamącić nie zdoła.

Gdy rozpowiadał o tym Jezusie chłopskim, — Deptuła twarzą nawet nie drgnął. Ale znów w sobie, głęboko, za pokładami tłustego czoła, obruszył się na taką świętość bigdową.

Choć tego nikt nie dojrzy, ale w przyjaźni układa się powietrze między ludźmi inaczej, gdy szczerość trwa, inaczej, czy gdy się znów trwałe kłamstwo zapowiada. Poczuli obaj z powodów tej rozmowy, że się coś tu inaczej ułożyło pomiędzy nimi, — niż zawsze dotąd było.

Deptuła łysnął czołem zapoconem, kryjąc w szklistym blasku drżenie dwuznacznych uśmiechów. Pierwszy to chyba raz w swem życiu pozwalał sobie przy Bigdzie na podobną zuchwałość. Bigda powstał do wyjścia, rzecz prosta, bez płacenia rachunku. Deptuła prędko za nim. Wyszli stąd tylnemi drzwiami, i przez śmierdzące fryturą podwórze na miasto.

Dokąd? Nie wiadomo.

Aż się coś przewróciło w Deptule z ironji i obawy, że Bigda, taki Bigda, — to przecie dzisiaj los kraju całego, w koszuli na niciany guzik zapinanej, w paltocie wyszarzałym, w grubych butach, owisłych portkach, idący ciężkim krokiem, jakgdyby poprzez bagno nieprzebyte, a tak śmiało — i dokąd?!

Bigda szedł teraz w natchnieniu osobliwem, roztrącając przechodniów. Gdy się znaleźli na moście, przystanął, plecami do Pragi, a twarzą do Warszawy odwrócony.

Deptuła w cieniu, przy nim.

Zdawał się Bigda kamiennem swem spojrzeniem dziobać kolejno a cierpliwie, wszyściutkie światła Zamku, wielkich budynków, jasnych ulicznych latarń, w perspektywie zmrowionych tłumnie na jednem głównem miejscu. Tak stał tutaj, ze starym kapeluszem w ręku, trącany przez przechodniów, od światła lamp łukowych siny, jakby wyosobniony z pośród całego świata.

Pod mostem woda szumiała czarno-złotawą falą, coś niosąc, zabierając i znów plotąc i znowu rozplatając czarno-srebrzyste kręgi dookoła filarów.

Deptuła rzekł poufnie: — Zapamiętam tę chwilę: — że stoimy na moście tutaj. Nad wodą się rozstrzyga zawsze wszystko. Rozstrzyga się tak zawsze, — wyżej, — na jakimś brzegu.

Bigda nie odpowiedział.

Deptuła począł się trząść i z zimna i ze strachu. On, taki komin, taka rura największego kanału polityki, przewód chłonący wszystko bez wyboru, — nie wytrzymał, — przestraszył się.

Bigda trwał wciąż bez ruchu, — jak posąg.

Przypomniało się nagle Deptule, jak kiedyś, gdy się upili strasznie, wyznał Bigdzie, że tyle tutaj płaci za tak wystawną fundę, a ma niezaopatrzoną matkę, która łazi i żebrze. Wówczas zaś Bigda, ucałowawszy przyjaciela, odrzekł z wielką radością: — No, toś mi

jeszcze bliższy, — boś w tem przynajmniej całkiem szczery i prawdziwy, jak drań, to już skończony.

Ruszyli wreszcie mostem dalej, na Pragę między czarne uliczki na samym brzegu Wisły, pełne błota, ciemności, a znów jeżeli światła, to przerażonego wielkiem osamotnieniem.

Trafili tu do szynku, jak się patrzy, że trudno chyba o nędzniejszy. Bigda wprowadził Deptułę, jako do swego miejsca, z dawna upatrzonego. Szynk był żydowski, śmierdział śledziem, ulikiem, octem, wódką, ceratą, bielizną, nieszczęsnym potem babskim i rozprażonemi obrzydle pieluchami. Drzwi się nie domykały, szczękając wciąż żelastwem i dzwoniąc marnym dzwonkiem. Ludzi prawie nie było, — jacyś dwaj dorożkarze z rudą dziwką w kraciastej chustce pili pod główną ścianą.

Bigda, jak człek świadomy drogi, oraz miejsca, poszedł prosto, potem skręcił za przepierzenie do stolika przy oknie.

Usiedli tu we dwóch, Deptuła z Bigdą, nad wódką i nad śledziem, oraz nad czarnym chlebem. Zabłoceni i w płaszczach, tyle tylko, że zdjęli kapelusze. I tu zaczęli znowu swe milczenie, jakgdyby od początku, — w chrobocie ości śledzia i syrpotliwym rozgłosie siwej wódki.

Widać było z krzywego okna na wskos, — jakowąś ścianę białą, przy której rosło drzewo. Czem takie drzewa żyją na przedmieściach?! Wielkie, nagie i czarne a straszliwie samotne na białej, pustej ścianie. Tyleś widział z ukosa.

Nawprost, przez okno, widziałeś grunt podarty, skruszone cegły, łupiny metalowe, śmieci, miednice

o dnach wybitych dawno, niby lakierowane aureole, — pospołu z niemi białe, modre nocniki, świecące przy księżycu.

Dalej znów za urwanym gruntem śpieszyła rzeka, tocząca czarne wody, smugami blasku żyłowane, tocząca wciąż te wody, z tym samym pluskiem i z tym samym pośpiechem, jakoby na dół biegu i znów jakby pod górę. Tak się tu kręciło, gubiąc swe przeznaczenie w czeluściach płaskich a przecież tak głębokich, wiadomych i zarazem nigdy już nie wiadomych, — aż po brzeg przeciwległy. Stały tam mury strome, ciche, czarne i zwarte.

— Przychodziłem tu długo, — zaczął nagle sam Bigda, — i tutaj rozważałem. Rozważałem bez ciebie i bez nikogo, ze swojem własnem sumieniem. Jestem tutaj, jak w domu. Tu rozważałem także moje prywatne sprawy. Moje prywatne sprawy należą chyba do mnie?... Mój dom, czy moja córka, za kogo chcę ją wydać, czy chcę wydać wogóle, — to są afery moje. Nie wiem, czy taki człowiek, jak ja, może mieć własne sprawy? Ludzie mówią, że to się mści?

— Nie mściłoby się wcale, — śmiał się cicho Deptuła, — tylko trzeba, aby te sprawy były bardziej przystępne, zrozumiałe i ludzkie. Weźże sobie kobietę jaką, niech ci humory zmniejszy, niech je stępi, rozejrzyj się o! weź chociażby tę indyczkę, — biała, pulchna, rasowa, — chociażby Kostryniowa!

Bigda uderzył pięścią w stół. Oczy mu pociemniały. Chwycił Deptułę oburącz za piersi, jął szarpać, aż krawatka z kamizelki wypadła.

— Dosyć tego gadania, — skrzeczał Bigda, — do władzy swojej mówisz! Mówisz do swojej władzy.

Władza, to ja, sto razy ja. Czy wiedzą, czy nie wiedzą, nazwany, nie nazwany, obecny, nieobecny, — ale to ja we wszystkiem, ciągle, wszędzie, przytomny. Tego chłopi nie mieli nigdy w Polsce, a ty też nie rozumiesz, póki ci mordy na kwaśne jabłko nie rozbiję. We mnie już dostajecie taką władzę! Kiedy poprzetrącamy wszystkim kolejno kości, — to będą mieli jedność. Pany i radykały. Za każdą prawdę tę ziemię sprzedawali, a teraz my sprzedamy za naszą dobrą prawdę.

Ach, — otworzył się nagle w Bigdzie wielki, straszliwy poryw wszystkiego, co określał jedynem słowem: Dzieje. Dzieje, czyli rachunek. Porachunek ze wszystkiem. Wszędzie ja i we wszystkiem, cośmy kiedyś przeżyli i cośmy wycierpieli.

— Okropna rzecz, Deptuła, bardzo straszna, okropna. Od ziemi aż do nieba! Chodź tu, przybliż tu mordę bliżej nad stół, tu blisko, całkiem do mnie. Nie da się nic odrobić z tego, co minęło. No więc, co? Więc — przebaczam. Rozumiesz to, kanaljo? Niema nic podlejszego, niż takie przebaczenie. Bo takie przebaczenie rozwiązuje mi całkowicie ręce. Mogliście byli przez tyle wieków t a k wy wszyscy i przebaczyłem wszystkim, mogę teraz ja o w a k. Teraz m o j a zabawa! Woleliby, bym ich wyrzynał. Woleliby, z pewnością! Na krew jest krew, a krew rozgrzesza wszystko. Nie będę rżnął, drugi raz rżnąć już niema głupich. Ja tam wolę przebaczyć. Żaden z nich nie wytrzyma zabawy naszego przebaczenia. Rozumiesz to, kanaljo?! Nie chcę niczyjej krwi: Stachowski ten, zamiast żeby miał krzyż zawieszać, — w bajzlu stróżem zostanie, Lachowskiego zrobimy kościel-

nym i za katechizm kupimy od biskupa. Ty będziesz w Watykanie, hyclu! Sarbus, ścierwo, na łańcuch! Dolański — na słomiankę. Nasz reformator Stodorowski będzie czyścił kurniki. Nasza reforma rolna? Nie wiem nic o tem jeszcze. Nie wiem, czy dam pieniądze, ani też wiem, czy na to będą?! My wcale krwi nie chcemy, my robimy kompromis, a gdy zrobimy wreszcie, — wszystkich wykwitujemy. Będzie tu przy tem wszystkiem zarobku, ścierwa, brudu, łajdactwa, łajna, kłamstwa, — bez miary, stara świnio! Ale jedno zostanie nasze: ten chłop, to głupie cielę, ten gamoń sakramencki przy tak pięknym warsztacie! Rozumiesz to, złodzieju?!?

Bigda rozpłakał się. Łzy mu spływały ciurkiem, srebrząc się po policzkach.

— To głupie bydlę, chłop, po tylu panach zdechłych, po tylu wiekach wstrętnych, — dochodzi tu do władzy. Z przepaści swojej ciemnej po tylu cięgach, batach — do takiego warsztatu. Do takiego cudnego, ogromnego warsztatu podchodzi już nareszcie ta ostatnia nędza.

Z brudnej solniczki wygarnął Bigda sól i wepchał ją Deptule wielką garścią do gęby. — To jest twój nowy chrzest! — Ja, Bigda, czarny Jezus, pełen nowego chłopskiego przebaczenia, Jezus o wilczych kłach, przerabiam cię tu teraz hyclu!... — Zdarł Deptułę za włosy, przycisnął łbem do stołu. Ze łzami w oczach powtarzał raz za razem, — to Bigda, Bigda idzie, — wstrząsając przytem ciężką głowę Deptuły, który na różnokolorową ceratkę stołu szynkowego śpiesznie wypluwał zlepione gruzły soli.

Teraz kolej na innych.

Ludzie mówią, że poezja posiada skrzydła, a gniew posługuje się piorunem, radość w skokach nadąża, rozpacz zaś rzuca zawsze dokoła barwę czarną.

Czegoż używa ironja? Czy ma swą barwę stałą, czy rozporządza czemś tak lotnem, jak skrzydła, gwałtownem, jak pioruny, wyrazistem, jak skoki? Tu skoczna radość, — a tam pioruny gniewu, — a tam znów wszystko inne, uskrzydlone poezją! Gdzież się podzieje w tem towarzystwie i czemże się wypowie — ironja losu, życia, ironja dnia i chwili? Miejsca ma nader mało to uczucie tak słuszne i tak ciągle we wszystkiem obecne, — więc wypowiada się uśmiechem.

Rozpacz — czarna, a radość — skoczna, a gniew—piorunujący. Ironja,—uśmiechnięta swym własnym, ironicznym uśmiechem. Uśmiechem takim uśmiechał się dziś Koza, skwapliwie oceniając szczególne dobrodziejstwa ironji. Na czemże polegają? Na tem chyba, że gdy się stało więcej i jak najwięcej, — my mniej okazujemy, wychodząc z założenia, iż mniej, lub więcej, najmniej, lub jak naj-

więcej, — to przecież jedno i to samo w obliczu ludzkiej bezsiły wobec świata.

Tak to uśmiechał się towarzysz Koza w sejmie, w sejmowym bufecie — do swego opiekuna i pryncypała, posła Drążka. Uśmiechem tym pragnął Alojzy Koza załatwiać wszystko naraz: i przygłuszyć bicie spłoszonego serca i skupić uwagę rozmówcy i ułatwić sobie dalszą rozmowę i odebrać rozlicznym sprawom ich ważność i okazać, że on, dawny sekretarz Związku, nie przejmuje się niemi i ubłagać może nakoniec takim chytrym manewrem ironji jakąś radę od Drążka.

— Ja dziś jadę, mój Koza, — to jest bądź co bądź pewne. Wszystko już urządziłem, nakręciłem.

Koza przestraszył się. Drążek jedzie — odjeżdża?...

— A tak, można odjechać. Nie wszyscy muszą być zawsze w życiu na tem samem miejscu. Jeden musi pozostać wśród płonącego domu, a drugi, — powiedziawszy nad filiżanką kawy, w sejmie w bufecie: — ja już jadę, — może sobie odjechać.

Koza, chcąc ukryć nagłe przerażenie, popatrzył w piękne aż do podłogi sięgające, otwarte okno bufetu sejmowego.

Rzekł cichym głosem: — Ale pogadać ze mną będziecie przecież mogli jeszcze, towarzyszu?

„Towarzyszu", — czyniło całą kwestję i bardziej serdeczną i może nawet oficjalną nieco.

— Pogadać zawsze można, zresztą, kochany Koza, jak mi nie starczy czasu, to kiedyindziej sobie pogadamy.

Koza wyjrzał przez okno, czy raczej, wychy-

liwszy się przez nie, znalazł się górną połową ciała na powietrzu. Na dworze, — przed równiutkim rządkiem zieleni ogrodniczej, z której zapewne już niedługo wyrosną jakieś kwiatki. Dajmy na to gwoździki?! Albo może — primulki?

Nie znał się nic na botanice, bo cóż botanika, oraz rośliny mogły mieć wspólnego z walką klas! Pomyślał jednak teraz, że oddałby nie wiedzieć co, za to, by czekać tu spokojnie, patrzeć, co wystrzeli nakoniec z tych rozmaitych pączków. I o niczem nie wiedzieć i nie prowadzić żadnych rozmów... Ani nawet tej właśnie. Jakże ją przerwać, — cała nadzieja, — jedyna rada w Drążku! — Koza otrząsnął się i odpowiedział po chwili namysłu:

— Rzeczy moje, co je tu chcę powiedzieć wam, są ważne, a kiedyindziej nie dogadamy się, bo będzie już zapóźno...

Powiedział to, nie patrząc na posła Drążka, lecz właśnie całkiem gdzieindziej, ponad grządki pobliskiej, nieznanej sobie zieleni doniczkowo-ogrodniczej. O tak, — wolał spozierać na gęstwinę odległych drzew wielkiego parku sejmowego.

Niema co, — trawa z żółtej stawała się na szerokich gazonach zieloną, a tam, gdzie oświecało słońce dochodziła do barwy biało-srebrnej. Na drzewach, wśród gałęzi świeciły wszędzie pąki przyszłych liści.

Widok ten wzruszał dziś posła Kozę ponad miarę. Nie dlatego, że pąki, — to nie liście. Że pąk to ledwie zapowiedź prawdziwego liścia, a liść — to już spełnienie, i może umniejszenie pokładanej uprzednio nadziei.

Nie o to tu chodziło. Lecz o to, co się działo pod koronami drzew, w ich cieniu, — na trawnikach. Już niby był ten cień, przyzwyczajony zawsze wszędzie do drzew — a jeszcze go nie było. Gdzież się podziewał?! Tkwił stulony, w nierozwiniętych pąkach, ciemna szarość chroniła się w jasności młodocianej.

— Coście się znów tak zagapili, Koza! — zawołał krzepko Drążek.

Alojzy Koza, zagapił się usilnie bardzo, skoro nie dojrzał, że poseł Drążek, zaraz po kawie spożywa nagle wiedeńskiego sznycla, z jajkiem i ogóreczkiem i szmaragdowemi korniszonkami, pociętemi na drobne plasterki.

— Zagapiłem się, bo mam dziś dzień okropny, w którym muszę coś zdecydować bardzo ważnego dla siebie i dla partji i dla was może nawet, Drążek...

— No, to jeśli wam dziś tak trudno, zróbcie sobie dziś fajrant i decydujcie jutro.

— Kiedy musi być dziś!

— No, to co wam przeszkadza gadać? Niby, że jem kotleta, czy też sznycla? — Drążek siknął gwałtownie cytryną na mięso i ziemniaczki. — Muszę pojeść na drogę. Możecie zaraz mówić, — słucham bardzo uważnie.

Drążek, podniósłszy głowę z nad talerza, rozejrzał się dokoła, czy kto nie podsłuchuje, lub też, czy nie mógłby podsłuchać ich rozmowy? Ale gdzie tam, do djabła i kto i niby w jakim celu i niby co miał tutaj podsłuchiwać?! Głupawych zwierzeń Kozy? Co miał do powiedzenia ten znarowiony

Koza, — to już powiedział przecie o Deptule, o położeniu banku, o zwierzeniach Deptuły, wtedy, w sejmie, przy figurze rycerza — i o leaderze Mieniewskim.

Że im się teraz cały bank na łeb wali, Mieniewskiemu i Cynwajsowi, głównemu ekonomiście partyjnemu i całej partji. Owszem, wiadomość była dobra, ważna, może nawet niespodziewana prawie?! Prawie — Drążek dość dawno wąchał to pismo nosem. Wąchał, lecz nie przewąchał. Postrachy Kozy, nawiane przez Deptułę, były nawet dość cenne i poseł Drążek, — jak się wyrażał potem, — wyciągnął wszystkie rzeczowe konsekwencje z tego faktu.

Konsekwencje tego rodzaju, że udał się do Mieniewskiego, nie do sejmu, lecz do samego banku, a jakże, — tak, — w kolejce różnych ważnych petentów, bardzo skromnie. Dopuszczony nareszcie przed oblicze leadera, czyli pana prezesa (he, he!) postawił sprawę kantem. O, — żadnej wagi nie przywiązywał do jakże marnych deptułowskich plotek, gdzieżby znowu i poco? Co się w takich bankowych sprawach wie, — o przewróceniach, plajtach, ruinach i zawodach, — wie się zawsze dla siebie.

I czy się wie, istotnie? Bo to ludzie gadają, obszczekują, jak przy wszystkiem, co się gdziekolwiek dla nich dobrego robi. Nie gadali to i nie gadają jeszcze cięgiem o Domu Ludowym w Osadzie?

Tamto jest budowa fundamentalna a ta, bankowa jest — kapitalna, — niby, że w kapitale... Drążek sprawę postawił kantem od całkiem innej strony, mianowicie moralnej:

— Znacie moralność robotniczą, towarzyszu leaderze, boście ją sami przecież kształtowali. Wy pierwsi przed wszystkimi, to się wie. Znacie czułość sprawiedliwości naszej klasy robotniczej. Więc niema co, — wielka to radość, że pieniądze Kostrynia, — niech mu ta ziemia nie ciąży znowu zbytnio, — będą znów pracowały na rzecz socjalizmu. Ale od takiej radości należałby się zawczasu, — Drążek mocno podkreślił słowo „zawczasu", — jakiś tam procent niby właśnie, ludziom, którzy się do zgromadzenia takich pieniędzy w jednem ręku, chociażby kostryniowskiem, specjalnie przyczynili. A oni właśnie, to jest, niby górnicy z Osady Górniczej, — no, bo gdzie są kopalnie Erazma, — w Warszawie, w Mołodecznie, czy w Osadzie Górniczej, przyczynili się chyba do tych pieniędzy i potem i krwią swoją i nawet, często, chociażby własną śmiercią. A zawsze do wytrwania na tej drodze waszem szlachetnem słowem rzeczowo zagrzewani. Z drugiej zaś strony, bo każda rzecz ma dwie strony conajmniej, — gdyby się klasa robotnicza choćby takiej Osady Górniczej, dowiedziała, że niby jej krwawica — nie jest jej i nic Osadzie z krwawicy tej nie kapnie, to znów mogłaby klasa Osady Górniczej pomyśleć, że to są ordynarne, kapitalistyczne pieniądze Kostrynia — i Bank Robotniczy przechodzi z takim faktem na żołd kapitału...

Poseł Drążek uzyskał w ten sposób pewien zastrzyk pieniężny na „podciągnięcie" Domu Ludowego w Osadzie. Teraz jechał zastrzykiem tym, zatykać gęby parszywych swych dostawców. O czem więc jeszcze gadać z takim Kozą?

— Ja wam powiem odrazu, towarzyszu Koza, rzecz najważniejszą, jeżeli z rozmowy naszej obecnej chcecie mieć jaką taką korzyść, czy przyjemność. Nie opowiadajcie wy mi takich smalonych dubów, że to niby gadać pragniecie ze mną co do rzeczy, tyczących się i was i partji, a nawet — i mnie. Rozumiecie? Owszem, dziękuję wam, za wasze zwierzenia, pochodzące z rozmowy z Deptułą. Coprawda sam wiedziałem to i owo, więc nie wy jedni posiadacie zasługę odkrywania stuprocentowej prawdy. Ewentualnie zresztą, — wszystko jedno. Byłeś pan jednak w tej partji dzieckiem mojem.

— Zawsze jestem!

— A ja mówię, że byłeś. Albowiem duchowy ojciec pański w tej partji, — dowiedz się pan, — że umarł!...

— Co to ma znaczyć?

— Znaczy to, panie Koza, że twój ojciec partyjny, właśnie dziś i w tej chwili umiera nad tym sznyclem, jako partyjny ojciec Kozy i jako mąż partyjny. Rozumiesz, co to znaczy? Całuję stół!... — Drążek nachylił się i podwinąwszy obrus, ucałował brzeg stołu. — Odchodzę mój kochany. Odchodzę, — bo mam instynkt. Widzisz tu w sejmie wszędzie teraz chłopów albo szlachciców. A my wśródku jesteśmy za słabi. Jak długo łataniną się szło, tą niby odbudową powojenną, na chybcika, to jeszcze można było powiedzieć, że — obleci. Ale teraz, gdy tu ci chłopy zęby szczerzą, a tu ziemianie już po dawnemu warczą i powiadają, że swego nie popuszczą, a tam znów przemysł gruby, a tu znikąd nie widzisz

większego kapitału, cały kraj oczy za nim napróżno wypatruje, — jak będziesz walczył z onym kapitałem, gdy go niema? — Masz gdzie pod ręką drugiego Coeur'a, masz gdzie zaraz pod ręką okazję, żeby ci takie Coeur'y znów jakąś osobliwą zbrodnię wyczyniły?!... Nie masz.

Koza pobladł i rzekł po chwili: — Jakże mam to rozumieć? Że mamy żyć partyjnie z takich strasznych wypadków?!

— Jesteś głupi. No, bo tak, — podjął rzecz swoją Drążek, — sprawa Erazma ucichła, trawa po niej zarasta a tymczasem wali ci tutaj sprawa chłopska, o wiele, wiele większa, niż to wszystko co dotąd; ścisną nas w niej z obydwóch stron, nic nie sprawimy i znaczenie stracimy.

— To nieprawda! — Koza wogóle i z odwiecznej zasady nie mógł słuchać powiedzeń o traceniu znaczenia socjalizmu. — To nieprawda, — powtórzył. — Ale pan myśli, towarzyszu, że widocznie Deptuła ma rację, i Mieniewski się kończy?! To pan myśli!...

— Płyciutko pływasz, Koza. Gdybyśmy mieli takie uderzenia, jak wtedy, gdy był Erazm, a potem zaraz na taką rozhuśtaną rozpacz naszego ludu walimy, — dajmy na to, — hasła, czy programy, nic nie mogłoby skończyć naszego Mieniewskiego. Tyle już w życiu przetrwał. Nie o to tutaj chodzi, ale o orjentację. Co od roku 1848 wstawione zostało do programów socjalistycznych, — zostało wykonane. Tak, psia krew, — zostało wykonane i nic nie możesz teraz na to poradzić. A tu chłopstwo nadciąga ze swoją sprawą, z reformą. A my na to,

ze swej strony nic. Dlatego, Koza, całuję stół... — Drążek po raz drugi uchylił rąbka obrusa i pocałował pełnemi sznycla ustami kant stołu.

Ów dziwny obrząd całowania onieśmielił Kozę. Dawny sekretarz Związku poczuł w tej chwili wyraźnie wielką samotność, — całkowitą. Samotność — na wezbranych falach ustawodawstwa, samotność— w klubie. Do kogóż iść tam teraz i kogoż się poradzić i jak, za kim głosować i skąd to naprzód wiedzieć? Drążka w sejmie nie będzie. To jakby całego zgryzu i złości i podstępu Zagłębia zabrakło tam w sejmie!

— Nie róbcie tego pośle, nie odchodźcie, bo Zagłębi w sejmie to tylko wy! Teraz to widzę—wy!— Koza aż zarumienił się, że mówi takie rzeczy, byle tylko zachęcić Drążka do zostania.

— A cóż myślicie Koza, że będę mandat składał? Mowy niema. Mandatu nie złożymy, niech go nam tylko poprobują odebrać. Ale stół całujemy, chorągiewkę zwijamy, — bierzemy się do życia! Osobistego życia!

Koza uśmiechnął się — całą siłą ironji. Lecz cóż znaczy ironja, czemże się posługuje, — ledwie uśmiechem słabym i tylko swoim własnym, subtelnym uśmiechem ironicznym!

— Pan się dziwisz ogromnie, panie Koza, boś pan jest jeszcze młody. Jako młodemu, — przyznaję, — warto panu budować sobie renomę ideową. Dla mnie to już zapóźno. Mnie to już nie wypada. Ja już powinienem mieć ideę za sobą, odrobioną już dawno, a przy sobie powinienem mieć teraz siłę. Innemi słowy mnie wypada mieć teraz —

forsę. Być bogatym. Mieć i posiadać, — zupełnie, jak się patrzy. Inaczej nie da rady, — inaczej nie da rady w żadnym sejmie. Wie pan, co teraz zrobię? Rozejrzyj się pan wkoło. — Gdzie pan siedzisz?

— W bufecie.

— Ja też założę bufet. Nie stać mnie, oczywiście, na zakładanie Banku Robotniczego. Ale bufet! Restauracyjka. Zakładamy to w Domu Ludowym. Mała restauracyjka — na początek. Dlaczego macie zawsze wszystkie pieniądze tracić u Cieplika? Nie jestże to poprostu grzech — przeciwko życiu partji?

Koza oburzył się. Oburzył się tak wielce, że wpadł w trans, znaczne bowiem, natychmiastowe przypływy uczuć nazywał ściśle — transem. Wpadłszy więc w trans, zawołał:

— Tę rękę waszą, która mnie kiedyś biła, gdym wedle waszego zdania wyłamywał z twardych murów partyjnych, — całowałem z wdzięczności, — gdy mnie zrobiła posłem. To fakt. Ale, żeby ta sama ręka miała teraz porzucić wszystko i nalewać kieliszki Wyborowej wszelkim burżujom— nad blaszanym szynkwasem?! Żeby ta sama ręka, ta sama, która grzebała czterdziestu towarzyszów poległych na Erazmie, teraz od najzwyklejszych burżujów miała odbierać resztę!

— Nie gadaj tak biblijnie Koza. Ręka nie ma tu nic do rzeczy. Myśl, conajwyżej, będzie tutaj ta sama. Ale na to nikomu świadków nie postawisz. A ręka, firma, nazwanie, — wiadomo, że to wszystko będzie podstawione. Ja przecież nie dam swojej firmy. Ta sama ręka, noga, głowa i co tam jeszcze? Wymawiam ci tożsamość twoich członków? Nie wymawiam.

Oblicze posła Drążka przeistoczyło się nagle, jakgdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Z czcigodnego posła sejmowego stało się w jednej chwili twarzą Drążka z Zagłębia. Upartą i drewnianą z malutkiemi oczami, błyszczącemi straszliwym skosem.

— Wymawiam ci tożsamość członków, Koza? Nie wymawiam, a mógłbym! Z nicości cię wywlokłem. Doskonale pamiętasz chyba, jeszcze kiedy cię gnali kamieniami od Flory aż po szkołę Sztygarów i aż po Dom Ludowy, owoczesny, — ten bajzel, — nie gnali cię to wtedy twoi właśni koledzy kamieniami, — żeś szpicel?!

— Wy wiecie, towarzyszu, że niewinnie! — krzyknął Koza.

Drążek zatkał mu usta kosmatą łapą i mówił dalej: — Wiem, że niewinnie, ale to wszystko jedno. Gdyby cię tam utłukli, winnie, czy też niewinnie, — całkiem to obojętne. Nieobojętne jest natomiast, kto cię wtedy ratował, — prawda? Ratował cię duchowo i fizycznie Drążek. Teraz prosisz, by ręka Drążka nie cofała się z partji. A któż tę rękę sam odepchnął od partji? Ty! Ty, — Alojzy Koza.

— Nie gadajcie tak towarzyszu, — uśmiechnął się Koza bezsilnie nad bolesną ironją faktów i splotów losu. — Bo już na to wychodzi, że co tylko gdzie jakoś wypadnie, iż przeciw nam, czy nie po waszej myśli, to zawsze moja wina. Całe życie, mam być wciąż winien zawsze przed wami?! Odpycham was od partji, — pośle Drążek?! Ja was odpycham?

— A cóż myślisz?! Prawdziwa wolność zasadza się jedynie na zupełnej niewoli. Winien mi je-

steś całe swoje życie partyjne, a tak, żebyś to wiedział. Żebyś to wiedział, tobyś chociażby z powodu Kostryniowej i jej pieniędzy, — rozumiesz? Tobyś nie miał najmniejszych wahań. Nie potrzebowałbyś wybierać między wielkim leaderem a starym biednym Drążkiem. A tyś wybrał, cwaniaku! Cóż ci tam taki Drążek, stara, brudna łachudra zagłębiowska?! Tu masz leadera, światowca, salonowca, tu masz wielką karjerę, tu się odkuwasz w partji! Nie bezpośrednio, ale pośrednio, — toś ty mnie podciął w partji! — Wszyscy powiedzą, — Drążek w swoim okręgu jest sam, jak palec. Jak co do czego to nawet taki Koza przechodzi nad swym starszym posłem do porządku! Pieniędzmi Kostryniowej opędziłbym do końca cały nasz Dom Ludowy. A tak, — przy tylu wekslach?!...

— Nie gadajcie tak, towarzyszu, bo jeśli tak myślicie, to razem z wami składam natychmiast mandat. I razem z wami, chociażby tylko na posyłkę do waszej restauracji wracam do Osady!

Osada straszna, ciemna, śmierdząca, pełna ryku fabrycznych syren i hukania maszyn wyciągowych, — któryż to raz w tym sejmie wydaje się znów Kozie wymarzoną przystanią?... Czy mógł jednak powracać? Odpowiedziały, — jeszcze nawet nim zdążył Drążek, — wszystkie drzewa, widoczne stąd, z bufetu. Drzewa, których srebrzyste pąki chowały w sobie nienarodzony jeszcze cień trawy i konarów.

Nie było takich drzew w Osadzie, nigdzie i nie było takiej muzyki powietrznej, żeby zdołała przy pierwszym lepszym wiewie wpłynąć nagle przez

okno, jak tu właśnie, napełnić całą salę, napełnić uszy, napełnić płuca ludzkie takim rozgłośnym dźwiękiem — kochanego imienia Zuzy! Nie było już Zuzy w Osadzie!

A tu znów słowa Drążka: — Na posyłkę do mojej restauracji nie nastaniesz, bo jeśli tu przed tobą stół ucałowałem, to nie po to, aby się po mej knajpie jakieś socjalistyczne typy pałędały. Ja mam mieć „jazz" chociażby tylko z jednym grajkiem warszawskim. Jakiś warszawski poecina ma u mnie wiersze mówić z kawałami, chociażby co sobotę. Ja mam mieć fortancerki, — które, jak sam rozumiesz, — znajdę z wszelką łatwością pośród wdów urzędniczych. A kelnerów mam mieć prawdziwych, nie zaś przemalowanych z towarzyszy. Żebyś mi może potem jeszcze strajk organizował w moim własnym ansztalcie?! — Po drugie, — jak wspomniałem: ja mandatu nie składam. Ani też ty nie złożysz. Zostaniesz dalej tutaj, jako mąż zaufania mego. Będziesz się słuchał we wszystkiem mnie, — nie Mieniewskiego. Jeżeli teraz uważasz, żeś zrobił źle—

— Tak, — przerwał Koza.

— Co tak?! — wykrzyknął Drążek.

— Źle zrobiłem, że Kostryniowa chce oddać pieniądze Mieniewskiemu, nie wam.

— Otóż to, — Drążek przytaknął głową ociężale. — Jeżeli teraz uważasz, żeś źle zrobił, to masz teraz otwartą drogę powrotu do mnie. Gdy okażesz poprawę. Buduj się tu w idei, akurat jest czas na to, jesteś młody. Pilnuj mi Mieniewskiego.

Poseł Drążek podniósł się szybko, albowiem dojrzał w szerokich drzwiach bufetu dwóch dżen-

telmenów, w białych jedwabnych szalach, z melonikami w ręku. — Widzisz, Koza, — zawołał Drążek, — to jest mój starszy kelner i fortancer. Zaraz wrócę. Gdyby to dłużej trwało — możesz za mnie dokończyć tego sznycla.

Koza uśmiechnął się znów — ironicznie. Talerz ze sznyclem nakrył drugim, aby jedzenie nie wystygło posłowi. Skubnąwszy przy tem kawałek korniszona, oddał się medytacji. Nad wyraz trudnej. Ach, — nad wyraz bolesnej! Gadając z Drążkiem trzymał się jeszcze jako tako na wodzy. Jakże miał Kostryniową z pieniędzmi kierować do Antoniego Drążka, krętacza i na pieniądze pijawki, jakich mało?! Kiedy przecież dlatego właśnie zatrzymywał tu Drążka i błagał o nieporzucanie sejmowej roboty, aby ten stary Drążek pomógł teraz i może jakoś powstrzymał Kostryniową od składania pieniędzy Mieniewskiemu!

Czy nie jest to zapóźno?!

Jakże tu myśleć o tem wszystkiem spokojnie,— gdy jeszcze wczoraj... Koza zapadł we wspomnienie to, jak w szum wody, w szum drzew, jak się zapada w szum wieczoru, jak się z pewnością zapada w szum wezbranego morza. Nigdy nie widział morza w swojem życiu, zaprawdę jednak, czyliż mogło więcej zachwycić kogoś niż, — jak olśniony został wczoraj Koza, gdy szedł do pensjonatu?... Szedł w górę, pieszo, bo winda się popsuła. Na piątem piętrze trzasły jakieś drzwi, — rozległ się zamęt przedziwny! Zamęt młodości i pośpiechu, — z którego na zakręcie schodów wynikła niespodzianie ona, ona, Zuzanna!

Koza widywał ją niezmiernie rzadko, ponieważ unikała wszelkich widzeń z dawnym biednym sekretarzem Związku. On do nich, — ona z domu. On się umawia w parku z Kostryniową — Zuzanna jest zajęta.

Ciągle, wiecznie zajęta. Gdy ją tu zobaczył, — jednym rzutem, jednem olśnieniem, jednym skokiem radości, jeżeli radość skokami się wyraża — przebaczył jej odrazu wszystko. Ileż razy przebaczał! Przebaczył jej brak czasu i wieczne zajęcie i ciągłe wymijanie i nawet wszelką niechęć, może nawet nienawiść i niechby było wszystko najgorzej zawinione, —już czeka przebaczenia.

Co za szczęście, że szła, że żyła. A tu jeszcze— w żałobie pięknej. Nosiła tę żałobę po ojcu. — Jak żeż mogła w zwyczajnych szatach smutku tak prześlicznie wyglądać?! Słowo — prześlicznie, — niczego nie określa. Jest bezsilne i głupie. Czy może „ślicznie" wyglądać to, co jest jedyną odpowiedzią naszej duszy? Dusza pyta się ciągle, na wszystkie strony, wszystkich. Pyta się ludzi, rzeczy, przedmiotów, dni i godzin — i nie ma odpowiedzi.

Lecz zjawia się Zuzanna i przynosi odpowiedź na wszystko.

Czy może więc Zuzanna wyglądać tak, lub owak, lepiej, dobrze, lub źle? Nie zdoła i nie zdąży wyglądać, — nie znajdzie nigdy na to czasu w zmrużonych oczach Kozy, ani też w jego rozszamotanem sercu.

Nie znajdzie na to czasu!

W jednej chwili, w jednej sekundzie staje się Zuza wszelką treścią i odpowiedzią duszy. Nie zdą-

żył się ukłonić nawet na schodach i rzekł pośpiesznie, że biegł tu dzisiaj — do pani właśnie, wcale nie do pani Kostryniowej.

Zuzanna zaś, tak obojętnie:

— A czamże mogę służyć panu ja—naprzykład?

„Może służyć"... — Przestraszył się. Potem zaś po junacku dodał: — Dobre sobie, — mnie służyć?! Sprawy są poważniejsze, — niż flirt.

— Nigdy nie flirtowałam z panem.

Więc Koza znowu: — Dobre sobie! — Ach, ciągle w tej rozmowie powtarzał te dwa słowa, — dobre sobie, — rumieniąc się za każdym razem z bezsilnej wściekłości, że taki głupi frazes w tak ważnej chwili wciąż mu się tu natrąca. — O flircie niema mowy panno Zuzo. — Zamyślił się, dysząc tak cicho, — wpatrzony w postać Zuzanny.

Trzymała rękę na poręczy schodów. Zdołu ktoś wszedł do klatki schodowej. Zadzwonił na windziarza, — bo było słychać dzwonek, — stuknął laską, — echo oddało pustkę.

Ów ktoś począł maszerować pod górę. Dlaczego Koza zamiast dalej rozmawiać, — liczył te kroki nieznanego człowieka, zbliżającego się z dołu?! Może właśnie dlatego, aby przy dziewiętnastym kroku spostrzec, iż Zuza zdjęła już dłoń z poręczy i ma zamiar iść dalej. Nie mógł jej drogi zastępować. Nie uczyniłby tego nigdy! Ale powiedział śmiało:

— Mowy niema o flirtach, przyszedłem, aby pomówić z panią o pieniądzach.

— O ile wiem,—teraz podniosła brwi i uśmiechnęła się tak cicho, po swojemu, — ani my panu, ani pan nam nic nie jest winien?...

Zuza śmieje się zawsze po swojemu!

Nie ulega wątpliwości i zgadzają się na to wszyscy przyrodnicy, że tak samo jak u zwierząt i u ludzi zęby służą do pożerania, do gryzienia, do życia. Niezbyt zaszczytna funkcja! Tymczasem, gdy Zuzanna w uśmiechu rozchyliła usta, zalśniło jakąś niebieską łagodnością. Biało - niebieską wilgocią śnieżnych pestek. Wdziękiem owocu, — uduchowieniem, światłem i raczej wnętrzem tajemniczej istotności, przypomnieniem szczęk, żucia, i jedzenia.

— O ile wiem, — nawiązała swe zdanie, — rozmawialiście państwo o pieniądzach z matką, która mnie informuje przecież. Więc nie rozumiem o co panu chodzi? Wszystko już zakończone chyba w tej sprawie? Na jutro wyznaczył mamie pan Mieniewski jakąś godzinę w banku. Przecież pan sam tak radził?

Koza strzepnął rękami. — Ach, nic się nie załatwi, droga panno Zuzanno, tak, — mam nadzieję, że nic się nie załatwi! Ufam pani, — pani musi pomówić ze mną. Chodzi tutaj o życie!

— O czyje znowu życie, — zniecierpliwiła się.

— Wszystko jedno, o czyje. Chodzi o życie ludzkie!

Ubłagał ją, że poszli razem, aby gdzieś cicho,— ma się rozumieć w tajemnicy, pogadać o tem wszystkiem. W tajemnicy.

— Tego nikt nie wie, droga pani, — dobre sobie, — jeszcze mieliby o tem ludzie wiedzieć? Co tam ludzie, — działacze, posłowie, mężowie stanu nic jeszcze o tem na szczęście nie wiedzą. Ja wiem,

dzięki czystemu przypadkowi, może mi pani wierzyć, tak jedynie przypadek!...

Gadał przez całą drogę i plótł wciąż, poprawiając na sobie fałdy gumowego płaszcza, przerażony zapachem tego płaszcza! Może Zuza nie odczuwa woni gumowej poprzez perfumy swoje? Czemże pachniała, — na Boga, — czem, — nie zapach kwiatów, lecz coś wyższego, wznioślejszego, — sama duchowość niewieściego uroku!

Koza gadał po drodze, niecierpliwił się, uradowany jednocześnie każdym domem, każdym samochodem, balkonem i afiszem i każdym wróblem, przelatującym z jednego drutu ulicy na drugi. Cieszył się teraz całym światem, widzącym choć przelotnie, — że idą tu we dwoje tacy tam młodzi ludzie, poseł Alojzy Koza i panna Kostryniówna.

Bo świat nie wie i może się pomylić i ludzie mogą myśleć, iż rzeczywiście przechodzi tędy czuła para.

Uczucie radości, aż piekącej, tak nagłej powiększyło się jeszcze w cukierni, — w przygodnej małej cukierence, jakich jest wszędzie w Warszawie bez liku na tak zwanych drugorzędnych ulicach.

Taka tam sobie cukierenka, niefirmowa, zupełnie bylejaka, ze skamieniałemi ciastkami we witrynie, — powyżej babki cukrem posypane, — nad marmurową ladą fryzowana kasjerka, dalej zaś kilka schodków. Nad schodkami jakieś niby kotary a za kotarą pokój obszerniejszy z obrazkiem bitwy narodowej, papieżem i z gołą Fryne w litografji. Na stolikach ramki dla gazet, aby się czuła para mogła w porę zasłonić.

— Dwie herbaty i ciastka cztery, — cztery świeże, śmietankowe babeczki.

Dlaczego wymieniał tak dokładnie, ile ma tam być wszystkiego?!

Zdało się Kozie, iż gdy zamówi wszystkiego po cztery na dwie osoby, — okaże należycie szczodrość i entuzjazm. Tymczasem, znów w myśl wskazań, przyjętych w wielkim świecie, możeby lepiej było nie wymieniać wogóle cyfr, powiedzieć — ciastka. babka. Ciastka, babka, firanki, marmurowe stoliki okrągłe, cztery schodki skrzypiące i zakurzone okna, które wychodzą na długi rząd dorożek: na rozmachane ogony końskie, na dorożkarzy w starych, granatowych liberjach. Koza czuł, że poezji tego spotkania już nigdy, nigdy w życiu nie zapomni... Poezji, — oraz zgrzytu!

Wypowiedział swą sprawę Zuzannie w tajemnicy: — że teraz nagle boi się, by powierzały pieniądze Mieniewskiemu.

— Ale przecież pan sam tyle razy powtarzał, że właśnie leader trzyma rękę na wszystkich pulsach naszego życia zbiorowego?! Że jest zorjentowany jeszcze lepiej, niż zwyczajny finansjer, niż bankier, czy też nawet minister?!

— A jeżelibym powiedział pani, że leader, mimo, iż jest tak nadzwyczajnym człowiekiem, — może też całkiem zwyczajnie zbankrutować?... Nie sam, nie osobiście, ale razem ze swoim Bankiem Robotniczym?!

— Jeżeliby mi pan to powiedział, — to cóż? — Przypomniało się Zuzie, jak razem z matką owej nocy przy parawanie z pierścionków od cygar liczy-

ły swoją schedę, pieniądze ojcowskie, zwinięte w gruby rulon i schowane w pudełku od dziecinnego pudru. Przypomniał się Zuzannie ów dzieciaczek, wydrukowany na pudełku.

— Ale niby dlaczego miałby nagle pan poseł Mieniewski zbankrutować? Nie wiem, co się robi w takich wypadkach. Jeżeli pan Mieniewski zbankrutuje, to, jak zwykle, powiemy wszyscy, którzyśmy mu powierzyli nasze pieniądze, iż zawiódł nasze zaufanie. Będziemy chcieli i zapewne będziemy się starali, by nas spłacał. Bo ja wiem, jakie tam w takich razach odbywają się procedury? Czegóż chce pan więcej?

— Chciałbym w takim wypadku nie ponosić odpowiedzialności za zawiedzione zaufanie wasze.

— A tak, to bardzo słuszne. — Zuza wyciągnęła do niego rękę.

Uścisnął ją po koleżeńsku i rozejrzawszy się, czy ktoś nie widzi, — odetchnął głęboko.

— Więc mogę być spokojny, że pani powtórzy te objekcje matce?

— Nie, nie powtórzę. Nie mogę przecież takich przypuszczeń, czy domysłów o panu pośle Mieniewskim powtarzać matce. Niech pan to sam jej powie.

— Nie mogę. — Ja, — ze względów partyjnych nie mogę tego powiedzieć nikomu. Pani, — to co innego.

Koza pochylił twarz nad czterema ciastkami i sporym głonem ocukrzonej babki. Babka pachniała waniliją. Zapach ten wzruszył Kozę niemal do łez. Schylając coraz niżej głowę, rzekł sekretarz:

— Pani powiedzieć mogę wszystko, przed panią nie mam żadnych tajemnic. Pani powiedzieć mogę zawsze wszystko, prócz tej jednej rzeczy, — którą najbardziej chciałbym powiedzieć...

— No tak, ale ja, — panie pośle, nic matce nie wspomnę o tem wszystkiem. To trudno.

Podniósł głowę z nad ciastek. Jął głośno mieszać cukier w herbacie.

— No, to stracicie pieniądze i kto wie?... Bardzo możliwe, że w przeciągu paru miesięcy zostaniecie dziadówkami. Cały dorobek biednego ojca pani, dyrektora Kostrynia —

— Niech się pan nie wzrusza pamięcią mego ojca, bardzo proszę!

— Owszem, dobre sobie, — użył znów tego zwrotu i znów uśmiechnął się ironicznie. — Ma pani słuszność, nie mam społecznych powodów, aby się wzruszać pamięcią ojca pani, a moje powody osobiste, które mi każą wzruszać się tą pamięcią — nikogo nie obchodzą...

— Przypuśćmy.

— Tak, przypuśćmy. Ale fakt objektywny! Jeżeli zostaniecie nędzarkami?! Niechno pani pomyśli, — śniadanie, obiad, kolacja, mieszkanie, pranie, rękawiczki, buciki, suknie i uczesanie i dajmy na to — masaż i perfumy, — za wszystko trzeba płacić!! Płacić, płacić codziennie. A tu, — — niema pieniędzy. Mieszkanie, pranie, — dobre sobie!

Ta właśnie myśl, że Zuza stanie kiedyś przy balji, — Koza pamiętał przecie z własnego dzieciństwa swą matkę praczkę, — odbierała sekretarzowi wszelaką równowagę. Uśmiech Zuzy przestraszył

Kozę. Skądże taki anielski uśmiech, — skądże to poświęcenie?!

Piła herbatę malutkiemi łyczkami, wesoło uśmiechnięta. Ba, — nawet wzięła ciastko z salaterki. Ciasteczko, przekładane czekoladowym kremem. Koza odczuł w tej chwili, że stało się coś nieodwołalnego.

Kostryniówna uśmiechnęła się zagadkowo i rzekła:

— A może chętnie nawet stanę właśnie przy balji? Będzie to wielki triumf w pańskiej dotychczasowej karjerze politycznej. Taka wielka ofiara, no, niechże pan pomyśli, — poniesiona dla pańskiego leadera, dla leadera socjalistycznej partji. Córka kapitalisty oddała swoje mienie dla ratowania waszego Banku Ludowego. Nie, panie Koza, — nie wspomnę nawet matce o tem wszystkiem.

— Dobre sobie! — Wypowiedziawszy te nieszczęśliwe słowa, Koza aż zagryzł dziąsła. Aby już nie używać więcej tego idjotycznego zwrotu, aby tu nie wybuchać, aby jej nie objawiać prawdy, nie wyprowadzać Zuzanny na manowce, po których może już zaczyna stąpać... Niestety nie potrafił się opanować ani w rozmowie tej, ani też teraz, gdy już tylko wspominał tę scenę samotnie, nad krzepnącym kotletem posła Drążka. Jeszcze teraz, tu w sejmie, na samo tylko wspomnienie tego, co się wczoraj stało — jął drżącemi i zmarzniętemi palcami poprawiać krawatkę. Cóż za szaleństwo! Wczoraj w cukierni, powiedział nagle, stanowczo, bez najmniejszych ogródek:

— No tak, pani nie da znać matce, bo rzeczy-

wiście, — po co? Niech przepadają pieniądze, to głupstwo, — praca całego życia ojca pani. Niech przepadają dla ojca światowego wynalazcy Włazolinu, — wszem obec... — Wyrzekłszy nieoczekiwanie słowa — wszem obec, — dodał Koza: — Ależ tak, oczywiście, warto stanąć przy balji, — dobre sobie, — naturalnie, że warto, ale już...

Mówił, patrząc jej prosto w oczy. Lecz w oczach tych złocisto-czarnych, czy złocisto-niebieskich, jednych tylko, jedynych, — w jedynych oczach Zuzy spostrzegł ku swemu przerażeniu, że nie odbija się ani cukiernia, ani lustro cukierni, ani firanki, okna, ani nawet, on, Koza... Źrenice Zuzy wypełniły się radosnem drganiem.

— Warto stanąć przy balji, — dokończył wówczas Koza ironicznie, — dla tak ogromnej idei Włazolinu, którą przypłaciło się już takiemi ofiarami i nawet śmiercią, — śmiercią czyjąś. Dla tak wielkiej idei warto stracić pieniądze i nawet stracić... — Nie śmiał dokończyć zdania...

Zuza, wsparłszy głowę na dłoni, wcale nie rozgniewana, jakgdyby tylko przemęczona i senna, patrzyła wciąż przed siebie. Wyglądało to nader dziwnie, — że się lituje pobłażliwie — nad wszystkiem: Nad światem, sobą, Kozą, cukiernią i ciastkami. Litować się tak może człowiek, przepełniony ogromnem szczęściem, szczęściem z brzegów występującem!

— Zwracam pani uwagę panno Zuzo, że taka lekkomyślność, — taka szalona lekkomyślność, płazem w życiu nie ujdzie. Bo ja, jak mnie tu pani żywego widzi, powiem, komu należy, — powiem osob-

nikowi danemu, powiem że tu są w grze pieniądze. Powiem, — żeby to sobie pani wiedziała, — już zawczasu, powiem Tadeuszowi Mieniewskiemu, który tu jest w Warszawie, — ma się rozumieć! Koza zdrętwiał: albowiem, gdy domawiał ostatnich słów, jakby coś przełamało Zuzę.

—Tadeusz jest w Warszawie, — mówiła równym szeptem, — a mnie nikt o tem nie mówi! Umilkła nagle i wybuchła cichym śmiechem, — nie mógłby Koza inaczej tego określić, — cichym, najmilszym śmiechem powitania!...

— Nikt pani o tem nie mówi? Owszem, proszę pani, — mogę służyć adresem, — Batorego dwadzieścia, duży, czerwony dom, z bramy zaraz na lewo asfaltowanym chodnikiem, proszę bardzo, — tylko, że ja tam będę znacznie wcześniej przed panią i jeżeli poczucie honoru...

— Panie Koza, — zaśmiała się Zuzanna, z oczyma łez pełnemi, — cóż poczucie honoru, ach, mój Boże, poczucie honoru?! I śmiała się wciąż dalej, roniąc okrągłe łzy na biały marmur stolika cukierni.

Takie oto miał Koza wspomnienie z rozmowy z ukochaną. Śmiał się teraz ze wspomnienia tego — ironicznie. — Ba, — począł nawet jeść tego sznycla, po Drążku. Mięso rosło mu w gardle. Lecz trzeba jeść, — bo trzeba żyć. Nie dawać za wygraną. Dlaczego dawać za wygraną?! Kochać, — przeciw miłości cudzej. I bronić! Sytuacja bez wyjścia: jeśli tranzakcja z pieniędzmi nie dojdzie do skutku, — Zuza ma wolną drogę do swego Tadeusza.

Jeśli tranzakcja „chwyci" — stanowić będzie, mimo wszystko, nowe ogniwo wspólnoty, interesu,

może nawet cierpienia pomiędzy Tadeuszem i Zuzą. Koza pomimo wszystko postanowił bronić tego, co najważniejsze:

Żebyś nie była biedna!!! I żebyś sobie żyła dalej w puchu i dobrobycie i zupełnie bez troski! Żebyś miała na masaż i na swoje perfumy. A kształcenie charakteru ducha, o którem tyle myślał w Osadzie? Tak, rzeczywiście, — zrozumieć nie mógł małoduszności własnego stanowiska.

— Więc, panie pośle, — spytał wracającego od swych kelnerów Drążka, — powiedzcie co radzicie? Ja wam wyznaję śmiało całkiem szczerze, — zapłonił się, — że kocham Kostryniównę. Dobre sobie, — czemużbym ukrywał to przed wami? To jasne, — więc ją kocham.

Jakąż ulgę przyniosło Kozie to wyznanie, pozbawione zupełnie sensu?... —

— Zależy mi poniekąd także i na jej szczęściu. Zamożność nigdy nie przeszkadzała szczęściu. A to już chyba sami rozumiecie, że gdyby kiedyś doszło pomiędzy nami do tego tam, — no, — ślubu, cały majątek wróciłby razem ze mną do Zagłębia, a więc i przedewszystkiem w wasze ręce. Więc co? Więc może jeszcze ostrzec Kostryniową?! Gdybyście wy to chcieli zrobić?!

— Nie mogę, bom jest partyjna szarża, za wysoka, na tak małe podchody.

— No, — to chociażby ja! — Koza zatrząsł się ze wzruszenia.

— Wam nie wypada Koza. Wam teraz nie wypada. Gdybyście to zrobili, Mieniewski może zdeza-

wuować was odrazu, stante pede. A co, — zjedliście kotlet? Prawda, że całkiem dobry?

Koza gubił się już zupełnie w możliwościach. Drążek patrzył na niego nieubłaganym wzrokiem wytrawnych rozmów w sekretarjacie Osady Górniczej.

— Panie Koza, ucałowałem stół, więc mogę sobie pozwolić na czystą bezinteresowność i, powiem więcej, — dobroć. Zatrzęśliście wy moim Domem Ludowym, wysiudaliście mnie poniekąd z głównego łożyska partji do bocznego zalewu. — Tak, nie mógł sobie Drążek nie pozwolić na tę ironję wobec dawnego sekretarza, którego zaufanie poderwał sam, raz jeszcze, uprzedzając go w aferze schedy po Kostryniu u towarzysza Mieniewskiego. — Ale, — nie chcę się mścić. Bo ja, panie Koza pracuję nie na dniówkę, lecz na długie terminy. Słuchaj pan mojej rady: do żadnej Kostryniowej już pan teraz nie idziesz. Pan idziesz, prosto z mostu, jak się należy do samego starego. To jest do Mieniewskiego.

— Po co do Mieniewskiego, panie pośle, na rany boskie, po co?

— Pała jesteś. Idziesz do Mieniewskiego i *jego* ostrzegasz, całkiem formalnie, w banku, — że takie słuchy niedobre krążą o jego finansach, że krążą, — z czyich ust? — Drążek, znając stosunki, wiedział niezbicie, że ostrzeżenie podobne, to w partji, prowadzonej przez Mieniewskiego, — wyrok śmierci na Kozę. A niechże idzie sobie sam, Alojzek, wydać na siebie w partji taki wyroczek śmierci!

— Idziesz do banku i starego ostrzegasz w duchu, że ty, niby lojalnie całkiem meldujesz, co gadają na mieście. O nieuchronnej plajcie. A czy leader ze-

chce brać na sumienie swoje, potem, lokatę tych pieniędzy, to już ty się do tego nie mieszaj, powiedz, żebyś się nie śmiał mieszać i jemu to zostawiasz. Dzięki takiemu ostrzeżeniu, ty, jako faktor pożyczki zwiększasz odpowiedzialność Mieniewskiego i poniekąd uzależniasz starego Mieniewskiego od siebie.

Drążek zgarnął pośpiesznym ruchem kruszki z obrusa. Wsypawszy je sobie do gardła, dodał jeszcze: — Tak, panie Koza. Stoisz pan teraz wysoko, pomiędzy swojem życiem osobistem — a partją. Na pociechę mogę ci dodać, że, — jak sam mówisz, w tej ciężkiej chwili sprzyja ci miłość, co może ci osłodzić niejedną trudną chwilę. Tak. Albo może pan stoisz, panie Koza, — jeszcze wyżej? Nietylko między życiem osobistem, ale wogóle?...

Drążek nie dokończył już zdania, gdyż żal mu się zrobiło Kozy. Biedny Alojzek siedział naprzeciw, ponury, zagapiony, szary, twarz mu się wyciągnęła wzdłuż policzkowych kości. Może był teraz nietylko pomiędzy osobistem, lecz wogóle, — pomiędzy życiem a partją?! Nie chcąc już więcej martwić przyjaciela dodał Drążek takie prorocze słowa:

— Parlamentaryzm do pogodzenia z życiem, — to znów nie takie łatwe, jak sobie ludzie myślą. Wcale nie takie łatwe. Dlatego to, mój Koza bądź ogromnie ostrożny i pływaj powoluśku.

Koza uśmiechnął się do swego ojca partyjnego dzisiejszym swym uśmiechem, — bezsiły wobec życia, uśmiechem ironicznym.

— Powiedzieliście, — pływaj powoluśku. Dziwi mnie i przestrasza, bo w tej samej sekundzie myślałem o pływaniu. Nigdy jeszcze nie byłem na morzu.

Ani też na okręcie. A tak mi się wydaje, że ta sala bufetu podobna jest z pewnością do restauracji okrętowej. Że płyniemy na naszym okręcie.

— Otóż pan, panie Koza, nie myśl teraz za wiele o okrętach i tego typu faramuszkach. Pamiętaj pan o furtce. Rozumiesz? Pokazałem ci przecież wyjście. Dobrą, jedyną furtkę. — Poseł Drążek uśmiechnął się rubasznie, wstał, pozostawił pieniądze za sznycel i za piwo, za kawę. — Teraz się rozstajemy, — rzekł, ujmując dawnego sekretarza za ramiona, — niechże ci się przypatrzę jeszcze. Ja stół ucałowałem i powiem ci symbolem: pływaj sobie powoli, ale pływając pamiętaj wciąż o furtce.

Drążek odchodził pomiędzy stolikami, barczysty, wielki, mocny, — w Kozie tłukło się serce z żalu i niepokoju. Drążek zatrzymał się na jedną chwilę w drzwiach. Zatrzymawszy się tutaj, spojrzał na Kozę, bardzo dziwnie, — dawnym, srogim, złowieszczym wzrokiem z sekretarjatu Osady Górniczej. Koza mało nie krzyknął z przerażenia.

Pan poseł Drążek machnął ręką, jak kiedy macha się dłonią, na znak, że coś zginęło. Koza wsadził do ust koniec serwety, by się nad samym sobą nie rozpłakać.

Cały dzień dzisiejszy, w tak bolesnem napięciu i w takich interesach, wielce sprzecznych, — a pocóż interesy? Chyba jedynie po to, aby się utwierdziło wszędzie, na każdym kroku, iż ludzie ciągle sięgają za wysoko i za daleko i zawsze niepotrzebnie. Tak jest jednak na świecie, — każde wyższe uczucie wymaga zawsze cierpień. Jedno drugiemu drogę zastępuje, póki nie znajdziesz się człowieku wśród trud-

nych walk i na tak dziwnem miejscu, że widzisz stąd dokładnie, iż wszystko, coś ukochał, — zniszczyć się chce wzajemnie.

Łatwo wołać Drążkowi, — furtka! Lecz w tej furtce, — walczy najświętsza miłość partji z miłością serca, przywiązanie do towarzysza — z szacunkiem dla leadera, — wszystko ze sobą walczy, a musisz sam rozstrzygać! Koza szukał owego rozstrzygnięcia szczerze, pilnie, uczciwie.

Myślenie na nic się już nie zdało, więc szukał, — za pomocą chodzenia. Chodzenie to rzecz ważna, bardzo niedoceniona! Chodzące nogi odpompowują krew z wnętrznych organów, pośrednio zaś i z głowy, głowa więc staje się wolniejszą i wtedy myśl właściwa z o wiele mniejszym trudem znaleźć może swą drogę.

Sekretarz Koza przemierzał zrazu przecznice dalsze, później już tylko wzdłuż samego frontonu Banku Robotniczego dreptał tam i zpowrotem. Powtarzał czujnie słowo — furtka, — i czekał.

Uznał wreszcie, że na trzydzieści minut przed oznaczoną wizytą Kostryniowej zjawi się sam u Mieniewskiego, w gabinecie prezesa. Woźnym da po złotówce, więc go przepuszczą zaraz i powie wszystko zwięźle, o czem gadał Deptuła.

Poseł Mieniewski napewno, — co napewno?!... Ach, gdybyż to mógł Koza wierzyć tak w Mieniewskiego, jak kiedyś, tam w Zagłębiu, gdy jedli obiad w Domu Ludowym a potem czarną kawę pili u Ciepli-ka, naprzeciw w knajpie, gdzie Zuza przy stoliczku siedziała ze znaczkami na Ligę Powietrzną!

Wspomnienia mogą ubezwładnić człowieka, — zabić nawet.

Dość już wspomnień!

Wszedł do banku, — godzina była czwarta. Może się zameldować zaraz? Gdybyż tylko nie ten przeklęty szacunek do wielce pysznych urządzeń samej instytucji! Szacunek ten odczuł Koza zaraz w subtelnym cieniu hallu, w obliczu pięknie odzianych woźnych, oraz szwajcara, w szamerowanym płaszczu kroczącego między drzwiami głównemi a szatnią.

Szwajcar ów dzierżył berło, wysokie, jak pastorał, z dwiema złotemi literami na poprzecznej tabliczce: B. R. — czyli, — Bank Robotniczy.

Te dwie złote litery napełniły tu nagle Kozę krańcowem przerażeniem. B. R. — skomplikowany ceremonjał banku mógł stanąć między Kozą a Mieniewskim i co wtedy?

Nie patrząc na zegarek Koza oddał gumowe palto w szatni, — wyglądało na szaragach tak marnie, — i pobiegł na górę. Zatrzymał się w połowie schodów: przypomniała mu się tu właśnie Zuza i to, co jej powiedział, — o ojcowskich pieniądzach, o Tadeuszu Mieniewskim — mordercy, — tak, tak jej wczoraj powiedział w cukierni! Smutne wspomnienie bolesnej krzywdy, wyrządzonej Zuzannie, napełniło w tej chwili posła Kozę bezmiarem szlachetności.

Drążek powiada — furtka, Drążek mówi, — pamiętaj pływać powolusku, Nie, — to nie będzie żadna furtka, — będą to wrota stuprocentowej uczciwości i prawdy.

Poskoczył wyżej. W pięknym przedsionku dał woźnym w granatowych mundurach po złotówce, — lecz to nie byli woźni od Mieniewskiego. Skierował się na lewo, w stronę gabinetu prezesa. Tu znów woźni!

Spytali, czy ma wizytę zamówioną. Byli to jacyć inni, nowi ludzie, widać świeżo przyjęci.

Koza nie odpowiadał im i wzruszył wzgardliwie ramionami. Sługusy zastąpiły mu drogę. I tu dopiero wynikło prawdziwe nieporozumienie. Zamiast zaanonsować się, jako poseł sejmowy, zapomniał w podrażnieniu i ferworze o poselstwie. Zameldował się, w myśl dawnego nałogu, jako sekretarz Związku Górników z Osady.

— No, to pan przyjdzie jutro, bo już pan prezes nikogo z niezamówionych na dziś nie przyjmuje.

Oświadczenie powyższe i grubiańska postawa sługusa wobec wzmianki o Osadzie Górniczej przebrały miarę cierpliwości dawnego sekretarza Związku.

— Nie zawracaj pan głowy, — krzyknął Koza i ruszył naprzód, — a woźni za nim. On do drzwi — a oni go za ręce. Wdarł się do sekretarki — woźni na jego plecach. Sekretarka skoczyła od maszyny.

Powstał szum, krętanina, gadanie, mieszanina, perswazja i hałasy, ale to nic już nie znaczyło dla Kozy, zwłaszcza gdy już postanowił działać pod naporem najrzeczywistszych uczuć, to jest w — transie. Doszło prawie do bójki. Koza, choć tak łagodny człowiek, w pewnych chwilach swojego życia stawał się niebywale gwałtowny.

Splątali się więc w jeden węzeł szamocących się ubrań, rękawów, nogawek, kamizelek i wyszarpanych nawierzch z ubrania krawatek. Zagrały nawet alarmujące dzwonki sekretarki, — to nic, — Koza stuknął swą zagłębiowską, zahartowaną na czwartym pokładzie głową o pierwsze drzwi dyrektorskiego gabinetu.

Były, — przyznać to trzeba, — grube i watowane i pikowane pięknie, — jak kołdra kurtyzany.

Tak, — zdążył to pomyśleć w tej chwili, — jak kołdra kurtyzany!!

Ustąpiły się wkońcu, rżnął łokciem o drugie drzwi, dębowe, naparli na nie w szamotaniu wszyscy razem, — drzwi puściły, — Drążek furtkę zalecał, — ależ będzie miał wrota!! Drzwi puściły, — na sam środek gabinetu wyskoczył z nich zziajany, oberwany, poszarpany a nawet bez połowy guzików kamizelki sekretarz, dziś zaś poseł sejmowy, Koza.

W pierwszej chwili dojrzał, że leader stoi przed swojem biurkiem, czerwony, oburzony i że odskakuje od niego znany, znakomity ekonomista partji, poseł Cynwajs. Koza odmachnął się, gdyż woźni zbliżali się do niego znowu, wyciągając ogromne łapska.

W tejże samej sekundzie rozległ się głos leadera, piękny a tak stanowczy: — Niech woźni stąd odejdą.

Skłonili się i wyszli. Drzwi za sobą zamknęli grzecznie i dostojnie.

Otyły poseł Cynwajs chrząknął dwuznacznie.

Mieniewski trwał bez ruchu, z potężną rysą gniewu nad ściągniętemi brwiami. Z pod brwi owych szły iskry spojrzenia, — mogące chyba zabić! Na biurku pośród ozdób i kałamarzy z pięknego bronzu dygotał jeszcze jakiś drobiazg, dzwoniąc srebrnym pogłosem. Ów srebrny, drobny pogłos dodał otuchy Kozie.

— O! Doskonała jest tutaj służba, panie pośle,— zawołał, dopiero teraz kłaniając się głęboko obu posłom - leaderom, Mieniewskiemu i Cynwajsowi.

— Widocznie dobrze wiedzą, czego mają bronić,— sapał Koza, — wiedzą, że tutaj wszędzie, gdzie ruszyć, leży forsa!

Pan Mieniewski nalał z kryształowej karafki pełną szklankę wody, ustawił ją na środku talerzyka, talerzyk znów ustawił na środku srebrnej tacy — i podał szklankę Kozie, wymawiając przy tej okazji proste słowa: — Wypijcie szklankę wody, drogi Koza.

— Dziękuję bardzo.

— Niema za co. Ale proszę, — wypijcie.

Koza już trzymał szklankę w drżących dłoniach. Umoczył usta, już nawet upił parę łyków, wpatrzony w Mieniewskiego.

— Nie denerwujcie się, — mówił Mieniewski i pijcie, — ile chcecie... Uważam, — że doskonałą wodę dają teraz nasze filtry warszawskie.

Przy słowie — teraz, — poruszyły się znacząco, a może nawet tajemniczo szerokie brwi posła Cynwajsa.

Koza już wypił całą szklankę, przełykając rozgłośnie.

— Czy może jeszcze dolać? — Mieniewski zbliżył się, z karafką w ręku.

— Nie, dziękuję. Tem bardziej dziękuję, panie pośle, — że ani szklanka, — Koza mówił ze drżeniem, — ani też całe morze tej wody nie zagłuszyłoby we mnie przenigdy — głosu sumienia.

— Jakiego głosu? — Zdziwił się Mieniewski.

Poseł Cynwajs, opiekły, dobroduszny grubas, z profilem tak dalece semickim, że przy odnośnem oświetleniu, poniekąd już szlacheckim prawie, spytał: — Czy nie przeszkadzam panom?

Koza drgnął. Nie dlatego, że Cynwajs mówił zażywnym, niskim basem. Lecz, że ten bas i słowa, — wyszły z ust największego ekonomisty partji. Ekonomisty, którego statystyki na kredowym papierze drukowane kierowały Alojzym Kozą we wszystkich dyskusjach, na wszystkich zgromadzeniach. Statystyki, o których, — Koza to widział sam, na własne oczy u towarzyszów Niemców z Zagłębia, — pisały zagraniczne dzienniki i miesięczniki.

— Ani nawet morze całe tej wody nie ugasiłoby, — krzyknął z szaloną odwagą, — we mnie ognia sumienia!

— A któż to chce wam gasić ogień waszego sumienia?! Koza, — Koza! — Leader Mieniewski wzbierał wielką srogością. — Może wam raczej chodzi o *głos* sumienia, nie zaś o *ogień?!*

— Czy nie wiecie, co mówi Deptuła, — wrzasnął Koza, — ten sam Deptuła, z którym szliśmy poniekąd razem przy wyborach w Osadzie? Ten sam Deptuła, który tam wkręcał firmę HART z dostawą kopalniaka, aby nam za to policja wieców nie rozbijała?!

— Koza, nie bądź pan dzieckiem, — użalił się Mieniewski.

— Panie pośle, leaderze, — krzyknął Alojzy, — wy wiecie czemeście są dla mnie i dla nas wszystkich! Samo tylko nazwisko — Mieniewski! Sam dźwięk tego nazwiska! To cała nasza walka klasowo-robotnicza! Cała walka — o wszystko!!

Poseł Mieniewski otarł chusteczką czoło. Jeszcze choćby rok temu, wezwanie takie, proste, szczere — „czemeście wy są dla nas“, — przejęłoby leadera

i skłoniło, być może, do ustępstw. Czy chociażby do cierpliwszej, uprzejmiejszej rozmowy. Odkąd jednakże trwał na tem prezesostwie, — czyż wszyscy ludzie nie szantażowali go wciąż jego własnem nazwiskiem, sławą, zasługą i wiekopomną walką, — aby dostać pieniędzy?! Dostać i zaprzepaścić! Leader żachnął się nagle:

— Wpadacie tutaj do mnie, niby jakiś włamywacz, a potem zaklinacie mnie, niegrzecznie i zuchwale imieniem moich zasług partyjnych. Co to znaczy? Proszę się wytłumaczyć!

— Samo tylko nazwisko, — jęczał Koza, — sam dźwięk tego nazwiska!

— Więc burdy wyczyniając idjotyczne, po co pan jeszcze wzywa nadaremnie to nazwisko?! — krzyknął poseł Mieniewski.

— Nie nadaremnie, pośle, gdy się dowiecie, o co się tu rozchodzi. Weszła tu w grę uczciwość wasza, panie pośle, leaderze nasz, — oraz weszło tu w grę moje sumienie.

— Mówić jasno do rzeczy. — Mieniewski odszedł od Kozy, okrążył krzesło i usiadł przed wspaniałem biurkiem prezesowskiem, w sinej przestrzeni gabinetu, jakgdyby obramiony dwiema linjami stearynowych świec, ustawionych po obu stronach biurka.

— No więc, — słucham was, Koza. Mówić jasno, — do rzeczy.

— Mówić jasno, do rzeczy? — Koza nastawił się, niby do bójki ulicznej. Lecz w tejże chwili uzmysłowił sobie, że to dla n i e j, że to w obronie nieszczęsnych pieniędzy Z u z y zaszedł aż tak daleko.

I dla niej składa tak okropne ofiary na ołtarzu partyjnym.

Załamał się! Tak, Koza kochający załamał się w obliczu Kozy partyjnego. I wypowiedział nareszcie to wszystko niskie, podłe, czego mu tyle nakładł w uszy ten obrzydły Deptuła. Koza mówił prosto i obojętnie, jakby go to już nie obchodziło wcale.

— Deptuła całkiem jasno powiada, że Bank Robotniczy stoi już tylko na glinianych nogach. Tak powiada Deptuła. Wobec tego brać teraz pieniądze takiej chociażby pani Kostryniowej, wdowy po takim draniu, jak ów Kostryń... — Powstrzymał oddech. — Tak, panie pośle i leaderze, wyście go raz spotkali, może drugi, tego tam dyrektora, nieboszczyka. O, — kręcił się i wkręcał możnym tego świata, gdzie się tylko dało, — owszem mówiono o tem. Ten Kostryń, — ryknął nagle Koza, — krew z nas wyciskał przez całe swoje życie. Nie jest to obojętne! Musi to iść na zawsze dalej, — z naszą ludzką pamięcią!! Więc brać teraz do banku pieniądze Kostryniowej, gdy bank ma się zawalić?! Więc i moje sumienie ma tu też chyba trochę do powiedzenia? Skoro mnie uświadomił poseł Deptuła, — który zapewne kłamie... Jeżeli jednak kłamie Deptuła, to znów moje sumienie każe mi ostrzec mego leadera, jakie słuchy i kto i o co, w jakim celu rozpuszcza pośród posłów i wszędzie tam po sejmie!!

Gdy wypowiedział to wszystko, zrozumiał, jak wybornie postąpił. W uczciwości jest prosta droga wszędzie, zawsze. Ponad ironją i jej uśmiechem wątłym, pójdzie pod górę śmiało niestrudzona uczciwość. Sprawę swego sumienia postawił Koza tu rzetelnie

i to nawet przy świadku, przy Cynwajsie, — wyłożył też uczciwie sprawę pieniędzy wdowich. Zawstydziwszy się swego zwycięstwa, spuścił głowę na piersi, przyczem, w błysku sekundy ujrzał twarz Mieniewskiego. Nie twarz, — ale oblicze. Tyle godności i tyle bolesnego zrozumienia w obliczu!

Zamilkli wszyscy trzej, Mieniewski, Koza, Cynwajs. Tylko z piersi Cynwajsa wydobywało się rzężące, astmatyczne chrapanie. Mieniewski wstał, wyciągnął w górę szyję z kołnierzyka, podniósł głowę. Podszedł do Kozy i podawszy mu rękę, jasno, dobitnie w głębokiej ciszy gabinetu powiedział:

— Dziękuję ci, mój młody, szlachetny przyjacielu.

Koza zadrżał z radości. Uśmiechnął się z tak błogą ulgą.

Uśmiechnął się też poseł leader Mieniewski i dodał, patrząc Kozie prosto w oczy:

— Nie będziemy przed kimś trzecim, chociażby przed towarzyszem Cynwajsem, prali tu naszych sumień. Każdy zawsze odpowiada za siebie. To pewne. Dziękuję wam, kochani, za waszą piękną szczerość, nigdy wam nie zapomnę. Nigdy wam również nie zapomnę, kochani, że się tak żywo zajmujecie — losem wdowim. Nie mam wrażenia, czy też może się mylę bardzo, by sprawy wdów górniczych były tam przez was w Zagłębiu równie pieczołowicie roztrząsane... Nie słyszałem o tem od towarzysza Drążka w ostatnich czasach tyle, co dziś w tej sprawie od was. Od posła Drążka natomiast słyszę ciągle o waszym Domu Ludowym. Poseł Drążek, — bardzo mi miło was pocieszyć, — nie dzieli widać z wami wszyst-

kich waszych skrupułów, co do plotek, idących od jakichś tam przeróżnych Deptuł. Ani też, — co do lęków o grosz wdowi. Skoro nie dalej, jak chyba dwa dni temu, — poseł Drążek, — właśnie z powodu pewnych nadziei na lokatę pieniędzy pani, czy też obywatelki Kostryniowej u nas w Banku Robotniczym, — prosił mnie tak serdecznie o pożyczkę, znowu na ten wasz Dom Ludowy, — który z nas ssie, który pompuje z nas — doprawdy, ile wlezie.

— Co?! — krzyknął Koza. — Tu był w tej sprawie Drążek?!?

Leader Mieniewski spostrzegł, iż potrąca o jakiś antagonizm między dwoma posłami Zagłębia.

— Ależ tak, towarzyszu, wasz poseł Drążek był tutaj dwa dni temu i, o ile sobie dobrze przypominam, powoływał się na was i był z tym samym mniej więcej bagażem, — poseł Mieniewski zaostrzał głos, — tych samych wiadomości, oraz insynuacyj. Różnica na tem tylko polegała, że Drążek całkiem szczerze sprawę stawiał, owszem, — nieco po chamsku, no, — bardzo po drążkowsku. Ale przynajmniej z jakąś ogólną myślą o reszcie towarzyszów z Zagłębia. Podczas kiedy wy, — najprzód, może w obawie przed łapczywością posła Drążka, pchacie mi waszą Kostryniową na kark, potem jednak macie jakieś wahania co do mojej uczciwości — odpowiedzialności...

Koza krzyczał nieomal z płaczem: — Oszukał mnie, oszukał! — Czuł, że wali się w przepaść, że w partji u leadera traci w tej chwili wszystko, że jest zdradzony dzisiaj tak nikczemnie przez Drążka, iż nie może już pomóc w tej chwili Kostryniowej.

Czuł rzecz najokropniejszą, straszną — dlatego

krzyczał tak rozpaczliwie o Drążku. Koza czuł właśnie teraz, że raczej zginie, — ale się nigdy nie nauczy życia parlamentarnego, tych podchodów i podejść i tej strasznej zręczności! Podniósł do góry oczy. Oto stał nad nim teraz wyniosły, wspaniały prezes, zarazem leader, stary poseł Mieniewski i — twarzą, obecną we wszystkich Domach Ludowych, we wszystkich świetlicach, we wszystkich skautach, orkiestrach robotniczych, — wołał teraz straszliwie, już bez żadnego miłosierdzia:

— Wynosić mi się za drzwi, towarzyszu Koza! W tej chwili proszę za drzwi! Precz, precz mi stąd, natychmiast!!

Chwyciwszy się za głowę, towarzysz Koza wybiegł z gabinetu.

Leader Mieniewski zamknął za nim drzwi na klucz. Poczem, nie patrząc na Cynwajsa, z szafy ukrytej w murze wydobył swą narzutkę i kapelusz. Popielaty kapelusz wiosenny. Okrył nim głowę, wdział narzutkę, zapiął ją. Czynił tak stale przed otworzeniem okna, w zdradliwym sezonie wiosennym: aby się nie zaziębić. Ubrawszy się zupełnie, otwarł okno.

Do gabinetu wpadł błogi wiew wiosenny.

Mieniewski wychylił się. W pośrodku podwórca, niby pod gradem liter, snutych rozgłośnie ze wszystkich maszyn do pisania wszystkich pięter, rosła wątła roślina, otoczona żelazną galeryjką.

Krzak, drzewo, czy też pnącze, — jakiś pokurcz roślinny.

Leader zwał zieleninę ową przekornie bukszpanem. Miało to bowiem w rzeczy samej takie liście, jak bukszpan, sztywne, prawie blaszane a od spod-

niej strony białe. Myśl o owej białości przypomniała leaderowi własny język. Po każdej rozmowie, awanturze, irytacji uczuwał leader smak własnego języka, — nadzwyczaj nieprzyjemny. Obcy, martwy, — jakby smak wymoczonych trocin.

Pan Mieniewski jął chodzić po dywanach gabinetu.

Przez cały czas wietrzenia, zamykania podwójnych okien, zdejmowania narzutki i chowania jej w szafie, — Cynwajs siedzący naprzeciw na fotelu — nie zmienił pozycji. Nawet nie drgnął.

Leader, krążąc dokoła, czekał już z utęsknieniem, kiedy nareszcie rozpocznie Cynwajs swą zwykłą porcję kaszlu.

Kaszel ów, znany w partji, — wedle złośliwej obserwacji Mieniewskiego, — ratował zawsze Cynwajsa z trudnego położenia, dawał mu czas, potrzebny do namysłu, — użyczał cennej zwłoki.

Kaszel ów jednak nie następował dzisiaj. Cynwajs trwał wciąż bez ruchu.

Mieniewski powrócił do swych myśli. Nie o banku i nie o komplikacjach partyjnych i nie o przejściach, wobec których taka choćby, jak dzisiaj, rozmowa z Kozą, była ledwie przygrywką. I nawet nie powrócił leader do najstraszliwszej myśli, — że chyba, — wedle dotychczasowych obliczeń, — utracił wszystkie oszczędności całego życia! Była bowiem we wszystkich niepokojach i rozpaczy i ciężkiej prostracji, które ogarnęły leadera, — nawet w tem wszystkiem była idea porządku, oraz ekonomji sił.

Dręczył się swem zmartwieniem, nie inaczej, jak tylko w pewnem określonem następstwie: najprzód

rzeczy potoczne, codzienne, realia powszedniej egzystencji: uporządkować je i jakoś unormować. Potem sprawy partyjne może, a potem, — same się już otworzą drzwi przepaści. Wyłączywszy więc wszystko inne, zastanawiał się teraz, w jakich warunkach będzie musiał, — ewentualnie, — przechodzić ten ciężki okres katastrofy swego życia?...

Pani Anna Chylicka, tak skromna i istotnie poprawna przyjaciółka leadera, w ostatecznej ostateczności, już prawie wśród ataku wątroby, — pojechała do wód, — Karlsbad na kamienie żółciowe nikomu nie zaszkodził. Anna wróci — za dwa tygodnie.

A żona?!

Mieniewski na wypadek bankructwa przewidywał, że żona zwali mu się na głowę. Wzdrygało się wszystko w leaderze na myśl o tem spotkaniu. Opanował się wreszcie. Stanąwszy na środku dywanu, jął mówić w przestrzeń gabinetu: — Sam dźwięk tego nazwiska... To cała nasza walka klasowo-robotnicza... Cała walka — o wszystko...

Cynwajs nie odpowiedział i nie zmienił pozycji. Tkwił dalej we wspaniałym, aksamitnym fotelu klubowym.

— Zasługą iluzji demokratycznej, — mówił znowu Mieniewski, czy też raczej, jakby to odczytywał ze swych najtajniejszych myśli, — jest jednak bezspornie, iż dzięki wierze w lud, — jako w pewną normalną jedność, — iluzja demokratyczna przyczyniła się znakomicie do odłączenia funkcyj społecznych od danego człowieka w danym sensie dziedziczności, — przenosząc ową funkcję na jednostkę, odpowiednią przedewszystkiem ze względu na swe kwalifikacje.

Stąd koncepcja delegacji, czyli przedstawicielstwa, czyli wyboru. My obaj z tobą, Cynwajs, tak, mój kochany jesteśmy właśnie, od ilu, ilu lat, jako jednostki odpowiednie, — wybierani. Wybierani i — wybrani, — i oto —

— I oto dzięki tobie, — zaczął z fotela charczeć poseł Cynwajs, — dzięki twemu szaleństwu mam teraz stracić...

— Nic nie tracisz, — co tracisz? No tak, miałeś swoje obligacje przemysłowe, ale przecież opiewały na kurs dolara. Przecież nie paskudziłeś się papierami w naszej walucie?

— Tak, nie chciałem się paskudzić papierami w naszej walucie, wolałem akcje twego Banku Robotniczego.

— Spokojnie, spokojnie, tylko spokojnie. Z pewnością zostawiłeś sobie rezerwę, nie wszystko zamieniłeś na nasz Bank Robotniczy, — siepnął się pan Mieniewski, — mnie nawet nie próbuj tego opowiadać, bo nie wmówisz mi takiej bzdury. Ja tracę wszystko!! Staję się zrujnowanym nędzarzem, — krzyczał Mieniewski, — nędzarzem!!! Praca całego mego życia —

— Ładna praca całego życia socjalisty, koronowana tak suto uciułanym groszem —

— A co, miałem może nic nie oszczędzać, tylko czekać na twoją łaskę?! Co mi tam kapnie może z twoich rezerw, nie oddanych przezornie do naszego Banku Robotniczego? Ja w i n n y c h radach nadzorczych, czy kooperatywach i n n y c h, prócz tego banku nigdzie nie zasiadam, — jak ty! Moja służba partyjna nie jest specowskim fachem. Ja gadam całe

życie zadarmo, — za wiece mi nie płacą. I nie wzywają mnie, jako rzeczoznawcę do tych wszystkich komitetów ekonomicznych, krajowych, zagranicznych, gdzie sądząc ludzką biedę, opychacie się złotem, — biedni ekonomiści!!!

— To do niczego nie prowadzi dzisiaj, — ryknął z fotela Cynwajs, — takie gadanie głupie dziś do niczego nie prowadzi!

— Ekonomista, — śmiał się na środku dywanu złowieszczo leader Mieniewski, — ekonomista z takim wybuchowym temperamentem, — jego to do niczego nie prowadzi. No, kto ma tyle przeróżnych dróg, gdzieżby go miała prowadzić ta jedna i jedyna, droga najsłuszniejszego oburzenia. Nie potrzebujesz się oburzać. Znaczyłeś w partji, jako ekonomista. Bo nic więcej. Teraz? Możesz sobie pisywać dalej do angielskich miesięczników i nawet do jakiegoś ekonomicznego biuletynu Ligi Narodów. Świetnie płacą za artykuły. Nikt przecież nie uwierzy, że tam, gdzieśmy we dwóch rządzili, wina spada wyłącznie na ciebie. Cały świat powie, — że to winien Mieniewski. Nikt przecie nie będzie wiedział, że Mieniewski, podszyty Cynwajsem, to jakby człowiek płynący z kamieniem młyńskim u szyi. Wielkie nieszczęście, że oddajesz nareszcie pewną część nadwartości swych wieloletnich honorarjów Bankowi Robotniczemu, partji i robotnikom...

— Nic nie oddaję!!

— No, tak — ty nie oddajesz.

— A jeżeli oddaję, to dzięki tobie, — oddaję nie żadnym robotnikom, lecz złodziejom!

— To nie ja jestem ekonomistą, lecz ty, to nie ja prowadziłem te afery, — ja je akceptowałem, ale prowadziłeś stale ty! —

Powiedziawszy to, poseł Mieniewski zbladł. Krew mu zbiegła do serca. W najkrótszym, przedziwnym błysku chwili przesunęło mu się przez myśl wszystko, — najboleśniejsze: — Powrót Chylickiej z Karlsbadu — na skutek telegramów w dziennikach o plajcie Banku Robotniczego... Posiedzenie Rady Partyjnej. Centralny Komitet nic tutaj nie poradzi. Zwołanie Najwyższej Rady Partyjnej, — posiedzenie Rady Nadzorczej banku... A znów tu, teraz dzisiaj, — za godzinę, — konferencja z tym Bigdą.

Tak! To oni, to chłopi. Bigda z Deptułą, Deptuła przedewszystkiem, — ten sam Deptuła, który kiedyś w socjalizmie przecież karjerę swą zaczynał pod skrzydłami leadera. To oni, oni, oni i to od kiedy okrążali Bank Robotniczy — a idjota Cynwajs szedł na lep wszystkiemu, taki ekonomista, wielki, uczony i przemądry!

Jeszcze dziś, w tym samym gabinecie waha się, czy może przyjąć, czy nie przyjmować — pieniędzy Kostryniowej, — wobec takich płatności, rat, terminów i weksli, zapadających jutro, — pojutrze, znowu na przyszły tydzień, — jutro, — pojutrze, — ciągle! Bezczelny osioł! Po takim krachu, wejdą człowiekowi na pensję poselską... Więc żyć z redakcji, z artykułów, ze swoich własnych mów przedrukowywanych za dwadzieścia pięć groszy od wiersza, — z dwoma synami na karku, leniami, wałkoniami — i płacić, wiecznie płacić i spłacać potem, spłacać, spłacać...

Poseł Mieniewski zszedł ze środka dywanu; skie-

rował się za biurko, na swoje oficjalne miejsce. Pragnął powiedzieć Cynwajsowi z tego miejsca zupełną prawdę! Odsunąwszy gwałtownie od siebie olbrzymią, w krokodyle skóry oprawną bibułę bankowego garnituru do pisania, wpatrzył się przekrwionemi źrenicami w Cynwajsa.

Nienawidzili się! Stali w partji i zwyciężali tą właśnie nienawiścią. Zawsze jeden drugiego lekceważył i to ich tak trzymało dotąd i to ich dopełniało. Teraz wspólna ruina zbliżyła ich do siebie — najkonkretniej... Bliskość owa, — była widocznie — nie do zniesienia. Pozytywizm, romantyzm, — we wspólnym mianowniku nieszczęsnej katastrofy!

Od lat trzydziestu kilku wspólnej pracy partyjnej Mieniewski zarzucał Cynwajsowi brak entuzjazmu, Cynwajs zaś Mieniewskiemu — dyletantyzm, wiecowe kabotyństwo.

Mieniewski, — wedle opinji towarzyszy, — walczył po bohatersku, zawsze w pierwszych szeregach, — Cynwajs jednak w ostatnich wśród ciszy i spokoju układał zimnym rozumem najmądrzejszy plan walki.

W długiem działaniu, oraz pożyciu politycznem najwyższe władze partyjne dawały zawsze opozycyjnych realistów do rozgromienia Mieniewskiemu, a znów w gorącej wodzie kąpanych romantyków — Cynwajsowi. Teraz, w katastrofie nagłej, — och, jeszcze niesprawdzonej całkowicie, — gdy niewidzialna ręka ze wszystkich stron nacisnęła Bank Robotniczy, leader Mieniewski i leader Cynwajs znaleźli się w zbyt bliskiem sąsiedztwie!

— Trzeba być idjotą, — mówił dosadnie i uroczyście Mieniewski, — tumanem i idjotą, aby przez

całe życie obroty świata wyliczać w statystykach, w twoich kratkowanych statystykach, a nie umieć obliczyć i wyprowadzić afer małego banczku ludowego!

— To trzeba być idjotą, — poseł Cynwajs zerwał się raptownie z krzesła, — aby przez całe życie prowadzić tłumy, a nie móc rozgryźć kilku podrzędnych stręczycieli, kilku przeciętnych hyen, kilku nędznych wypędków partyjnych! Mówiłeś całkiem poważnie, ach, zapewniałeś, że to porządni ludzie. A tu, dowiadujemy się, że ci porządni ludzie fałszywie ocenili domy w Łodzi, wpakowali cię w spółkę drzewną, teraz widzisz, złodziejską, zaangażowali nas w jakieś wątpliwe spółki osadnicze, zagwoździli pieniądze, których upłynnić już nie można, a w dodatku działali jeszcze w porozumieniu z tym biednym chłopkiem, Bigdą.

— A ty dawałeś pieniądze na wszystko i na ślepo!

— Nie dawałem na ślepo, przeciwnie, pytałem zawsze ciebie i z tobą uzgadniałem wszelakie personalia!

— A tyś dawał pieniądze na wszystko, — wrzeszczał Mieniewski ze swego oficjalnego miejsca, — na wszystko, wszystko, wszystko, jak idjota, astronom, który światy odkrywa, ale nie słyszy, jak mu za ścianą uwodzą własną żonę!

— Czy to ty byłeś może tą żoną?!?

Czarne płaty zalatały przed oczyma leadera. Rzucił wielk m przyciskiem o biurko i poskoczył ku Cynwajsowi. Uchwyciwszy go za ramiona i trzęsąc

nim, krzyczał: — Oddaj mi ty, idjoto, pieniądze, — pieniądze moje oddaj!

Leader Mieniewski zapomniał o astmie, której potężny atak złapał właśnie w tej chwili towarzysza Cynwajsa... Trzęsło ekonomistą w prawo, w lewo, grzbiet mu się wygiął, głowa zapadła w ramiona, w piersiach grało rzężenie, póki krtań rozdzierając, nie wypłynęło wreszcie na wysuniętym naprzód języku — w porykach okropnego kaszlu.

Leader odskoczył ku oknu, w obawie przed opluciem. Nie miał zamiaru litować się nad swym ekonomistą. Przypomniał sobie, że od początku rozmowy nie zapalił jeszcze papierosa, nie chcąc zaszkodzić przyjacielowi partyjnemu — na tę astmę. Leader Mieniewski podszedł do olbrzymiego biurka i zapalił długiego papierosa. Bez ustnika. A dlaczegożby nie?

Poseł Cynwajs wciąż kaszlał. Przypomniało się Mieniewskiemu, że jego syn Tadeusz, jako sześcioletni chłopczyna nabawił się kokluszu. Ach, — jeszcze cała sprawa z Tadeuszem!

Leader wiedział od swego syna Stanisława, że Tadeusz zjechał znów do Warszawy, jako sorcista, czy sortownik masła w chłopskich spółdzielniach — tego samego Bigdy. Wiecznie w smarach, czy tłuszczach obraca się ten chłopak i — na Boga, — zawsze o krok od zbrodni!

Nie miał już na to sił pan poseł Mieniewski.

Kaszel Cynwajsa nie zmniejszał się.

Mieniewski usiadł pod wspaniałem lustrem bocznej ściany, na przygodnem krzesełku i tu czekał — jak obcy interesant. Po dłuższej chwili popatrzył na

zegarek. Atak trwał już pięć minut. Nareszcie — przeszło.

Cynwajs czerwony i spłakany wyglądał, niby człowiek, którego obudzono z mocnego snu. Rozejrzał się dokoła. Spostrzegłszy Mieniewskiego pod lustrem, z nogą na nogę założoną, z papierosem i z popielniczką na kolanie, — nakrył zamglone spojrzenie powiekami. I jeszcze kaszlnął parę razy, jakgdyby dla samego siebie tworząc echo minionego ataku.

Poseł Mieniewski, — poniekąd na znak pojednania, — zagasił papierosa. Cynwajs zapadł w półodrętwienie i jak Mieniewski niedawno z pośrodka dywanu o istocie demokracji, tak teraz Cynwajs z głębi klubowego fotela począł improwizować w mierzchnącą przestrzeń gabinetu:

— Uczyliśmy się dawniej w każdym podręczniku i dziś to jeszcze figuruje powszechnie w nauce, że kiedy idą w górę akcje, — spada kurs obligacyj.

Poseł Cynwajs wpatrzył się w Mieniewskiego, jakby w nadziei, że leader zażąda teraz jakichś wyjaśnień tezy.

Leader nie zażądał wyjaśnień.

— Cóż jednak ma uczynić i co przedsiębrać nauka nasza, gdy pieniądz boi się już wszystkiego? Co mamy czynić, kiedy spadają akcje razem z obligacjami? Pieniądz ścina się w złoto, krzepnie jak krew, poprostu, niby skleroza, — tamuje całe życie gospodarcze? Przykładów takich mógłbym mnożyć bez liku, chyba jednak ten jeden jest dosyć klasyczny? Tak samo i tu teraz w twoim sporze, w tym twoim sporze ze mną. Wołasz — oddaj pieniądze! Nonsens, — czy też dzieciństwo. Twoje pieniądze...

M o j e... To nie jest żadne stanowisko! Oddaj mi moje, bo nie umiesz prowadzić banku. Czy tak? Albo też oddaj moje, — bo się nie znasz na ludziach?! Akcje i obligacje. To leży i to leży. A kapitału niema. Bo kapitał, — jak pies. Gdy się go bije, — ucieka. Nie trzeba bić. Nikogo. Czy ty mnie, czy ja ciebie, to już jest obojętne. Wniosek? I ty i ja oddajmy sobie przedewszystkiem n a s z e, — nasze pieniądze. Oto jest zagadnienie!...

Poseł Mieniewski powróciwszy nad biurko siadł z łoskotem na prezydjalnem krześle i ukrył głowę w dłoniach. Potężny łoskot, z jakim siadał, wyrażał chyba dostatecznie bezmierną trudność wyłonionej przez Cynwajsa koncepcji.

— Oddajmy sobie przedewszystkiem nasze własne pieniądze. Musimy przeprowadzić to teraz i dla nas samych i chociażby nawet dla dobra partji. — Cynwajs westchnął potężnie, astmatycznym oddechem. — Któż tam idzie za nami w tej partji? Gdy ciebie, albo też mnie nie stanie (przesądnie zastukał trzykroć w mahoń biurka), — rozlecą się odrazu wszyscy.

Mieniewski nie odejmował rąk od twarzy, pokrytej ciemnym rumieńcem wstydu. Równocześnie jął kiwać głową. Mogło się zdawać, że przytakuje koledze, mogło to jednak uchodzić również za oznakę serdecznego biadania.

Cynwajs chodził po środkowym dywanie prezesowskiego gabinetu. — Ustaliliśmy tedy, — mówił, — że mamy, że m u s i m y wycofać nasze wkłady. Tośmy już ustalili? — Cynwajs zatrzymał się przed biurkiem, przed piękną, kiwającą się lekko w obrę-

bie dwóch wysokich świec siwą głową Mieniewskiego. — Widzę, że mnie rozumiesz?... — dodał po chwili Cynwajs.

Mieniewski nie odjął rąk od twarzy.

— Teraz widzę, — ciągnął rozważnie Cynwajs, — wyłania się następne zagadnienie: jak mamy to uczynić?... Owo j a k będzie miało sens polityczny. Wybitnie polityczny. Bank nasz nie może upaść. Bo to byłoby najgorsze ze wszystkiego.

Mieniewski odjął dłonie od twarzy i splótł je na rozległej bibule biurka.

— Skoro nie może upaść, — to jak ma się utrzymać? Tu trzeba coś poświęcić, aby odzyskać zaufanie, oraz dopływ nowych, wydatniejszych środków. Trzeba je — myślę o zaufaniu i o środkach, — kupić. Nie mamy jednak za co. Trzeba więc ofiarować coś z siebie samego. W kapitalistycznym świecie, gdy człowiek nie ma środków, — no, to sprzedaje siebie: robotnik całe życie sprzedaje samego siebie. Musimy w danym razie, zacząć od tego samego.

— Sprzedać część samych siebie dla ratowania reszty. Na rząd, który się wali, teraz nie warto wcale liczyć. Więc?... — Po długiej przerwie rzekł Cynwajs głosem najgłębszego przekonania:

— Nie możesz iść z prawicą.

Mieniewski westchnął głęboko i przytwierdził: — Nie mogę.

— Nie możesz. Nie możemy. Pozostaje więc — Bigda. Kompromis, czy może nawet nie kompromis? Musimy tylko przetrwać. Zmniejszyć wydatnie sferę naszych wpływów, to trudno. — Poseł Cynwajs, mimo astmy, w chwilach wielkiego podniecenia, w chwi-

lach trudnych i przełomowych musiał był wypalić choćby jednego tylko papierosa. Ileż razy błagano go formalnie w czasie posiedzeń, by tego nie robił, by szanował swe zdrowie?!

Poświęcano jednak to zdrowie, ustępowano ekonomiście w momentach istotnie najtrudniejszych — dla dobra partji. Poseł Cynwajs dostawał wtedy od towarzyszy pozwolenie na jednego papierosa. Na jednego, — na dwa, — nawet na kilka!

Leader podał obecnie przyjacielowi papierosa, kiwając smutnie głową. Cynwajs zapalił, zaciągnął się głęboko i rzekł:

— Ułożymy się z Bigdą, który, wedle mojego przekonania, dojdzie do władzy wkrótce. Kwestja kilku tygodni.

Wówczas Mieniewski: — Nie widzę tego wcale.

— A ja widzę.

Żachnął się Mieniewski. Poseł Cynwajs nie odpowiedział. Stanąwszy u brzegu dywanu, rozejrzał się dokoła, po całym gabinecie. Mrok już prawie zapadał. Gabinet, zaprawdę wspaniały, brzoskwiniowo-zielony, tu i ówdzie pożyłowany odblaskiem złotej listwy, albo też naciekami ozdób z bronzu, wyglądał raczej na wnętrze komnaty pałacowej, niźli na wnętrze kancelarji wiceprezesa banku.

Poseł Cynwajs zamyślił się głęboko, poczem już nic nie mówiąc, skierował ciche kroki ku szafie w murze. Ile razy przychodził do gabinetu Mieniewskiego z miasta, pozostawiał tu palto i kapelusz, aby nie czekać w szatni na dole, gdzie mogły go zawsze napastować całe gromady niepotrzebnych petentów.

Otworzył szafę i począł się ubierać. Nie było to tak proste. Musiał bardzo dokładnie rozmieścić szal na piersiach, — wciąż ta astma, — pozapinać się szczelnie. Ubierając się, mówił gęstym głosem:

— W całej katastrofie naszej dobre jest tylko to, — a zresztą nie jest to jeszcze wcale katastrofa, — dobre jest tylko to, żeśmy się dzisiaj nakoniec dogadali. Z czego wynika, — bo chcę nawiązać jeszcze do naszej polityki w sejmie, — że zostawimy — zostawiamy fornalów ich losowi. Wtedy nic już nie stoi na drodze do naszej zgody z Bigdą. Nasz bank będzie mógł przejąć z ramienia Bigdy, z ramienia jego rządu, niejedną operację. No, — bo z obecnym rządem gadać już niema co. To trup. Pozostawiamy fornali ich losowi. Ziemia nas nie obchodzi jeszcze. — Nie może nas obchodzić — na ziemię jesteśmy jeszcze dziś — za słabi. Tak, tak. Nie mamy do wyboru, mój stary.

Pierwszy to raz po tylu latach zwracał się Cynwajs do Mieniewskiego tak serdecznie. — Nie mamy do wyboru. Najbiedniejszy płaci za wszystko zawsze, — takie to już jest na świecie prawo ekonomji, — prawo historji. — Poseł Cynwajs, gadając tak spokojnie a jakby do samego siebie, zmierzał krok za krokiem ku wyjściu. Nie patrzył na Mieniewskiego. Mówił przed siebie, w nicość, jakby do abstrakcji wyższej, absolutnej, — zawsze wszędzie przytomnej.

— Najbiedniejszy płaci za wszystko — zawsze. Czy chcesz być najbiedniejszym? Lepiej chyba zostać na krótko nieobecnym, — niż na długo tym najbiedniejszym... W decydującej chwili wyjdziemy jako klub z sali obrad sejmu, w przeciwnym bowiem razie, powtarzam ci to zostaniemy najbiedniejszymi. —

Fornalami swej własnej partji... I fornalami Bigdy... Najbiedniejszy płaci za wszystko zawsze — najdrożej. — Myśmy już byli dość długo najbiedniejsi... Teraz kolej na innych. — Wyszedł, nie obróciwszy się nawet w stronę Mieniewskiego i zostawiając w pustej przestrzeni pomiędzy podwójnemi drzwiami echo tych prostych słów: — Teraz kolej na innych.

Leader uśmiechnął się łagodnie, albowiem wstyd mu było przyznać się, choćby tylko przed samym sobą, że idzie całkowicie na koncepcję Cynwajsa. Lepiej udawać! Piękny wkład Kostryniowej dawał bankowi spokój i odetchnienie na tydzień, dziesięć dni — a potem? A potem przez Cynwajsa dojdą do kompromisu z Bigdą.

Mieniewski postanowił rozprawić się tu z Bigdą stanowczo. Tak, na terenie sejmu nie ustępować jeszcze ani piędzi. Miał jeszcze dwadzieścia trzy minuty do nadejścia leadera chłopów. Rozprawić się stanowczo, — nie puszczać farby — samemu sobie nawet nie uświadamiać klęski. Bo, po co? Nie uświadamiać sobie klęski. — Przypomniało się nagle leaderowi, że nic zupełnie nie wie o celu wizyty pana posła Bigdy. Jak na obecne stosunki tak naprężone, napięte, wizyta taka to przecie wydarzenie dziwne, tajemnicze nieomal...

Zmawiał się telefonicznie do sejmu, do klubu, — ale do banku?! Nigdy jeszcze nie słyszał leader tak łagodnego głosu Bigdy, jak podczas króciutkiej rozmowy telefonicznej w sprawie dzisiejszej wizyty.

Bronić dalej przed Bigdą fornali! — żachnął się pan Mieniewski. Była to przecież najdroższa i naj-

tkliwsza myśl polityczna leadera. Myśl, dzięki której, — jakby przeżywał powtórną młodość swoją. Jak kiedyś zaczynał od surowych, niezorganizowanych robotników i uczynił z nich klasę, klasę społeczną, zwartą, świadomą celów, — tak teraz marzył, aby z warsztatu i z fabryki rozszerzyć pojęcie onej klasy na robotników rolnych. Wrócić wkońcu do ziemi. Tego Cynwajs nie mógł zrozumieć i nie mógł boleć nad tem, bo ziemi nie rozumiał — jako zwykły żyd miejski. Wrócić, — wrócić do ziemi. Przeszkodził temu marny, potworny Bigda. Kaliban!

Może dlatego tak wielką miłość odczuwał leader dla fornali, że ich pamiętał tak czule z pierwszych wspomnień dzieciństwa. Jeszcze ze dworu dziadka, starego Mieniewskiego. Na imieniny ciotki, — kilka lat później umarła na suchoty, — trzaskali z batów od świtu, tęgie, zdrowe chłopaki.

Leader Mieniewski, jako dzieciaczek jeszcze, był zawsze przy nich w żniwa. Jeździł z nimi na drabiniastych wozach i wołał wtedy, śpiewał, słuchając, jak mu głos drży w potrząsach wozu na wybojach i bruzdach.

Nic więcej, tylko tyle, — ale jakież to szczęście!

Jadł z nimi ich śniadania ze wspólnej miski, cynową łyżką z Kubą, Piotrem, Stefanem. Łaził do nich do stajni i do cienistych obór. A potem wszyscy starsi mówili, gdy wracał do dworu z tamtego gospodarstwa, że bardzo gnojem śmierdzi. Jakże był dumny z tego! Ciotki wąchały jego złocistą grzywkę i mówiły, — idź, umyj się, bo „pachniesz" gnojem! Nic więcej, tylko tyle, — ale jakież to szczęście!

Stary leader Mieniewski, usiadłszy na kanapie

pod wspaniałem lustrem bankowem, skulił się w najsmutniejszem zamyśleniu.

Przeleciały te wszystkie lata, minęły, odpłynęły, sława — walki i troski. Pomyślał nagle: — nie ma nic, prócz dzieciństwa. A oto teraz zdradzał swoje dzieciństwo. Zdradzał biednych fornali najpierwszego dzieciństwa, którzy chociaż rozwiali się zapewne w nicości, patrzą się teraz z wyżyn przemijania.

Pasma, początki, końce i znów początki, włókna losu i nici spraw i działań, schodzą się i rozchodzą w człowieku. Sprawiać im krzywdę, czy świadczyć sprawiedliwość — to wszystko jedno. Zapewne! Ale litość bezbrzeżna? Leader zrozumiał, że to co jest najczulsze i niewyrachowane nigdy w człowieku, najbliższe sprzedał tutaj przed chwilą na zawsze.

Gdy się nakoniec zjawił w oznaczonym czasie Bigda, leader Mieniewski powitał gościa z należną wyniosłością.

Bigda — nic. Wszedł swym łabatym krokiem, ni z tego ni z owego na samym środku gabinetu wysiąkał się, chustkę do nosa załadował konkretnie do kieszeni. Nie usiadł wcale.

— Siadajcie, panie pośle.

— Ba, kiedy wolę stać, — odpowiedział Bigda.— To nawet może zdrowiej.

— Chyba nie chorujecie?

— A bolała to kogo kiedy głowa od przybytku zdrowia?

— Zdrowie w czasach tak ciężkich, — Mieniewski czuł z bezsilnym gniewem, że już w nim pasja

wzbiera. — Zdrowie w czasach tak ciężkich, jak dzisiejsze, to właśnie spokój nerwów. Rzecz bardzo ważna w dzisiejszem życiu politycznem.

— I w dzisiejszem i w każdem. Myślę, — że zawsze, — w każdem.

Utknęli, trwając naprzeciw siebie w coraz gęstszym mroku wieczoru wiosennego. Rzecz oryginalna: — poseł Mieniewski czuł się, jakgdyby już po całej konferencji z Bigdą. Pot spływał leaderowi ze skroni, serce tłukło się w piersiach nierówno, nieporadnie.

— Atakujecie nas ze wszystkich stron, mój panie Bigda, — leader uśmiechnął się nad wyraz pobłażliwie. Należałoby zaczynać tę rozmowę w tonie pobłażliwym, jeżeli później miała się stać ostrzejszą. Nie darmo Bigda zapowiedział się sam i nie do sejmu, lecz właśnie tu, do banku. Musiał mieć jakieś sprawy polityczno-prywatne, dwuznaczne. Skoro jednak przychodził bez swego generalnego nożownika Deptuły, to chyba nie w związku z szantażami przeciwko Bankowi Robotniczemu?!

— Gdzie tam atakujemy, — nic nie atakujemy,— Bigda dzwonił w palcach kluczykiem z szatni bankowej,—tylko są nam tu pewne rzeczy niewygodne...

— Co tam o niewygodzie mówić, — uśmiechnął się Mieniewski, spróbujcie bank prowadzić, zobaczycie dopiero wtedy, co znaczy niewygoda, bo —

— Mam dość kooperatyw swoich.

Na to sobie mógł chyba jeszcze pozwolić pan Mieniewski, by mu znów taki Bigda nie przerywał wpośrodku słowa: — Bo ludzie nasi tak nic nie chcą pojmować tych rzeczy! Każdy ma genjalne

myśli, — teraz znowu mają mi tu sprowadzić jakąś kapitalistkę z Zagłębia, — pan Mieniewski musiał się przecież pochwalić tak doborową klientelą.

— Wy, panie pośle, — przerwał Bigda — o swych finansach, a ja dla polityki tu przyszedłem.

— Och, — Mieniewski zrozumiał zapóźno, że popełnia niezręczność, — bywa przecież nadzwyczaj często, że finanse i polityka to jedno i to samo. — Zwrot niezręczny i niepotrzebny, lecz leader nie mógł już opanować djalogu.

Dziwnie się układa ta rozmowa, tak dorywczo, nerwowo!

Obaj posłowie, mimo, że czas nie naglił, — na spotkania tak ważne czasu nie zbywa nigdy, — rozmawiali z pośpiechem i w popłochu! Bigda nie mógł uchwycić swojej — miary. — Miał ją w sobie, tę miarę czasu, wyregulowaną jak najdokładniej — a tu go zawodziła... Słowa szły obce, gniewne, porywcze, niecierpliwe, — jakby się nad rozmówcami zderzały ciągle w mroku.

— Bywa, że finanse i polityka, — Bigda zacisnął zęby, — to wcale nie jest jedno i to samo... A bywa, kiedyindziej, że finanse stają się polityką i nawet wkońcu wszystkiem — i wcale nie trza zaraz szukać na to Rotszyldów.

— A kiedyż to się dzieje, pośle? — zapytał surowo Mieniewski, — o czem teraz mówicie.

— Dzieje się to wtedy zazwyczaj, gdy z finansami źle się dzieje.

— No, no, no. — Leader potrząsnął pudełeczkiem zapałek, lecz papierosa nie zapalił.

Bał się swego własnego widoku — dla Bigdy.— No, no, no, — należałoby tu wprowadzić drobną poprawkę: gdy się robi w finansach, to się mówi, bo taka jest technika tej roboty, że zawsze jest źle z niemi, z finansami. Ale —

— To też, — Bigda znów tak bezczelnie przerwał wpośrodku zdania, — ja w nich nie robię, w tych tych zwanych finansach. Ja—tylko **ludziom** wierzę, — nigdy, nigdy pieniądzom.

Bigda rozejrzał się po gabinecie mrocznym, jak człowiek, który po raz pierwszy ogląda nader piękny a nieznany dotychczas krajobraz. Rozejrzawszy się zbożnie, po dywanach, złoceniach, bronzach, obrazach, — zestawił w myśli ów widok — ze swojem mieniem. Przeliczył je, to mienie: tartak, udziały w firmie HART, czterdzieści morgów czarnoziemu i dwie wille w podgórskiej okolicy .. Przeliczywszy namarszczył czoło i powtórzył:

— Ja tylko ludziom wierzę. Tak, — po chłopsku.

Tu Mieniewski wybuchnął, bez najmniejszego powodu, czy przyczyny, ot tak, wybuchnął nagle z fantazją i po pańsku, poruszając sprawę fornali. Zaczął od słów:

— Niby wierzycie, — a jak to chcecie krzywdzić ludzi! — Pan Mieniewski świszczącym, lecz wspaniałym głosem wyłożył wszystko w tej sprawie, co było już dawniej wiele razy obgadane, pisane, dyskutowane. Wyłożył tak, — jakby to była nowość niesłychana! Że należy dać jakąś satysfakcję fornalom i jakoś ich urządzić lepiej, w przeciwnym razie, partja socjalistyczna głosować będzie za Re-

formą Rolną, ale bez odszkodowania, a wtedy wedle najprostszej arytmetyki, — nie masz pan panie pośle większości! I wtedy —

Bigda znów przerwał: — Ja krzywdzę ludzi, bo im wierzę. Wierzę, — że przetrzymają tę krzywdę. Że to potrafią.

— Cynizm!

— Nie wiem, jak się nazywa.

— Nazywam to cynizmem.

Bigda usiadł na tym samym fotelu, na którym uprzednio spoczywał poseł Cynwajs.

— Przyszliście tu zapewne, panie pośle, — jeżeli mogę się domyślać, — Mieniewski aż zachrypł z irytacji, — aby przed posiedzeniem, na którem odbędzie się drugie czytanie waszego projektu reformy rolnej ustalić... — Mieniewski nie chciał powiedzieć, co ma być ustalone.

Bigda nie odpowiedział. Dopiero po upływie długiej chwili rzekł: — Dobra szara godzina.

Mieniewski cichym krokiem przeszedł na swoje miejsce, za biurko.

— Może zapalić światło, panie Bigda?

Leader chłopów przemilczał pytanie. Podzwoniwszy mosiężnym znaczkiem na płaszcz, jął mówić wreszcie. Zaczął od tego, że wogóle nie należałoby się unosić, gdyż szkoda zdrowia. Albowiem zdrowie, — i to przed polityką, — należy się rodzinie.

— Czy się to wam wyda, panie Mieniewski, dziwnem czy obcem, — ja na to nic nie poradzę. Jak tam i co z tym bankiem waszym i jak tam ze sprawami i z całem przesileniem i z większością — to

znowu co innego. Zaczęliśmy od zdrowia i przy zdrowiu zostańmy.

Leader nastawił uszu.

Głos Bigdy suchy, czerstwy, nabierał nagle tak przedziwnej miękkości. Słowa płaskie, twarde zdawały się rozpływać teraz w ustach.

— Te roboty z sejmem, rządem, większością i ustawami, reformami, dobre to jest — i owszem. To jest praca nasza dla ludzi. I jeszcze przemysł może do tego dojść. Też jest praca — dla ludzi. Ja w tym przemyśle, —pracuję naprzykład z waszym synkiem, — powiedział synkiem, — Stanisławem. Obu waszych chłopaków poznałem. Przez taki zbieg okoliczności dziwny. I pana Tadeusza. O nim dość dużo wiecie i może nawet nadto jak na ojca. Zuchwała sztuka. A więc teraz prowadzę do tego —

Cała postać Bigdy otrząsnęła się nagle.

— Otóż teraz prowadzę do tego, panie Mieniewski: Nim co, nim sio, — jednem słowem, nim przyjdzie wszystko tamto, które wcale wesołe nie jest i może w tem, co ma przyjść na wiele punktów nie zgodzimy się wcale i jeszcze sobie do gardła doskoczymy, — przyznać muszę, że mi się ten wasz synek Stanisław wydaje bardzo zdatnym, obrotnym, silnym i pracowitym. Więc chciałbym może pomyśleć, — gdyby to takiego chłopca nie puszczać w świat tak byle jak? Sądzę chyba, że to już wasza sprawa, — dodał Bigda zmarszczywszy czoło. — Zapewne. Ale możeby się dało różne tam takie wygładzić między nami: myślę o tych różnościach, których nie brak teraz pomiędzy nami — w polityce. Możeby się to dało trochę zmiękczyć?... Wy macie

dwóch synów. Miałem czterech i wszyscy mi pomarli. Została mi jedyna córka. Zośka. Tak...

Znów haratnęło pod nim krzesło, — do zadziwienia, skąd w takim fotelu aksamitnym, klubowym, usprężynionym, — skąd się wziąć jeszcze mogło w takim meblu tyle trzasku i zgrzytu?

— Tak, — dodał Bigda po długiej, ciężkiej chwili, — bo potem czasu już może nie być i tchu nie starczyć może i zdrowia nawet braknąć, no, bo potem przychodzi nasz czas... — Przerwał w pół zdania. Zacisnął powieki, zacisnął szczęki. Zmartwiał w groźnem milczeniu.

— Panie pośle, — Mieniewskiemu wyziębły ręce, cała zaś krew do głowy uderzyła. Doznał, — nie mógł tego tłumaczyć, uzasadniać, — doznał uczucia wstydu, zniewagi i wstrętu. Począł się śmiać jak najuprzejmiej, śmiać się, nawet żartować a równocześnie w płochej, lecz groźnej igraszce przypuszczeń wyobrażał już sobie, — że jest z Bigdą na ty, że zostają ojcami, dziadkami, dobrzy starzy Mieniewscy pomieszani z Bigdami. W igraszce tych przypuszczeń przyszedł leaderowi na myśl hrabia Lachowski, — stary truteń. Jak się spotkają, chociażby w hallu sejmu, w tymże samym hallu, gdzie Bigda tak efektownie naśladował psa Dżima i jak Lachowski jemu, Mieniewskiemu składać będzie najlepsze życzenia!

Leader pytał uprzejmie Bigdę, — nie zapalali jeszcze światła, — o syna swego Stanisława, — czy zna się na tej nafcie dostatecznie, bo dzisiejsza młodzież lubi wszystko po łebkach brać.

Potem przeszedł nieznacznie do spraw zwią-

zanych z panną Zosią Bigdzianką, z jej wiekiem, wykształceniem, — specjalnemi umiłowaniami. Wspomniał wcale obszernie o młodzieży żeńskiej na uniwersytetach, zapychającej pono wszędzie tę nieszczęsną polonistykę, oraz o młodzieży ze szkół specjalnych. Tak, handel, czy rolnictwo — o ileż to jest lepsze! Wspomniał tu także o hodowli drobiu. Nie omieszkał przy tej okazji dotknąć spraw pani Bigdziny, — rozpytując nader serdecznie o stan zdrowia. Mieniewski supłał jedno zdanie z drugiego a równocześnie, — potworna przepaść niechęci i odrazy do samego siebie i do życia i do Bigdy i do wszystkiego otwierała się w nim tak boleśnie, ach, — jak głęboko!

Poseł Bigda odpowiadał coraz mniej i coraz ciszej. Nakoniec powstał z klubowego fotela i trwał jeszcze przy biurku, ogromny, — nieruchomy.

Mieniewski przyjmując telefon, patrzył uważnie na chłopskiego leadera. Twarz Bigdy była kamienna, świeciła w mroku połyskiem chudości. Oczy nakryte powiekami zdały się sączyć blask żywy, lecz bezmyślny, — pusty blask zwierzęcego spojrzenia.

— Tak, to już właśnie ta pani Kostryniowa, nawrócona kapitalistka ma bank za chwilę odwiedzić, — ucieszył się Mieniewski. — Musimy zrobić światło, panie pośle.

Minąwszy Bigdę skierował się ku drzwiom, przekręcił wszystkie przełączniki, światło zalało gabinet. Nim się opanowali obaj panowie posłowie, zdążyło ich jeszcze złapać to nagłe światło elektryczne — w jednem drgnieniu szczerości. Stali na-

przeciw siebie oko w oko, — niczem dwaj ludzie odmiennych sfer i światów, przerażeni wzajemną obcością...

Woźny, który kilka kwadransów temu szamotał się tak dzielnie z Kozą, — otworzył uroczyście jedne i drugie drzwi i przepuścił panią dyrektorową Kostryniową.

Medaljon, — przewinęło się przez myśl leadera Mieniewskiego — dawne znane powszechnie przezwisko Kostryniowej z Zagłębia.

Szła, lekko naprzód pochylona, odziana w czarną suknię, w czarnym, choć już wiosennym płaszczu i takimż kapeluszu, ozdobionym czarnemi gronami żałobnemi. Obuta była w czarne nader zgrabne giemzowe pantofelki, które zdawały się podkreślać wąskość obydwóch kostek.

Mieniewski zwrócił uwagę na ten szczegół. Na niebywale udatną i dyskretną kształtność nogi w kostce. Poprzez czarną jedwabną pończochę zdawała się przeświecać niebieskawym połyskiem alabastrowej skóry. Leader nie pamiętał, czy znali się ci państwo, Bigda z dyrektorową.

Odraza do Bigdy — na widok pani Kostryniowej wzrosła jeszcze. Nie mógł Mieniewski opanować wrażenia, że Kostryniowa zjawiła się w tej chwili, jako ktoś z jego własnego świata. Ze świata ludzi przyjętych już i wprowadzonych. Ktoś śpieszący podobnemu sobie bliźniemu z pomocą, — przeciw Kalibanowi.

Bigda na widok pięknej i tak szlachetnej wdowy drgnął. Owiało go dawne wspomnienie hrabiny, kuzynki, czy też ciotki Lachowskich, która w cza-

sie młodości jego bandosowskiej, kiedy go dziewki pokłuły brudnemi szpilkami od włosów, — rany mu przemywała. Tam, — wtedy, — na barłogu czworaków. Mógłby teraz powiedzieć tej kobiecie, — żeby się nie gubiła tutaj. Siebie, — swoich pieniędzy. Mógłby się tak odwdzięczyć owej hrabinie dawnej. Lepiej jednakże nie odwdzięczać się nigdy nikomu.

— Zostawiam państwo tutaj. — Skłonił się Mieniewskiemu, nie wyciągając ręki na pożegnanie. Natomiast pierwszy podał rękę Kostryniowej, co ją zakłopotało, niosła bowiem w swych wąskich dłoniach, obciągniętych czarną długą rękawiczką, papiery, akta i koperty bankowe.

Wyglądało to wcale osobliwie:

Na czarnem tle sylwetki — jedyne jasne miejsce, poniżej piersi nad biodrami stanowiły owe papiery białe, niesione sztywno, zarazem uroczyście, niby malutka tarcza. Nad tarczą ową, papierzaną pochylała się z bladym uśmiechem twarz przywiędła, lecz ciągle jeszcze piękna, jesienna, a tak wielce urocza, że Bigda powtórzył w duchu, — piękna wdowa, — hrabina!...

Gdy odszedł, wdała się pani Kostryniowa z leaderem w rozmowę uroczystą nieco, jaką, — wiadomo wszędzie na świecie, — iż wypada prowadzić w takich wypadkach, gdy jedna strona powierza drugiej pieniądze, obie zaś tym sposobem zwiększają dobro świata, pomnażając największy skarb społeczny, — wzajemnego zaufania.

Pan Mieniewski w tak wyjątkowym, jak dzisiejszy wypadku uważał, że już po załatwieniu formalności, sam wręczy pani Kostryniowej papiery, pod-

pisane i sporządzone przykładnie, sam też dla Banku Robotniczego, osobiście przyjmie od klientki tej pieniądze. Wiedział, że to nie dobrze, czyni to bowiem jego odpowiedzialność wobec Kostryniowej aż nazbyt osobistą. Uważał jednak, że pozycję, — pieniędzy Kostryniowej, — ocali zawsze, inaczej chyba musiałby sobie (i wypadałoby) w łeb strzelić!

Rozmawiali o wszystkiem i o niczem.

Dla podtrzymania dość trudnej i drażliwej konwersacji, jako że nacechowanej wielkiem wzruszeniem, Kostryniowa spytała o Bigdę, którego znała, — oczywiście, — i z nazwiska i z fotografji, z dzienników choćby, ale nie wiedziała wciąż jeszcze — „co to za jeden właściwie"?

Mieniewski odpowiedział odrazu i najprościej:

— Zwykły chłop, proszę pani.

— A ja bałabym się tego człowieka, — odrzekła i uśmiechnęła się i przeszli na inne tematy lecz więcej konkretne.

Pani Kostryniowa otworzyła owo pudełeczko po pudrze do przesypywania niemowląt i wyciągnęła stąd ostrożnemi palcami gruby rulon dolarów.

Poseł Mieniewski, — choć był to już uczynił w pierwszej rozmowie z wdową, tutaj w banku, — zdziwił się po raz drugi niepomiernie naiwnej, prostej formie, to jest pudełku, — które zawiera nagle tyle skupionej siły w tak potężnej walucie, amerykańskiej — były to przecież dolary! Tak, — leader nie zachwycał się Ameryką, stwierdzał tam znaczny przerost techniki, połączony z niezwykłem ograniczeniem poszczególnego typu ludzkiego, drwił

nawet poniekąd z nazwy, jaką tak się chlubią w Europie amerykanie — „demokracja pieniądza".

— Ale, — dodał po chwili, — waluta walutą. — By zaś nie wchodzić w nader szczegółową dyskusję o Ameryce, zauważył jeszcze, wziąwszy do rąk stare pudełeczko po pudrze: — Jaki to miły chłopaczek siedzi na tej pokrywce.

Niestety! W związku z owym miłym chłopaczkiem, chłopaczkiem czy dziewczynką, rysunek bowiem wyobrażał kilkomiesięczną dziecinę, — przypomniała się znowu panu Mieniewskiemu dzika, nieprawdopodobna, tak domyślnie postawiona oferta Bigdy. Cóż za chamstwo!

Pani Kostryniowa wręczając pieniądze, i odbierając kwity i za pół roku zgóry odliczone procenty, mówiła znów o mężu. O tem, jak Feliksa wszyscy zapominają. O tem, że był istotnie, — człowiekiem trudnym, nie zasłużył jednak chyba na to, by mu jednego dobrego słowa na grób nie rzucić. A przecież trud całego jego życia, — dziwnem zrządzeniem losu — powraca, niby w jakichś przemianach, — bo jakże to nazwać inaczej, — jakby znowu do innego społecznie bytu?...

Westchnęła z rozrzewnieniem: — Czy nie przypuszcza pan, panie leaderze, że sprawy ludzkie bynajmniej nie są znów tak wielce nadzwyczajne, ale poprostu upodobniają się do wieczystych spraw innych, tak zwykłych, przyrodniczych?... Więc śnieg wodą się staje, topnieje, spływa w ziemię, z ziemi wnika w rośliny...

— Ach, droga pani, — ucieszył się Mieniewski, — jakże to słusznie i pięknie powiedziane! Cho-

dziłoby jedynie o to, czy tamte sprawy przyrodnicze nie są właśnie tak nadzwyczajne, że ludzkie mogą się wobec przyrodniczych wydawać prostemi?

— Ma tu pani przed sobą, — zacisnął w dłoni obfity plik dolarów, — ów pot strasznej krainy naszej, krainy czarnych skrzydeł dymu, huku i śmierci. No więc, — tak, no: kapitał. Kapitał ten nietylko zapewni pani teraz najspokojniejszą egzystencję. Bo cóż człowiek i poszczególna, indywidualna jego egzystencja?! Kapitał ten, puszczony w obieg drogami pracy naszych wielkich demokratycznych organizatorów obiegu pieniężnego, — przyczyni się chociażby tylko wedle swej sumy, do stopniowego rozwinięcia nad światem całkiem odmiennych, zapewniam panią, — białych srebrzystych skrzydeł...

Łzy ukazały się pani Kostryniowej w oczach. Nic bowiem nie wzruszało jej i nie cieszyło, jak kiedy leader opowiadał z tak pięknym entuzjazmem o socjalistach pracujących pospołu z profesorami i co więcej, z księżmi — nad biedną dolą ludzi i pieniędzy.

Odprowadził dyrektorową wreszcie do drzwi i ucałował ręce. Poczem otworzył szafę ogniotrwałą, wrzucił do niej pieniądze, wdział płaszcz, zgasił światło, schował starannie klucze do kieszeni. Tak, należało zaraz przenieść owe pieniądze do safes'ów banku. Leader nie miał już teraz na to sił. W tej chwili nie chciał już o tem myśleć, — nie chciał mieć do czynienia z niczem. Nie myśleć już, nie myśleć o niczem. Dosyć tego wszystkiego dzisiaj! Wyjść na powietrze.

Postanowił zarządzić wszystko po drodze, powiedzieć sekretarce, aby —

Wychodził już. Już mijał szafę, — safes wmurowany w ścianę. I tu, — zatrzymało coś nagle Mieniewskiego. Stanął przed połyskującą w mroku, wspaniałą klamką safes'u, — jak wryty. Uprzytomniło się leaderowi, że przecież trzyma tu, u siebie w zamknięciu, złożone w zielonkawych papierkach całe życie, cały trud całego życia, owoc wszelkich zabiegów, całą niejako energję i całą duszę — Kostrynia. Kostrynia, — doraźnego przyjaciela młodości wspólnej, i studjów na politechnice, — Feliksa Kostrynia, dyrektora technicznego kopalń Erazma.

Przypomniało się Mieniewskiemu, w tej chwili, w mroku prezesowskiego gabinetu, — jak kiedyś dawno, w gromadzie młodych studentów szli w zimie, zagranicą i razem pieśń śpiewali. Śnieg wówczas padał, szli pod górę i śpiewali tę pieśń rewolucyjną, znaną wybornie, tak przecież popularną, o słowach nader patetycznych. Jakże to tam idą te słowa?

B o w pieśni mej — głos piersi t w e j?...

Zdaje się, że właśnie Feliks nie mógł nigdy dobrze zapamiętać tych patetycznych słów. Leaderowi przypomniało się, jak to wtedy wyskoczył sam przed szereg, chwycił Kostrynia za ramiona, i publicznie go wtedy zbeształ, krzycząc wprost do ucha właściwy tekst. Pan Mieniewski uśmiechnął się teraz — nieśmiało i ostrożnie.

O, — nadzwyczaj ostrożnie...

— No, a teraz, — spytał Mieniewski szeptem,— gdzież się podziewasz Felek? —

Bo w piersi mej głos pieśni twej...—

Mieniewski rozejrzał się wokoło.

Światło ulicy kładło jasne kwadraty refleksu na dywan gabinetu. Pan Mieniewski zapukał parę razy, silnie skurczonym wskazującym palcem w stalowe wieko safes'u. W głuchym stukocie metalowej ściany oparł się coprędzej o gzymsy tego sprzętu, rażony niespodzianie myślą nad wyraz straszną: Że ów Kostryń, kolega młodości, tam, w tej stalowej, zimnej, ogniotrwałej piersi Mieniewskiego spoczywa już na wieki, — jak w trumnie...

Wieczór trzech Mieniewskich.

Pan Mieniewski wchodząc do opustoszałej nieco jadalni, pamiętał czego tu chciał. Pragnął zobaczyć, czy służąca podała do kolacji konfitury?

Wikcia, to jest służąca, nie mogła jednak podać konfitur, gdyż klucze od śpiżarni miał przy sobie leader Mieniewski. Gniewało go wielce, iż pod nieobecność pani Anny Chylickiej musiał był nosić je przy sobie, razem z tak ważnemi społeczno-politycznemi kluczami od biurka i safes'u bankowego i od swej skrytki w sejmie.

Czyż to nie idjotyzm, — chcieć otworzyć biurko sejmowe, bankowe i zamiast sejmowego, trafić na klucz od agrestu, truskawek, czy berberysu??! Jaskrawy ten idjotyzm, tak bowiem myślał o tem Mieniewski, — posiadał w sobie pewien wdzięk. Gospodarski klucz od konfitur przypominał nagle — i to w nieprawdopodobnym zaiste chaosie przesilenia rządowego, ataków personalnych, tak czarnej chmury, wiszącej nad Bankiem Robotniczym,—że ma się jeszcze swoje własne, prywatne życie; że ma się cichą przystań ustronną, — wyspę spokojną na wzburzonych falach oceanu...

W banalności takiego porównania dopatrywał się leader pewnej poezji. Może dlatego właśnie, ze względu na kojący wpływ tej poezji dbał tak dokładnie o interesy i porządki swej cichej wyspy, przystani; swego cichego i uporządkowanego domu.

Przyszedł do jadalni z salonu, przerwawszy pracę nad artykułem, przypomniało się bowiem leaderowi, że nie załatwił sprawy konfitur. Chciał przyjąć swoich chłopców dobrze i serdecznie. Ale nie nazbyt dobrze, by nie sądzili znów, że to jakaś demonstracja miłości ojcowskiej. Serdecznie, — w miarę.

Zapomniał jednak znalazłszy się już w jadalni, po co tu przyszedł? Można było zapomnieć, nie mógł przecież w nawale wielkich trudności życia publicznego i osobistego pamiętać o głupstwach potocznych.

Rozejrzał się po stole. Owszem, — wszystko było starannie przygotowane, do tak zwanej kawalerskiej kolacji, — to znaczy, — nie gorącej, lecz zimnej. Wędlina, — miód, — sery, — masło, — marmolada. Nawet, — ze względu na młodych panów, — purpurowy garnitur kieliszków i karafka pomarańczówki.

Lustrując nakrycie stołu, przeżywał pan Mieniewski nazbyt sprzeczne wrażenia; synowie, konfitury, pokój stołowy, ogołocony ze znacznej części sprzętów i zwykłych ozdób, nieznośna a konieczna ingerencja Wikci, nerwowa niechęć na myśl o rozmowie z synami... W istocie rzeczy myślał przecież tylko o swej ruinie majątkowej. Ruina majątkowa kojarzyła się ciągle w myślach leadera z przedstawieniem Parsivala w operze.

Na premjerze Parsivala śpiewała rolę Gundry nieszczęsna przyjaciółka marszałka Stachowskiego, witana rykiem i brawami klaki przy każdym ukazaniu się i zejściu ze sceny. Znawcy — i to ludzie bynajmniej nie związani z polityką, — twierdzili, że wyła, jak syrena fabryczna. Leader Mieniewski nie posiadał się z radości, patrząc z pierwszego rzędu krzeseł na ukrytego w loży reprezentacyjnej marszałka Stachowskiego. Pan Mieniewski niecierpliwił się straszliwie podczas długich wywodów rycerzy, a specjalnie, — podczas żałosnych beczeń rannego Amfortasa, oczekiwał bowiem niecierpliwie, kiedy znów pojawi się obsadzista Gundry, by przyciemnioną salę doprowadzić do wybuchów śmiechu, ryków klaki, Stachowskiego zaś chyba do napadów szału.

Po nieszczęsnej rozmowie z Cynwajsem i z Bigdą, zrozumiałym stał się dla leadera ów beczący Amfortas z otwartą raną w boku. Taką otwartą ranę czuł w sobie nieustannie pan Mieniewski: — otwarta rana, to ruina Banku Robotniczego i własna! Strata wszystkich oszczędności i dorobku całego życia.

Gdzież jest Parsival, któryby zdołał mnie wyleczyć,— powiedział leader głośno, tu, w jadalnym pokoju, machinalnie wyrównując uszeregowanie plasterków kiszki pasztetowej na małym półmisku. Pogrążony w nieobowiązujących myślach o wymarzonym Parsivalu, poddawał się chętnie atmosferze stołowego pokoju, pozbawionej niestety właściwego charakteru.

Pani Chylicka, przed wyjazdem do Karlsbadu pochowała komplet robótek subtelniejszych, szkieł droższych i kryształów ze względu na niezręczność

służącej. Wikcia gotowała świetnie, ale tłukła wszystko, co jej do ręki wpadło, leader zaś ze względów zasadniczych nie pozwalał na wytrącanie kosztu pobitych rzeczy z pensji służącej.

Czy na stole wszystko w porządku? Zapewne,— tak. Można więc wracać do rozpoczętego artykułu? Niestety, — jeszcze nie. Była to przecież pora podlania kwiatów.

Leader skierował się ku drzwiom od kuchni i zamknął je na klucz. Nie chciał by go służąca, albo któryś z synów, mających nadejść lada chwila, widzieli, — podlewającego kwiaty. Wstydziłby się tej— bukolicznej czynności. Nie dowierzał zaś służącej.

Ania, odjeżdżając do Karlsbadu, by podleczyć nieszczęsne kamienie żółciowe, „położyła Wikci na głowę" sprawę kwiatów, podczas gdy leader miał tylko dozorować.

Pan Mieniewski czuł jednak wybornie, że gdyby miał coś razem robić z takim tumanem, jak Wikcia, mógłby ostatecznie nie wytrzymać i choćby tylko symbolicznie, myślowo, — rżnąć Wikcię po karku. Wolał więc kwiaty domowe podlewać sam. Wolał podlewać sam i ze względu na głupotę służącej i może nawet ze względu na własną czułość dla Ani.

Kwiaty, — trawka zajęcza! Tak nazywał „komplety doniczek", zwane przez Anię kwiatami. Oburzające było, że trawka zajęcza miała też swe humory i narowy. Tego podlewaj raz dziennie, tamtego raz na dwa dni, tego dwa razy dziennie. Kwiaty żrą i chłepcą i obrządzać je trzeba, tak samo, jak zwierzęta.

Zdawałoby się, że tylko zwierzęta,—mówił przed wyjazdem Ani, — okazuje się jednak, że kwiaty też należą do menażerji!

Bluszcze, araukarja, róże, gwoździki, laki, palmy japońskie, i najobrzydliwsze, — kaktusy. Leader twierdził stale, że kaktusy mają coś z mopsów. Na szczęście bulwom tym wystarczało — minimum opieki.

— To nie rośnie, — przymawiał kaktusom, — a tylko pęcznieje. Kolosalna różnica! Rosnąć, to wzmagać się ilościowo i jakościowo. Pęcznieć, — to tylko wzmagać objętość.

Porównania takie i wywody obrażały panią Chylicką. Chcąc przekonać leadera do kaktusów, przynosiła mu na biurko poszczególne okazy i delikatnie wodziła palcami po kosmatej powierzchni tego, czy tamtego „szablaka", w czem leader dopatrywał się osobliwszego zwyrodnienia. Dziś, gdy pani Chylickiej nie było, gdy tęsknił za nią, zdały się Mieniewskiemu kaktusy — symbolem nadziei i wytrwałości. Podlewał jednak przedewszystkiem wszelkie liściaste, jako to bluszcze, gwoździki, laki, — djabli wiedzą, jak się to nazywało?!

Pani Chylicka uczyła go tych kwiatów przed wyjazdem, zawieszając wielki arkusz czerpanego papieru (z próbek nadesłanych leaderowi na czerpane egzemplarze jego pamiętnika) na którym wypisała sposób i godziny podlewania poszczególnych gatunków. Kartka wisiała przy drzwiach, otwartych na balkon podwórzowy. Balustrada jego ozdobiona była szeregiem skrzynek, w których wzrastać miała cała szkółka bratków.

Owszem, — bratki pamiętał leader z dzieciństwa,—po dzień dzisiejszy odczuwał jakoś i jeszcze rozumiał! Naturalnie, — to nie to, co pretensjonalna palma japońska o której napisane jest na kartce z przepisem podlewania:

„Nie wzruszać, nie przenosić, — nie lubi zmiany miejsca!"

Jeżeli nie lubi, — mruczał pod nosem pan Mieniewski, — to niech się przyzwyczai.

Poszedł z zieloną koneweczką na balkon, — podlać bratki. I tu dopiero złapała leadera zawierucha splątanych sprzecznych uczuć. Może dlatego spadła na niego tak nagle, iż czuł się bardzo samotnym a zagrożonym ze wszystkich stron. Może też przyczyniała się do tego bezczelna propozycja Bigdy, co do małżeństwa Stanisława z córką Bigdy?

Podlewając bratki zieloną koneweczką, pan Mieniewski uznał całkiem spokojnie, że bezczelna propozycja, choć wstrętna, — nie może go na dłużej wyprowadzić z równowagi. Wytłumaczy synom, o co chodzi i Stanisław nie byłby chyba Mieniewskim gdyby nie usłuchał ojca. Nie o to więc tutaj szło! Porządek uczuć zamącił się w leaderze z tej przyczyny, że pan Mieniewski znalazł się w zupełnej samotności na wewnętrznym balkonie swego mieszkania, w chrobotliwej ciszy miejskiego strudzonego domu, — lecz pod niebem wiosennem, różowo-niebieskiem, gdzieniegdzie prawie złotem. W najwyższym kącie tego ślicznego nieba tkwił blado-srebrny księżyc, tak blady jeszcze, że wprost przezroczysty. Dalekość nieba bezmierna a zarazem tak powszednia skupiła nagle

myśli pana Mieniewskiego na synach, Stanisławie i Tadeuszu.

Rodzice — dzieci; ojciec — i synowie. Miłość rodzicielska zawsze naprzód śpiesząca, — wdzięczność synowska, plecami zawsze odwrócona... W jednem trwaniu — dwa inne czasy, zachodu, — wschodu. Wśród owych czasów rozbieżnych i coraz dalej odchodzących od siebie — miłość usychająca bezradnie, nieuchronnie.

Pan Mieniewski uzmysłowił sobie całkiem jasno, że nigdy nie był prawdziwie dobrym dla swych synów. Czuł chyba zawsze, że miłość taka zabierałaby mu najdroższe siły i rzucała je w przepaść niedościgłej już dla niego przyszłości.

Podlewając teraz bratki pod różowem niebem zachodu, przypomniał sobie, że istotnie, nie chciał być nigdy dobrym dla synów. Nie chciał i nie mógł, musiał był bowiem zawsze bronić własnej zaborczości!.. Ach, ileż razy bolał nad tym faktem.

Skąd przybywali wkońcu ci dwaj młodzi ludzie?

Z czasów jego młodzieńczej miłości. Lecz miłość dawno przecie minęła, a oni wzrastali, trwali, zagarniali coraz więcej czasu i miejsca dokoła siebie. Z rozpędem i żywiołową siłą swych synów walczył tak uparcie, że opuścili dom.

Leader przeląkł się wówczas. Wygnawszy bowiem synów, jakgdyby zmusił samego siebie do przeżywania drugiej, nowej młodości. Młodość to była wyczerpująca, może już ponad siły, lekkomyślna, niewierna. Ową młodość drugą, niepewną, przerwała wojna. Rzecz charakterystyczna, że nie przeciwdzia-

łał zupełnie, gdy Tadeusz poszedł na front. Leader nie przeciwdziałał temu, mimo, że miał przeczucia, prawie wierzył, iż Tadeusz zginie na froncie. Rozpaczał wówczas skrycie, jawnie jednak chełpił się synem. Jakby Tadeusz spełniał ofiarnie, choć lekkomyślnie coś, czego ojciec nie mógłby się już podjąć...

Natomiast Stanisława zatrzymał wówczas leader stanowczo przy sobie, wymanewrował, ukrył, wykręcił od straszliwego ryzyka śmierci. Przez cały okres wojny miał starszego syna przy sobie i o tego starszego istotnie drżał, choć się z nim nudził bardzo; ale za tamtym Tadeuszem, którego więcej kochał, o ileż, ileż więcej, — nie tęsknił wcale. W tym to czasie odnalazł nagle panią Chylicką i stworzył z nią swój drugi dom.

Zupełnie inny od pierwszego.

W pierwszym domu wszystko niszczeć i przepadać musiało dla jego (leadera) twórczych prac i zdobyczy. W tym drugim, wszystko, co czyniono dla wielkiego leadera Mieniewskiego — zamykało go, stając się obowiązkiem, pracą a nawet służbą.

Codzienne podlewanie tych „niby kwiatków", to przecież jeden z nielicznych przykładów niewoli domowej, która tak osobliwie, tak kojąco wpływała na leadera.

A tak, a tak, — świat kruszy się w posadach, iluż dziennikarzy, ileżby dało w tej chwili, by tysiącom, miljonom ludzi w kraju a nawet tysiącom działaczy zagranicą móc powiedzieć, co teraz myśli o przesileniu parlamentarnem w Polsce i o widokach nowej chłopskiej większości Bigdy, obywatel czy

towarzysz socjalista i leader partji poseł Mieniewski?! Tymczasem leader Mieniewski nie myśli nic i pod niebiesko-różowem niebem zachodzącego dnia wiosennego podlewa bratki z zielonej blaszanej polewaczki. Odstawił ją, usłyszawszy donośne pukanie do pokoju stołowego. Przymknął za sobą drzwi na balkon i poszedł śpiesznie otworzyć.

W drzwiach stał starszy syn, Stanisław, z narzutką na ramieniu.

Pan Mieniewski wziął Stasia w objęcia, — nie widzieli się już dawno, — ostatni raz po nieszczęsnym procesie Tadeusza. Nie dając przyjść do słowa synowi zadzwonił leader na służącą, — zawsze ta głupia Wikcia, — i rzekł:

— Wyobraź sobie, że całe popołudnie morduję się, bo nie mogę sobie przypomnieć, które konfitury lubiłeś zawsze?

Stanisław odpowiedział z uśmiechem: — Porzeczki.

Wówczas leader: — Masz dobry gust, to konfitury na wagę złota, jeżeli drelowane. A my mamy oczywiście tylko drelowane. Pomyśl tylko, co to za praca!

Pan Mieniewski kazał wydobyć Wikci ze śpiżarni jeden słoiczek drelowanych porzeczek, zalecił przytem odnieść sobie klucz i przeszedł z synem do gabinetu.

— Egzystuję teraz, jak wiesz, po kawalersku.

Stanisław o tem wiedział.

— Dywany pozwijano, trochę tu teraz pusto, ale mole i tak są. No, cóż, — Wikcia nie daje sobie rady. Skąd te mole biorą się w mieście?! Bo wiesz, że

pani Anna (tak mówił o niej przy synach, — per pani) zachorowała, biedactwo, na wątrobę. Wahamy się, czy to wątroba, czy woreczek żółciowy. Zdaje się, — jedno i drugie. Jest w Karlsbadzie. Ja też nienajświetniej się czuję. Do tego przeżywamy chwile tak gorące pod względem politycznym —

Pan Mieniewski zwykł był zawsze, na wszelki wypadek przeprowadzać, — jak to nazywali synowie, — taktyczne zaskoczenie interlokutora własną niedolą. Zaskoczywszy własną niedolą, mógł był już być spokojnym, że rozmówca nie wyjdzie lekkomyślnie z pierwszym lepszym bólem, czy pretensją i nie ośmieli się zawracać panu Mieniewskiemu głowy własnemi sprawami.

Stanisław słuchał ojca, rozglądając się uprzejmie po pokoju. Poznawał tu dawne sprzęty rodzinnego domu, pamiętane od dzieciństwa. Biurko ojca, fotel przed biurkiem, kilka albumów odwiecznych z fotografjami dziadów Mieniewskich, — niektórzy byli jeszcze w kontuszach.

— Powracając do moli, — mówił pobłażliwie leader, — nafty podobno nie lubią tak ogromnie. Bo te wszystkie współczesne a tak reklamowane środki!.. Aluzja o nafcie miała naprowadzić Stanisława na obecne jego stanowisko (pracował przecież w nafcie u Bigdy!) i na chęć opowiedzenia czegoś z tego *zakresu*. Ni z tego ni z owego jął pan Mieniewski opowiadać szczegółowo, jak chroni i pekluje pani Anna Chylicka na lato wszystkie dywany.

— Robi z nich poprostu naleśniki! Naleśniki te, zawijane, przekłada się gazetami, a gazety skrapia się naftą. Może także czemś innem, głównie naftą!

Rozmowa urwała się. Stanisław, — zawsze był tępawy nieco, — nie zrozumiał aluzji o nafcie. Leader wpadł w zadumę, podczas której dokładnie przyjrzał się synowi. Chłopak był nader porządnie ubrany (o, — z pewnością dostatniej od ojca!) miał na sobie wcale wytworną popelinową koszulę, gustowną krawatkę, z przyzwoitą, choć oczywiście fałszywą perłą! Skarpetki, czy może nawet pończochy, pod kolor ubrania i nowe, bardzo porządne trzewiki.

Zauważył też pan Mieniewski, że Stanisław jest starannie ogolony i ma doskonale wymanikurowane ręce.

— Prosiłem cię, byś przyszedł wcześniej, Stasiu — rzekł leader niespodzianie, — gdyż chciałem, żebyśmy sobie *przedtem* pogadali we dwóch... — Zawsze tak było i nigdy nie mógł się temu dostatecznie wydziwić pan Mieniewski: zawsze zmawiał się i spiskował ze Stanisławem, — przeciw Tadeuszowi. A cóż za porównanie między tymi chłopcami—i czyż nie wolałby układać się, chociażby pośród największych kłótni, — z Tadeuszem?!...

Leader spojrzał z politowaniem na kochanego Stasia: — był to profil Mieniewskich, zapewne. Tensam profil, niby drapieżny, ptasi, ale we wszystkich linjach złagodzony, zmiękczony. Przypłaszczenie czy otłuszczenie wszystkiego, co tchnęło stanowczością i siłą. Stanisław miał po matce — zażywną łagodność i spokój. Mieniewski nienawidził tej zażywności u żony, a tak mu wygadzała w starszym synu.

— Powiedziałem ci to i owo o mojem gospodarstwie, — rzekł po chwili, — powiedzże mi teraz ty obszernie o sobie. — Pan Mieniewski zagłębił się wy-

godnie w fotelu i słuchał, patrząc na syna. Syn pierworodny! Więc to tak wyglądała teraz pierwsza ich miłość! Teraz już tak dalece — wyrównana. Musieli byli rozejść się, przestać się znać i nawet znienawidzieć się wzajemnie, aby się tak właśnie zróść w owocu swej miłości...

Mieniewski słuchał syna z rzewnem wzruszeniem. Słuchając bowiem spokojnych określeń Stanisława, doznawał wrażenia, jakoby dawne ich, tak nieznośne, nieszczęśliwe małżeństwo przeżywało w tym chłopcu nowe swoje życie, tak nieoczekiwane dla pana Mieniewskiego, tak zdumiewająco zgodne i serdeczne.

Syn pierworodny opowiadał drobiazgowo, jak pracował, naprzód w firmie Gazolina, — bo cóż miał robić, nie mógł wyjść z nafty, nie mając żadnych innych *specjalnych* widoków.

Bez specjalnych widoków, — jak to oględnie powiedziane! Tadeusz określiłby to z pewnością—w tak *beznadziejnej* sytuacji. Wtedy to, wkrótce po procesie Tadeusza, spotkał się Stanisław czy też jego spotkali, Deptuła i Bigda. Zabawni, śmieszni ludzie, ale bardzo obrotni, uczynni, energiczni i — co jest dobre, — że tak chętnie pracują z młodzieżą!

— Pisałem ci już o tem w liście, — prowadzę im tam w Borysławiu biuro naftowe. Nie możesz sobie wyobrazić, co to za loterja i zabawa — ta nafta. Daje wielkie widoki. Nasi wiertacze rozłażą się po całym świecie. Zarabiają pieniądze i, bądź co bądź, rozsławają imię Polski po świecie. A potem, zważ jeszcze jedną rzecz, — mówił Stanisław, pogłaskawszy ojca po kolanie.

Na to też nie zdobyłby się nigdy Tadeusz. Na ten miły, tak delikatny ruch. Taki to był właśnie Stanisław gdy się miał zwierzyć. Jakby już naprzód przepraszał za swą śmiałość.

— Cóż mam zważyć? — ucieszył się leader zaufaniem syna.

— Zważ, że na tej nowej posadzie w ich biurze, to jest Bigdy i Deptuły, — nazywamy się oficjalnie „Nasza Nafta", — płacą mi, do pewnego stopnia specjalnie, — za moją uczciwość. Nie umiem wiele. ale nie okradam nikogo. Dlaczego ludzie kradną teraz tak nagminnie, nie rozumiem? A ja tymczasem,— mówił to, jakby bezstronnie zestawiając wyniki pracy lub ewentualnej kradzieży, — i tak dobrze sobie żyję. Kupiłem już mnóstwo różnych rzeczy. Zobaczysz kiedyś mój neceser,istne cudo. Zobaczysz moją pościel, mam już umeblowane dwa własne pokoje. Równocześnie zapisany już jestem zpowrotem na czwarty rok politechniki. Nie masz pojęcia, jak dobrze daję sobie rady. Ludzie za wiele chcą odrazu, tymczasem okazuje się, że jeżeli nie denerwować się, dążyć stopniowo, wytrwale i spokojnie —

Smutek ogarnął leadera. Smutek ogromny! Taka przyziemna małość szła ze słów tego poczciwego, kochanego chłopca. Przypomniały się panu Mieniewskiemu niezliczone ongiś próby pojednania z żoną. Jakże podobnie mówił teraz Stanisław. Była to przecież ta sama, pomierna, nieustępliwa dobroć. Dobroć cierpliwa, zimna, gospodarna, — która doprowadzała ongiś pana Mieniewskiego do wściekłości. Do niewytłumaczonej, nieprzytomnej wściekłości!...

Słuchał znowu tej gospodarnej dobroci w swym pierworodnym synu. Słuchał tego głosu — z zimną przekorą bezsiły. Ale zarazem w przeświadczeniu, a nawet z groźną nadzieją, że owa dobroć, wcześniej, czy później zemści się gwałtownie: może nawet tragicznie?!...

Opadł w głąb fotela i uśmiechając się wciąż do syna, snuł dalej myśl bolesną, niespodzianą, tak przykrą: — imię Stanisław to imię ofiary, ofiary niewinnej i chyba niepotrzebnej. Syn pierworodny — Stanisław; pani dyrektorowa Kostryniowa — też Stanisława; nieznośny, porąbany przez króla biskup — Stanisław; i król Stanisław-August, licha ofiara i nieudały, nieszczęsny wódz Powstania — Stanisław Skrzynecki!

Stanisław Mieniewski wyliczał ojcu, jak rozporządza swą pensją. Ile odkłada miesięcznie, — chyba nasza waluta nie spadnie, — ile wydaje na jedzenie, ile przeznacza na książki, ile na pranie, komunikację, a ile na jakiś niespodziewany wydatek w danym miesiącu.

— Rzecz istotnie bardzo oryginalna, nie można nigdy wszystkiego przewidzieć, co miesiąc wypada jakiś niespodziany wydatek.

Ile na przyjemności.

— Na przyjemności?! — wykrzyknął nagle pan Mieniewski. Zdało mu się bowiem, że przyjemności ma jego syn Stanisław nieskończenie za mało, tak mało, iż nie może mu na nie starczyć pieniędzy. Leader wstał z bujającego fotela, pochylił się nad synem i, pełen uczuć najsprzeczniejszych, ucałował synowskie czoło.

Na co Stanisław, spokojnie, oraz rzeczowo: — Innemi słowy cieszysz się, że masz tak porządnego syna?

— Dlatego właśnie, — zaśmiał się blado pan Mieniewski, — chciałem z tobą pomówić i to, nim się tu we trzech znajdziemy. Dlatego też sprowadziłem cię aż telefonicznie z Borysławia. A propos, — za bilet kolejowy zwrócę ci. — Pan Mieniewski podał Stanisławowi z bocznej kieszeni marynarki zawczasu odliczoną i przygotowaną kwotę.

— Od czasu tego *pięknego* procesu, — zaczął ojciec, — nie widziałem się z Tadeuszem. Muszę przyznać —

Stanisław stanął przy ojcu, objął go wpół i jakgdyby wprawił w ruch, popychając lekko ramieniem naprzód. Zaczęli we dwóch, przez pół objęci, chodzić tam i zpowrotem.

— Nie pisałem ci o moich stosunkach z Tadeuszem. — Ni z tego ni z owego leader jął prawie krzyczeć — o Tadeuszu, o życiu tego chłopca dziwacznem, pustem, a właściwie zupełnie niemoralnem. O zbrodni, która wciąż towarzyszy temu życiu, o zbrodni, która wyżywszy się, obrasta później zawsze jakimś tłuszczem. Naprzód były przecież owe historje z Włazolinami, czy jakiemiś tam Zaprawami, potem awantury i strzały na kopalniach i wogóle w Zagłębiu. Potem znów jakieś krwawe historje w ordynacji Lachowskiej i znowu jakieś głupie kooperatywy maślane. Znowu tłuszcz, zauważ, że znowu nowy tłuszcz! A wszystko to odbywa się bynajmniej nie w jakiejś pustce, lecz na tle politycznem, co już jest całkiem groźne. Pan Mieniewski zatrzymał się we

framudze balkonu pełnej kwiatów i powiedział o wiele głębszym głosem:

— Musicie obaj porzucić tego Bigdę, odczepić się od tego człowieka jaknajprędzej.

Leader nie tłumaczył synowi, dlaczego? Zbył całą sprawę możliwością szantażu ze strony Bigdy, poczem dodał skwapliwie iż uważa, że wobec Stanisława ma większe obowiązki, niż wobec Tadeusza, dlatego też gotów Stanisławowi pokryć straty, jakie wynikną z porzucenia posady w Naszej Nafcie.

— Nasza Nafta, N. N. — cudowny skrót anonimowego towarzystwa, niema co mówić. Będziesz dostawał to samo, coś tam miał, ale zajmiesz się już wyłącznie politechniką. — Panu Mieniewskiemu krew uderzyła do głowy. Do czegóżto doprowadził go Bank Robotniczy, sprawa z Bigdą i pieniądze Kostryniowej. Ach doprawdy, czy nie zawiele, — by ojciec podkupywał jednego ze swych synów przeciw drugiemu?!...

Gdy okazało się, że „koncepcja" zwrotu pieniędzy za posadę nie uśmiecha się Stanisławowi, odsłonił mu leader bez ogródek całą prawdę,—nie tając matrymonjalnych, — domyślasz się, jak na nie reagowałem, — planów posła Bigdy.

— Czy ty rozumiesz, że ten chłop, no tak, poprostu chłop, wykorzystując pewne trudności Banku Robotniczego, zresztą najzupełniej przejściowe, — chciał mnie teraz osaczyć?!

— O tak, ale z tego wynika również — uśmiechnął się Stanisław — że mógłbym teraz zrobić karjerę...

Leader struchlał, na szczęście Stanisław dodał:

— Kim trzeba być, aby robić tego rodzaju karjery?! Inna rzecz, że to jest mały, ale wyborny atucik, o ile chodzi o Naszą Naftę. Dobrze, że wiem,— Stanisław objął ojca jeszcze serdeczniej przez pół,— nie możesz mi teraz zabierać z ręki tego małego atucika.

Pan Mieniewski przerzucił tedy całą sprawę na tło ideowo-polityczne. Starał się dodać tu również kolorów symbolu i przenośni. Napróżno! Stanisław nie czuł się obrażonym ohydą tego rodzaju jak oferta matrymonjalna ze strony Bigdy. Z kochanym, cierpliwym uporem swej matki nastawał ciągle, by go nie pozbawiano tak wybornego atuta w jego małej zresztą i nikomu nie przeszkadzającej karjerze.

— Ty burzysz światy, organizujesz całe klasy społeczne, — jakże cichą łagodnością uśmiechał się syn do ojca, — pozwólże mi w całkiem niewinnym zakresie mojego małego, osobistego życia układać sobie swoje sprawy. Nie są to chyba żadne nadzwyczajności, żadne cuda?!

— Nie są to cuda, po cóż jednak — masz się gubić?!! Czy tego nie rozumiesz, że sam siebie gubisz?!—Leader wykrzyknął te słowa z wielką siłą dramatycznej ekspresji. Wykrzyknął słowa owe z tak głębokiem przeświadczeniem, że sam się ich przeraził.

Stanisław doznał zresztą tego samego uczucia. Przestraszył się, — a czegóż miał się lękać w tej chwili?! Przyciągnął ojca jeszcze mocniej do siebie. Stali w otwartych drzwiach balkonu, niebo nad nimi ciemniało w coraz gęstszych oddalach wieczoru, pędy bratków, okalających balustradę, zdały się drżeć, jak

gdyby trwogą zdjęte w ostatnich podmuchach zachodu.

— Gubisz się, pozostając przy Bigdzie, zapewniam cię, Stasiu, jaknajusilniej!!

Spojrzeli sobie w oczy ukradkiem, nie znajdując w nich żadnego potwierdzenia tak dziwnej przepowiedni. Mimo to, pan Mieniewski wpadł w najszczerszy ferwor perswazji. Prawda, chciał koniecznie wycofać synów z promienia działalności Bigdy. Chciał tym manewrem zaszachować tego bezczelnego chama i może nawet zmiękczyć. Było się chyba czego obawiać ze strony Bigdy dla Banku Robotniczego?!...

W rozmowie z synem nie myślał leader o tych wszystkich manewrach i możliwościach. Potężny, nieuświadomiony instynkt, — może ten sam, który w najcięższych chwilach życia partyjnego podsuwał leaderowi zawsze najlepsze wyjścia, czy może jeszcze inny instynkt, rasy, środowiska, rodziny, czy ojcostwa, — wołał w panu Mieniewskim wielkim głosem, iż Stanisław musi rozwiązać swe interesy z Bigdą.

Stanisław przerwał ojcu, wskazując szybko na podwórze: — Niech ojciec patrzy, to chyba Tadeusz?! — Stanisław, jako miop, nie dowidział.

Był to może jeden z powodów większej pobłażliwości ojca dla syna. Pan Mieniewski szczycił się wzrokiem doskonałym i nigdy nie doznawał wrażenia, by mu Stanisław mógł dorównać pod tym względem. Pan Mieniewski, wychyliwszy się przez balustradę, cofnął się czemprędzej, spłoszony i złamany.

— Tak, to Tadeusz, no więc, to już zapóźno, — szepnął, — ach, mój Boże, zapóźno, — teraz się już nie dogadamy z tobą, — to okropne!...

— A cóż w tem znów tak okropnego? — spytał Stanisław poczciwym głosem swojej matki.

Pan Mieniewski z najwyższą niecierpliwością uderzył się po udzie. — To jest okropne! — krzyknął, — a ty nic nie rozumiesz!

Sprawa Banku Robotniczego i Bigdy wydawała coraz dziksze owoce, wnikając już w rodzinne, osobiste życie Mieniewskich?!?

Przywitali się z Tadeuszem w przedpokoju; unikając się wzajem w małym, rodzinnym uścisku, nie patrząc sobie w oczy, a tylko wykrzykując utarte, jeszcze w dzieciństwie przyjęte powitania. Kłamstwo brzmiało w tem wszystkiem.

Kwestja codziennych odruchów, przyzwyczajeń, nawet kwestja wspólnego zapachu, to rzecz w rodzinie każdej podświadoma, a przecież ważna.

Tadeusz pachniał całkiem obcym zapachem kwasów, smarów, czy mleka mieszanego ze spirytusem, — albo może z eterem?... Pachniał już jakby wonią innej przestrzeni i innych dróg i już jakby zapachem innego przeznaczenia... Tak, tak, otóż to właśnie, — te sprawy nieuchwytne!

Mówił — inaczej. Niby przez huk maszyny, za głośno i za śmiało? I ruszał się inaczej. Za szeroko. Jak człowiek z drogi wielkiej, czy też po konnej jeździe, — w rozmachu znacznego utrudzenia. I nowy ton, dotychczas niepraktykowany pośród Mieniewskich: Tadeusz obracał się tu między nimi, jakby z politowaniem, współczuciem, pobłażaniem. Skądże znowu ta litość?...

Ubrany był zupełnie marnie, a ręce miał spękane, spracowane, poprostu chamskie.

I jeszcze jedno, — nowe a żałosne: — wprawione zęby. Błyszczały tak bezczelnie w uśmiechu, jakgdyby wszystek nerw tego człowieka skupił się tu — w owych wprawionych zębach.

Mieniewscy, gdy są we trzech, trzymają zawsze pewien fason. Żeby mieli popękać z ciekawości, — nie odezwie się żaden pierwszy ze swą sprawą. Będą czekali, aż się rzecz sama wyklaruje z dopowiedzeń, domniemań. Z napomnień i półsłówek. Mogą im serca „walić młotem" z niecierpliwości, — żaden pierwszy się nie wyrwie. Tak więc mieli przed sobą teraz, — jak mówił o tem później Tadek do Stanisława, — całą kupę spokoju.

Leader znał dobrze swoich synów, przedewszystkiem więc, poprosił ich do stołu. Niechno podjedzą.

Wikcia usługiwała. Idjotka, — ale trudno już i nie jest to istotne.

Serce ściskało się w leaderze, gdy widział, ile jedzą. Nie przez skąpstwo, — broń Boże, — ale z powodu porównania: jak się odżywia wiek późniejszy, a ile może zjeść wiek młody. Ile i z jakim gustem?!

Coprawda Tadeusz wyglądał na zagłodzonego. Leader zauważył, że chłopak odsuwa z obrzydzeniem masło. Tak to już było między nimi i czasu wielkiej wojny i przedtem, — może zawsze? Wystarczyło jednego gestu syna, ruchu ręką, czy brwiami — i zalewała leadera fala niewyjaśnionej zgoła, niespodzianej czułości. I teraz, znów tak samo, wzruszył się niespodzianie.

O czemże rozmawiali przy wódce i przy szynce, przy wędlinach i jajecznicy i przy torciku domowym i przy serach, — wreszcie przy konfiturach? O ni-

czem. Pletli — tak, byle co, mierząc się spojrzeniami, przerażeni własnem podobieństwem.

Leader patrząc na Tadeusza, dostrzegł w podobieństwie onem, czego był przedtem chyba nigdy nie widział: rysy i sztrychy tak wielkiej drapieżności!

Przeszli do saloniku, usiedli w miękkich krzesłach, pan Mieniewski poczęstował synów papierosami i tu dopiero Tadeusz, zaciągnąwszy się dymem, rzekł nagle:

— Ha! Dobra była kolacja. Człowiek podjadł sobie, jak się patrzy. — Drżało w nim wszystko, od nadmiaru uczuć, dla których nie mógł odnaleźć własnego wyrazu. Zamykał oczy, aby nie patrzeć na ojca, na ten pokój, na bluszcze zielone, spływające z koszyków, na wyfroterowaną starannie podłogę. Przedewszystkiem jednak, aby nie patrzeć na ojca. Widok tej kochanej, tak znakomitej twarzy, wrytej od dzieciństwa w synowskie serce, w sercu synowskiem tak ongiś młodej, dziś już starej, a jednak zawsze tej samej w ukochaniu, — jakoby przeinaczał Tadeuszowi odczucie następstwa czasu...

Oto siedział tu ojciec na bujającym fotelu, a zarazem spływał swą obecnością z wszystkich wspomnień, wszystkich radości i zawodów, stanowiąc nieomal prawo nieustannej równoczesności tylu i tak odmiennych przejść. Nie widzieli się od czasu sądu w Osadzie Górniczej. Lecz podczas rozprawy sądowej nie rozmawiali z sobą. Ostatni raz mówili szczerze, we dwóch, pod strażą pana Kapuścika w brudnym lokaliku sądu grodzkiego Osady.

Zdało się to Tadeuszowi teraz, — wydarzeniem tak wielce dawnem, tak zupełnie minionem! Nie miał

już chyba na sobie ani jednej rzeczy, ani jednego strzępka, ani jednego łacha z owych czasów. Kiedyżto raz ostatni byli ze sobą razem we trzech, dwaj bracia z ojcem? Chyba po wojnie światowej. Potem już się zmieniło tyle. Tadeusz uśmiechnął się do brata, spuścił piekące powieki i rzekł nagle do ojca:

— A co też stało się z tym małym psem z Zagłębia? Pamiętasz? Z tym Burusiem? Nie widzę go tu nigdzie.

— Wielka tragedja, — uśmiechnął się leader Mieniewski. Opowiedział jak przy sztachetach sejmowych pies pana marszałka sejmu Stachowskiego, niejaki Dżim, zagryzł na śmierć nieszczęsnego Burusia. Któremu, — jak z takiego wypadku można chyba wnosić, — nie posłużyła zbytnio Warszawa.

Wzmianka o Burusiu okazała się tym właśnie łatwym, wygodnym pretekstem, z którego wyszedłszy, można się już było „domówić do wszystkiego". Warszawa nie posłużyła Burusiowi, — komu Warszawa może posłużyć wogóle, — jak służy w zakresie zdrowia, a jak w zakresie życia politycznego?

Pan Mieniewski wtajemniczał synów, — bo mam po temu osobiste i ważne powody, — w sytuację polityczną. Stanisław słuchał grzecznie, uważając na wszystkie ustępy, dotyczące walki ze stronnictwem Bigdy. Tadeusz prawie nie słuchał ojca, zajęty wspomnieniami. Kiedyżto był w tym domu po raz ostatni?

Jakby się to działo tysiąc lat temu, gdy zjawił się tu wczesnym rankiem, z kolejowego dworca, obarczony garami Włazolinu i gdy mu pani Chylicka zawołała na przywitanie, przez uchylone drzwi, — czy

to mleko? Dotąd i teraz jeszcze, tu, w tej chwili najdokładniej słyszał intonację jej wysokiego głosu. Ależ tak, właśnie teraz, plotły mu się w pamięci te zwykłe słowa, poprzez okresy ojcowego gadania o Bigdzie.

Jakie śmieszne historje! Ojciec tu wciąż o Bigdzie, o polityce, a tu raz po raz rozlega się pytanie: — czy to mleko, — czy mleko? — czy mleko?!

Puste marzenie, o którem Tadeusz zapomniał był tak dawno, teraz znów natarczywe: — mieć pieniądze, dać je staremu i odczepić się wreszcie. Masz tutaj flotę, masz tu forsę i odejdź, pisz sobie pamiętniki i już nie zawracajmy sobie głowy wzajemnie. Dostajesz forsę, więc możesz się wycofać, nawet bez potrzeby chorowania. Zdało się Tadeuszowi, że powinienby wstać, przerwać ojcu, powiedzieć, — jesteś małoduszny, chodź w synowskie objęcia, zmęczony niedołęgo, popłaczmy sobie razem, — nad czem chcesz, ewentualnie nad twym synem, czyli mną. Żem łotr i zabijaka, a tyś jest ojciec narodu, ofiarnik, — co tam jeszcze?!

Tak się to układała czułość Tadeuszowa w słowach, rzekomo coraz bliższych, twardych słowach męskiej litości.

Szło to przecież po kraju wszędzie, że Mieniewski, tak wielki ongiś leader, mydłkuje teraz, zamknięty ze stron wszystkich, na ślepy tor zagnany. Tadeusz bywał przecież pośród ludzi powszednich, małych, ogromnie uciśnionych. Włóczył się tyle z nimi po prowincji, z pracownikami przeróżnych stanów, zawodów i wszelakiego społecznego umartwienia.

Wszyscy oni czekali, że stary lew zaryczy, za-

huczy, choćby nawet wątłym już ogniem swego serca. Tymczasem lew wyczyniał gesty i sztuczne skoki w próżnię i nie ryczał, lecz kwilił. Szło to po całym kraju, a cóż dopiero pośród mizernych ludzi, z którymi grzebał się w ostatnich czasach Tadeusz z ruiny swojej i takiego upadku.

Pan Mieniewski skończył już perorę swą do synów. Kończył wielce zgorszony i zły na samego siebie. Mówił bowiem o całej sytuacji zapalczywie, czuł jednak wybornie, że nie porywa synów.

— Kraj przeżywa obecnie, — mówił Mieniewski, — ogromne przesilenie, znajduje się poniekąd w okresie przebudowy, nietylko materjalnej, lecz moralnej.

W takim czasie on, poseł musi mieć wolną rękę i musi się czuć całkiem niezależnym w spotkaniu ze swoimi wrogami politycznymi. Główną grę ma rozegrać niebawem, z przeciwnikiem bardzo zimnym, podstępnym, zręcznym a bezwzględnym, mianowicie z przedstawicielem chłopów, — Bigdą. W podobnej chwili, nie jest rzeczą możliwą, by dwaj młodzi Mieniewscy pracowali w instytucjach, czy przedsiębiorstwach tegoż samego Bigdy. Jest to doprawdy niedopuszczalne.

Do tego momentu wieczór trzech Mieniewskich,— gdyby ktoś takiem mianem nazywał wspólną kawalerską kolację, — szedł naogół utartym szlakiem zebrań familijnych. Jedzenie, — wymijające podrywki słowne, — niespodziany ośrodek rozmowy, w postaci nieszczęsnego Burusia, — długa mowa ojcowska, — zgoda słuchaczów, ze względu na wielki walor postaci głównej. Tymczasem dzisiaj; niestety, zgoda nie nastąpiła.

Zdawało się panu Mieniewskiemu, że Stanisław pochyla głowę, aby potwierdzić argumenty ojcowskie.

Stanisław jednak nie potwierdził argumentów,— jął odpowiadać ojcu.

Wynikało z tej odpowiedzi, że skoro Bigda, właściwie mówiąc, ma zwyciężyć, nie należy palić za sobą przedwcześnie mostów. Raczej trzeba iść cicho,— z prądem, — iść sobie z owym Bigdą. —

— Zwyciężyć, — przedwcześnie, — palić mosty, — przedrzeźniał syna leader.

Wtedy wdał się w rozmowę Tadeusz. — No, dobrze, — zaczął.—Powiedział to inaczej, niż się mówi do ojca!! — No, dobrze, — my pracujemy, powiadasz z Bigdą, niby tego owego za jakieś grosze. Jeżeli o mnie chodzi, pracuję istotnie za grosze. No, dobrze. Obojętne, za ile. Już. Ale ty też pracujesz... I to,— jak?! Popierasz firmę „Hart". Czy popierałeś... Niektórzy ludzie wiedzą, chociażby tylko o tem jednem. Może zacznij od siebie? Mówiłem ci to jeszcze w Zagłębiu.

Tadeusz zaczął się śmiać, cichutko i wstydliwie, jak panienka. Czy był w tem fałsz, czy też tylko ironja, histerja, czy też rozpacz bezsilna?... — Wszyscy się żrecie, syczał.—To wiadomo. Dolański, Bigda, Gruszka, Stodorowski, Cynwajs, ty, jacyś tam Stachowscy, Lachowscy i cholera ich wie. Ale ty, zacznij od siebie. — Tadeusz skiksował. Łzy zakręciły mu się w oczach. Łzy idjotycznego wzruszenia. — Powiadam, — podchwycił jeszcze głośniej, zacznij od siebie! — Ach tak, — musiał to powiedzieć staremu, zanadto się kochali chyba, by się ze sobą ceckać.

Ach tak, lepiej się trzymać w łapach tygrysich, ciało sobie wyrywać wzajemnie i w oczy sobie patrzeć.

Pan Mieniewski patrzył synowi w oczy, pełen zdumienia. Przelotne wzruszenie nad ubóstwem ubrania Tadeusza pomyliło leaderowi szyki. Chłopaczysko miał na sobie długie buty, do tego portki materjałowe z pomidorowym odcieniem, kamizelkę czarną a marynarkę granatową. Do tego jeszcze koszula,— żal się Boże, — a krawatka, — tasiemka, nie krawatka.

Taki to syn zbłąkany! Obelgi rzuca ojcu, a ojcu płakać się chce nad marnotrawnym. W tejże chwili zamrowiło się panu Mieniewskiemu w oczach. Krew uderzyła do głowy. Jeszcze chwilę pasował się ze sobą porwany niepojętem uczuciem radości, śmiertelnie bolesnej, — że się tak zmagać musi z tym chłopcem buntowniczym. Chwila jednak minęła, leader stracił panowanie nad sobą.

— Ty, milcz! — wołał. — Każdy inny miałby tu jeszcze może prawo do gadania, ale nie ty. Zawezwałem cię tu właśnie po tak długiej przerwie, razem ze Stasiem, w nadziei —

— W jakiej nadziei?! — Tadeusz patrzył ojcu zuchwale w oczy.

— W nadziei, że uda mi się jeszcze zrobić z ciebie człowieka. Człowieka, — nie mordercę, człowieka, — nie bandytę, — jak dotąd. — Pan Mieniewski zaniósł się nagle szlochem, czy spazmem, czy też tylko rozgłośnem wielce, zgrzytliwem przerażeniem serca. Potem mówił całkiem bezradnie, a z taką pasją

i wściekłością, — o pokoleniu powojennem dzisiejszem, szaleńców, chamów, bandytów.

— Krew i tłuszcz! — Nie mógł się wyswobodzić z tej formuły. — Nóż i rewolwer, życie lekceważone i śmierć zawsze pod ręką. Wy macie zawsze śmierć pod ręką!! — krzyczał wpatrzony w Tadeusza.

Stanisław pobiegł zamknąć drzwi balkonu.

Pan Mieniewski wołał wciąż z taką samą rozpaczą: — Śmierć i tłuszcz! Żadnej pracy!! Byle złapać cobądź, — gdziebądź! I ostatecznie, młody Mieniewski a jakże, — ma się rozumieć, — demon kopalniany, — hajdukiem, bereiterem, czy kłusownikiem ordynacji tego starego kretyna, Lachowskiego,— strzela chłopów, jak kaczki, serwitutantów, — demon kopalniany! Obrońca uścinionych, tragiczny demon kopalniany!!

— Ale nie demon k o p a l n i a k a !!!

Leader Mieniewski zasyczał z dojmującego bólu. Przeleciał w myśli całą tę tranzakcję: — pierwszy kompromis z Deptułą na terenie Zagłębia nie był przecież robiony dla firmy „Hart", chodziło tu o udział policji przy wyborach, aby nie rozbijano socjalistycznych wieców i zebrań. Robił to chyba Drążek. Afera „Hartu" wyłoniła się później, przez kogo, dzięki komu, ależ tak, już ktoś inny traktował w tej sprawie z ramienia Banku Robotniczego. Przedstawiono tę całą rzecz gotową, a potem, — potem nie można było już wyjść z nieszczęsnego „Hartu".

— Nic nie rozumiesz, durniu!

— Ale nie demon kopalniaka! — wrzeszczał Tadeusz. — Ciągle wszystko rozumiem doskonale, bo

to jest przecież ciągle jedno i to samo. Ryczeć ze śmiechu, do jakiego stopnia to samo!

Wstał, szybko podszedł do ojca, raczej podbiegł. Znaleźli się naprzeciw siebie o pół kroku. Tu przed ojcem, niby młody, rozwścieczony goryl, jął się Tadeusz grzmocić pięściami w piersi i krzyczeć z pianiem potwornem:

— Co ty tu gadasz o krwi, czy o morderstwie?! Jak śmiesz?! Pojęcia o tem nie masz! Masz to zorganizowane przecież o wiele wygodniej! Wyczyniasz takie same morderstwa na papierze i nim twój papier dojdzie, ześwini się gdzie trzeba i nim twoja robota zacznie naprawdę śmierdzieć krwią—to ty już nie pamiętasz i nawet nie wiesz o tem!! Leader Mieniewski! Nie gadaj o tem, bo się na tem nic nie rozumiesz. A my, prostota, chamy, obsługa, pracowniki, my się na tem musimy znać!

Tadeusz ze łzami w oczach, pełen obłędnego wzruszenia, nieomal drżący z płaczu i uczuć najwznioślejszej bezrady, — wyciągnął do ojca ramiona: — Cóż?!! Ja morduję skromnie, ubogo, własnoręcznie! Chodź, uściskaj się ze mną... I nic z tego nie mam, no, conajwyżej, — może te zęby sztuczne, com je sobie tak ładnie wstawił u dentysty! Kosztowały cię co, ojciec, te moje zęby?!... A widzisz, ani grosza! Uściskajmy się teraz, skoro ci tak przebaczam ładnie wszystko!

Pan Mieniewski — i to było największem nieszczęściem tego wieczoru, — już-już, kruszył się był wewnętrznie. Ale, czy to z nałogu, czyli też może dla zyskania na czasie, uczynił był jakiś królewsko-par-

lamentarny gest obiema dłońmi. Jakby gest odsuwania kogoś, — wzniosłego oddalania.

Wtedyto padły z ust Tadeusza straszne słowa, które wyrosły murem pomiędzy ojcem i synem: — Takie parlamentarne, komisjonalne mordowanie, jak wasze, to lichota! Nędzota! Twoja parlamentarna ręka nie umywa się do mojej graby zakrwawionej!

Tadeusz krzycząc te słowa, oraz inne, okropne i może nawet nieprzytomne, krzycząc je ustami zlepionemi śliną najboleśniejszych wyrazów, — pchnął pana Mieniewskiego lekko, a jednakże, — jakgdyby wielkim łomem żelaznym: taki cios od onego dotyku uczuł w swem ciele leader Mieniewski.

Pan Mieniewski zachwiał się, Tadeusz z krzykiem, idę już stąd, idę już stąd, — zawrócił szybko ku drzwiom.

Leader wskazał Stanisławowi uchodzącego brata. Więc Stanisław wybiegł coprędzej za Tadeuszem. Szamotali i zatrzymywali się burzliwie w przedpokoju, napatoczyła się tam jeszcze, — ma się rozumieć ta idjotka Wikcia, ale ją jednem machnięciem ręki przerazili i wybiegli na schody.

Dwaj bracia.

Przystanęli w połowie drugiego piętra, pośród rudej jasności lampki elektrycznej, przygnieceni wzajemnym uściskiem do poręczy, nad czarną głębią schodów pochyleni. I tak tu trwali dłuższą chwilę, w wielkiej rozterce uczuć, w niezrozumieniu wzajemnem, a jednak ciepłem postaci braterskich najczulej związani.

Rozpierzchły się w Tadeuszu wszelkie słowa danej okoliczności i wszystko pomyślenie i zaprzestała działać pamięć chwili obecnej. Trzymał się z bratem przez pół i dyszał razem serdecznie nad obojętną ciemnością schodów.

Odżywało dawne wspomnienie najpierwszych godzin pobytu w Zagłębiu. Dążyło ono w przyszłość tajemną, jakoby z wróżbą, której Tadeusz nie mógł zgoła zrozumieć, ale od której mroziła mu się krew w żyłach... Ten dzień jesienny, już tak stary, — wspomnienie pierwszych godzin pobytu w Zagłębiu węglowem!

Jak się tam nagle po ojcowskiem przemówieniu na wiecu narwali na siebie, w jatce mięsnej, z Janem Dusiem, sygnalistą Erazma. Czoło w czoło, oko w oko i tak ramiona wzajemnie przeplecione, — jak

teraz... I taka z tego teraz wróżba przyszłości, — że gdy się z sobą jacyś dwaj ludzie, przyjaciele, czy bracia, raz tak splotą, raz taką chwilę przeżyją, — jeden z owych ludzi, przyjaciel, czy też brat będzie musiał przypłacić to życiem!

Tadeusz porwał Stanisława w jeszcze silniejsze objęcie i znów tak samo czoło o czoło wsparłszy, trwał w wielkim oddechu rozpaczy.

— Uspokój się, — powtarzał Stanisław, — znasz przecież ojca, no, przecież znasz go, — trzeba zawsze połowę odliczyć na jego nerwy, deklamację, na patos —

Tadeusz machał rękami, przeczył gwałtownie głową. Nareszcie zmusił brata do milczenia i znów tak trwali sekund parę, splątani i dyszący niepojętem przyśpieszeniem miłości. Gdy nagle przytuliwszy prawie usta do ucha Stanisława jął opowiadać przerywanym głosem:

— Trzeba pamiętać, że oni mi tam zęby wybili! Rozumiesz to? Po tych wypadkach strzelaniny w ratuszu. Więc język wypadał mi poprostu z gęby. Nie masz pojęcia, ile w swym pysku nosi człowiek języka! Wypadał ci mi na wierzch, z kropelkami cieknącej śliny. Musiałem sobie wstawić zęby. Rozumiesz to? Mam je nareszcie, bracie, nowe nic nie kłapią.

Wziął Stanisława za palec i zastukał nim kilkakroć w swe odsłonięte mostki, — górny i dolny. — Taka to jest historja, — dodał Tadeusz.

Słowa „taka to jest historja" nie wyjaśniały niczego. Stanisław zrozumiał je po swojemu.

— Trzeba było, — łagodził, — napisać do mnie,

no, Tadek, do mnie! Nie czekać, nie przepadać jak kamień w wodę. Albo, choćby napisać do starego?! Napisać: potrzebuję na zęby.

— Nie pisać!! Trzeba było, — żebyście byli o tem sami pomyśleli. — Tadeusz zachłysnął się tak wielkim żalem. — Żebyście byli o tem choć jeden raz pomyśleli!

Stanisławem zatrzęsło ogromne wzruszenie. Odciągnął Tadeusza z nad poręczy i wziął w ramiona i ścisnął wielką siłą spokojnej czułości i powtarzał, wstrzymując łzy: — Masz rację, najzupełniejszą rację.

Jeszcze raz twarze ku sobie przybliżyli. Ujrzawszy poprzez czułość i żałosne wzruszenie pierwszy zarys uśmiechu, puścili się. Znali się doskonale na sobie, jeszcze z czasów dzieciństwa, kiedy zaraz po bitce patrzyli tak na siebie. To samo było teraz i zawsze będzie to samo zrozumienie.

Schodzili więc już nadół powoli, stopień po stopniu, wypowiadając odniechcenia w półmroku najważniejsze i najrzykrzejsze rzeczy, których się trzeba pozbyć najprędzej.

— Rozumiem dobrze wszystko, — cieszył się Stanisław, trącając laską o balaski schodów. — No tak, nie mogłeś chodzić z wywieszonym jęzorem.

— Trzeba było wstawić mostki, to jasne, — ale skąd forsa? Ach, były to historje, powiadam ci. Naraiła mi się nakoniec taka służba, — tak, — no,— bo powiedziałem sobie odrazu, że od starego nie wezmę ani grosza. Służba, — niby wojskowa. W lasach, u Lachowskiego, — dali ci, bracie, forszus, no, i masz uzębienie — a resztę już rozumiesz.

— Ha! — zaśmiał się Tadeusz, — ojciec powiedziałby, że noszę teraz życie człowieka w swoich szczękach, no, niby tego chłopa zastrzelonego. Że mi to życie zgrzytać będzie —

Stanisław przerwał krótko: — Patos!

Przestali o tem mówić. Nietylko, że przestali, lecz sami przyczynili się, iż ta rzecz wstrętna, bolesna rozwiała — w stukotach laski, w potrząsaniu barjerą schodów i w pogłosie dalszego już gadania o czem innem. Wynikło z tego, że poszli, nawet taksówką pojechali do kabaretu, znakomitego teatrzyku z wystawą młodych dziewcząt.

Naprzód tenor wśród kwiatów i różnych elektrycznych poblasków śpiewał o włoskiem słońcu. Niema to, jak braterstwo, — jednocześnie wśród tego śpiewu pochylili się ku sobie i równocześnie rzekli — idjota.

Potem gołe dziewczyny wybiegły w przepaseczkach, z jakimś rozrosłym drabem, baletmistrzem. Tu zwierzył się Stanisław, że ma swoją dziewczynę w Borysławiu, o wiele lepiej zbudowaną, niż te wszystkie, a ogromnie przyjemną. Ma się rozumieć, — dziewczyna z towarzystwa, ale taka morowa!

Oczywiście, — że mowy niema o pieniądzach. Wydaje się jednak forsę, bo nie mają się gdzie spotykać, więc jeżdżą ślipingami, jako małżeństwo. Te ślipingi — kosztują wściekle! Żenić się z nią Stanisław nie będzie, nie pozwoliłby jednak nigdy, by pokazywała się publicznie. Pewna wyłączność dodaje zawsze pieprzu.

— Pieprzu! — wybuchnął śmiechem Tadeusz, myśląc zupełnie co innego. O Lenorze pomyślał. Zawsze podczas muzyki, czy pięknych tańców, takiej niby wystawy, blasku, szumu i kwiatów doznawał poczucia osamotnienia. W osamotnieniu tem zjawiały się jedna po drugiej smutne sprawy Lenory i ona sama wynikała nakoniec w swoich szmatkach kopalnianych, z listem w ręku, który mu dała wówczas... List od ojca, na szerokim papierze sejmowym, — ten list, który czytali później w samolocie za dziesięć groszy wstępu, — przez padający śnieg. Znów to samo wspomnienie, teraz. Ale nie tak burzliwe, — żeby miało Tadeuszowi serce pękać, czy też jakieś tam inne baranie obsesje, jak o tem piszą w powieściach zagranicznych.

Nic podobnego! Najzwyczajniejsze uczucie rozpatrywania tamtej sprawy minionej, jakgdyby to chodziło o całkiem innych ludzi, oraz inną dziewczynę, nie zaś o tę, tak ukochaną ongiś całem sercem. Ongiś, — dawno, — w przeszłości, — w tem co minęło, — co już jest odłożone na zawsze, — pominięte.

Nie mógł już wrócić do sprawy ich obojga odczuciem ukochania. I to było najboleśniejsze, — taka zapora przedziwna, — że owych, tamtych dwojga, jakby wcale nie było! Któż więc byli, cóż to więc byli za jedni, — owi dwoje?! Kim był sam on?

Kimś lepszym, — innym. Jakże dojść do inności owej, oddalonej już coraz bardziej, a wielce upragnionej?! Dojść już nie można, bo śmierć to przedzieliła.

Słuchając Stanisława, nie mógł mu się wydzi-

wić Tadeusz, — że takie głupstwa gada. Ale to nic, pojechali stąd, z kabaretu do kawiarni, na koktail, albo coś podobnego, ewentualnie na herbatę, — aby wciąż jeszcze gadać. Nie widzieli się przecież „zasadniczo" od chwili, — czy pamiętasz bracie, jak nam to błoto chlusnęło z pod kopyt siwków, co to ten powóz kobiety wiózł, dla amerykanina na górę, — amerykanin, — Borysław, — gary z wynalazkami, —

Stanisław uważał, że już niema o wiele więcej gadania o sobie. Niewiele pozostało. I może to jest najlepsze w jego perypetjach, że tak niewiele ma do opowiedzenia. Jest to dowodem, że cały czas zużyty został na życie, nie marnował się w pustce refleksyj i rozmyślań.

Życie Stanisława nosiło jedną naczelną zasadę, obowiązującą we wszystkiem: spokój, spokój i jeszcze raz spokój. Druga zasada wynikająca z pierwszej: nie my robimy życie, lecz ono nas. Z powyższego wynika dewiza trzecia: nie pchać się za bardzo.

— Rozumiesz Tadek? W tem „za bardzo" jest całe morze mojej wygody. Nie pchając się za bardzo, — dewiza czwarta, — nie żałować sobie. Rzecz dość trudna do przeprowadzenia, ale trzeba się tego koniecznie nauczyć. Inaczej zdechniesz, zagnają cię, zaszczują ideami, — ideałami. Pamiętasz Tadek, co stary wygadywał o tak zwanej próbie przedmiotu? Otóż właśnie, — nieprawda! Od przedmiotu zaczynając, dochodzisz do najlepszych wyników. Żeby nasz stary rozumiał logikę przedmiotów, spałbym o niego spokojnie. Ale właśnie tego nie rozu-

mie, zrywa, szarpie i zobaczysz, — nic z tego nie wyjdzie.

Uderzyli pięściami w stół, zaśmiali się do siebie i równocześnie postanowili, — wino! I już dalej gadali gładziej, na doskonałem winku.

— Stary nie rozumie, — ubolewał Stanisław,— logiki przedmiotu, która jest prosta, trzeba jej tylko słuchać, nie wynosić się nad nią. Naprzód ubranie, czyli twój wygląd. Stwierdzić raz na zawsze, że musi się być porządnie przyodzianym. Trzymać się tego całą siłą, — ubranie pociągnie zawsze za sobą inną sprawę, mieszkania. Byle samemu nie przeszkadzać, życie w postaci próżnych ludzi pójdzie na rękę ubraniu i mieszkaniu. Wtedy, — zaczynają się meble. To już, bracie, nie żarty! Bo to jest już nietylko obrastanie w dobytek, ale zarazem obrastanie w porządność. Porządność na tym świecie naszym pomnaża się niejako sama, równorzędnie z powagą dobytku. Byle tylko nie przestawiać kolejności tych rzeczy. Ubranie i mieszkanie, — meble, a po meblach zjawiają się terminy płatności, czyli papiery serjo, pierwsze papiery w życiu ludzkiem. Zaczynasz być symbolem, bracie! — Teraz dopiero przychodzi rzecz społeczna, więc idea współpracy, jakaś koncepcja Bigdy, czy też kogoś innego. — Stanisław westchnął. — Bierzesz, albo nie bierzesz. Bigda, taki, owaki, czyli musisz gdzieś przyrosnąć, przylepić się na dłuższą chwilę...

Stanisław zawstydził się, wpatrzony w smutną twarz Tadeusza. Dodał więc, chcąc złagodzić wrażenie: — A czegóż więcej spodziewać się od życia? I tak wszystko staje się po za świadomością czło-

wieka, po za wolą! Czegóż się możesz więcej spodziewać dla samego siebie? Uśmiechnął się wstydliwie i tak rzewnie, że go brat młodszy leciutkiemi palcami pogłaskał po policzku.

— Po za wolą? Nic po za moją wolą!! — Tadeusz nastroszył się, jak człowiek, który po długich godzinach milczenia wybucha wreszcie. — Nic po za moją wolą! Ja, — w błocie, oberwany, z wybitym pyskiem, bo mi się tak samemu podobało!!!

Po wysłuchaniu Stanisława wpadł Tadeusz w ferwor niespodziewany. Opowiadał bratu, swym amerykańsko-buddystycznym stylem, czego jeszcze nikomu dotąd nie mówił nigdzie.

— Ta cała rzecz nie może i nie powinna być nigdzie notowana w społecznej świadomości. No, — co innego brat. Rozumiesz? Między nami, pomiędzy braćmi, — rzecz pozostaje w biologji, w kosmosie, a nie w społeczeństwie. Społeczeństwo i cała moja sprawa węglowo-społeczna! Punkt wyjścia — gary, punkt dojścia — wybuch na Erazmie. Ja z browningiem na wózkach kopalnianych wśród szalejących ludzi, koni, wśród robotników zdradzanych nieustannie. Ja — nikt, bez żadnej organizacji, ja, do cholery, przeciw ojcu i przeciw wszystkim a tylko z ludźmi, którzy tyle wiedzieli, żem chyba warjat.

Nic więcej. Cały mój posag to trochę smaku wewnętrznego i silna wola, żeby memu smakowi nie robiono krzywdy. I już — i cały gips. Cała sprawa w kopalni — to jeszcze głup-

stwo. Walka. Ale potem, — rozsądzenie całego interesu! Sąd, społeczeństwo, wpływy, osoby, naciski. Wtedy zrozumiałem, że ta sprawa jest taka sama, jak tysiące innych. I niema innych. W każdym człowieku toczy się nurt mojej erazmowskiej sprawy. Wobec powyższego,—uznanie powszechności zjawiska... Wobec powyższego, — pokorna zmiana frontu. Wobec powyższego, — wszystkie moje Martyzele, Supernaki, Szymczyki, wszystkie moje Dusie, to tyle tylko, co sadza, idąca z komina, deszcz z chmury. Człowiek — świętość? Owszem, ale, — ile ludzi, — tyleż świętości! Ba-a-rdzo dużo. Wobec powyższego, gwiżdżę na świętość. Z powyższego duchostanu nabrać się może świństwa w człowieku, — bez miary!...

Owszem, — zgoda na to świństwo. Rozumiesz Stasiu? Demokratyzm tak szczytny, że graniczący z zupełną podłością. Demokratyzm wielkich świętych, krzewicieli, proroków. Po sprawie sądowej: — jeżeli Kostrynie, Coeur'y i tym podobni, są hycle, — to ta sądowa procedura łba ludzkiego, rozmiękczającego najprostsze wydarzenie do stanu bezbarwnej pappki?... Szalona bujda! Po sprawie istnieje już tylko — moja wola. Wszystko inne, zupełnie obojętne. Moja wola, to żyć. Zostać jeszcze na świecie, — nawet z wszelakiem świństwem, czy to cudzem, czy własnem...

Wypuszczenie z więzienia. Uniewinnienie. Nikogo nie chcę widzieć. Idę sobie na miasto. Chyłkiem, w postawionym kołnierzu starego

dusiowego płaszcza. Mury, — domy, — ulice. Już ani prawie śladu tamtych ludzi. Nie bardzo ich szukałem. Mnie też nie tak bardzo szukali. Więc, — nie szukam nikogo. Ani żywego, — ani też umarłego. Ba! Nie widzisz mnie chyba tak odrazu nad czyimś grobem bratnim? Nad mogiłą, — cholera, — co? Tymczasem bardzo zimno. Herbata w herbaciarni. Wogóle głód, — wieczorem cieniutka kolacyjka. Czułem się świetnie, — niby już jako zbrodniarz. Udawanie przed samym sobą. Do tego stopnia, że już tego samego wieczora — utarłem nos palcami. Niby — żem taki zbrodniarz i cham i takie mam instynkty liche. Zresztą bardzo bliska możliwość puchu, wygody, rozkoszy z zaprawą dramatyczną. Domyślasz się: no ta, która zastrzeliła Lenorę. Niby napewno — czeka. Niby, — że romans.

Gazety były pełne tego bajcu. Wszystko jedno, mój Stasiu, ustaliłem, że nie trzeba. Bardzo mało pieniędzy. Grosze. Grosze są święte, gdy ich mało. Późną nocą w knajpie przy drodze całkiem nowe uczucie: — dobrze, że walą w mordę. Że trzymają w więzieniach. I nakładają kajdany. Instytucja więzienia — słuszna. Albowiem dobrze, — że jest bydlę w człowieku. Szacowna rzecz — to bydlę, a nie ów deklamator z łonem rozdartem. Bydlę wie, czego chce, — dokładnie! — Pokusa — upodlenia się, pokusa doszczętnej małości! Doskonale! Zresztą pokusa fałszywa. Nie chodziło o podłość, małość, upodlenie, — ale o pocieszenie.

Ciepło pociechy, przebaczenia, miłe, tkliwe ciepełko. Cóż? Krótko mówiąc, — matka.

Nocny ekspres. W Osadzie Górniczej staje tylko minutę. Nie mam wcale pieniędzy. Chcę jechać do Krakowa, do domu. Rozumiesz, Stasiu?! Chce mi się nagle matki, jak szczeniakowi mleka. Matki mi się chce bardzo, — niby, że syn i matka. Dajmy na to. Ważny bardzo epizod na dworcu. Matkę chcę widzieć zaraz, — nie mam wcale pieniędzy. Tak potrzebuję matki, żebym ci policjanta zaraz w rękę całował, by mnie puścił na peron. Człowiek — stworzenie jest złożone. Bardzo trzeba pamiętać, jak dalece złożone. — A tu nadjeżdża właśnie jakiś Kostryń wystawnym samochodem. Jak ty, kiedy się już dorobisz z Bigdy na swych bruttach. Unikaj wtedy oberwańców. Zajeżdża sobie Kostryń jakiś, bo cóż, innych nie liczę, pieszych gości, którzy lezą z kuferkami w zębach. Bieda tylko bogactwo liczy. Kostryń wysiada. Wysiadł, kołnierz futrzany nastawił sztorcem, idzie do poczekalni. Nawet się nie ogląda, co się za nim dzieje. Za nim wszystko musi się samo dziać posłusznie, Szofer zamyka auto i chce wynieść kuferki. Ba, — ale moja wola! Żyję przecież wśród świństwa, zgodziłem się — i kocham matkę nagle. Zbliżam się do szofera, ale, — jak się zbliżam?! — Zbliża się w paltocinie po moim przyjacielu Dusiu — chłód i głód, — zakończony moją przykładną pięścią. Pamiętaj, — głód bezzębny! Język pluszcze mi w pysku, powiadam ci,—jak stary karp w mied-

nicy. Groźnie! Oddać walizki, — mówię. — Odniosę, to zarobię. Szofer — nie. Jeszczem nic nie powiedział a już, — jakbym go kopnął w brzuch. Walizki oddał, uchyliłem czapczyny. No, — nie mam peronówki. Ale co?! Nie puściliby z takiemi walizkami dyrektorskiemi?! — Stoję ci z walizkami na peronie, śnieżek sobie z deszczykiem — tego. Wiesz o czem wtedy myślę? O swojem bohaterstwie myślę, jak to trwałem kiedyś tam noce całe w okopie, przy karabinie maszynowym, na obserwacyjnych punktach, dzielny artylerzysta. I z tych wspomnień idzie mi smak nowego, — cholera — potwornego posłuszeństwa. Smakuje mi to w wybitym pysku doskonałą pokorą. No, — to dobrze, będzie coś praktycznego z tego!

Więc stoję przy walizkach tego jakiegoś Coeur'a, czy Kostrynia. Czy też innego węglowego, czy hutniczego, czy cynowego byka. Mlamlę sobie w duszy, — jak mnie tu widzisz żywego, — bohaterskie wspomnienia, a tu jeszcze płaszcz po nieboszczyku Dusiu z siebie zdejmuję, — owszem, — i nakrywam tym płaszczem walizki tego drania, hrabiego-dyrektora. A cóż tam taka świnia wiezie w takich walizkach? Złodziejstwo, prezerwatywy i jedwabne gacie na swe nędzne giczały... Ale nakrywam, pieszczę własnym płaszczem, — taki ci jestem, Stasiu, — Paweł, czy Szaweł walizkowy. — Widzisz mnie w tym momencie — szczegółowo. Dobrze. Pociąg zajechał, kurjer wielce międzynarodowy, furknął tylko i stoi. Portki gubię po

drodze, ale ci lecę z temi walizkami, lecę, przeklinam i modlę się zarazem do tej tłustej kanalji.

Wsiadł se do pierwszej klasy. Walizki założyłem, żeby mu siedzenie w stronę jazdy wypadło i powiadam, — Staszek, słuchaj, co mu powiadam. Powiadam ci mu nagle z czapką w ręku — o, panie dyrektorze moja matka już kona... Nie mamy na lekarstwo!... I niby wcale nie czekam już na datek i niby już odchodzę. — Czy wiesz? Dał mi — całych dwadzieścia złotych. Wyszedłem i rozumiesz — moja matka, — dwadzieścia złotych od takiego Kostrynia, — nowa era, mój bracie... Więc starczyło na bilet, oczywiście! Ale spać teraz strasznie chcę i pić. Niema gdzie usiąść. Wszystko pozajmowane. A tu pić, a tu iskry za szybą z lokomotywy, — niby jeszcze z dzieciństwa pamiętane, tak jakoś czule i czarownie. Przechodzę wagonami, dalej pluszowe, pozłacane niebo: — śliping. — Może ten sam w którym ty jeździsz ze swą dziewczyną z towarzystwa. Nie mam ci za złe. Niebo istne: zielony plusz i wyzłocone klamki. Wszedłem, wagon otwarty, więc dąże do klozetu, żeby se tam posiedzieć, tak, poprostu posiedzieć. Zamknięty. Nadchodzi konduktor wagonowy. Powiadam: ma pan pewno herbatę? Herbatę ma. Usiadłem sobie na pufie konduktorskim, fagas daje ci mi herbatę, ja ją piję i wiesz, co robię? Piję i płacę i bardzo wielbię niesprawiedliwość świata. Że to jest takie szczęście, bo wkońcu każdy dojdzie do tej sklaneczki tej byle jakiej wody, czy tą wodą

będą pomyje, czy co, czy śmierć, czy tylko podłość, — to wkońcu wszystko jedno.

Dom rodzicielski: — takie jest moje szczęście, że przychodzę wszędzie za wcześnie. Tak nas przywiózł ten pociąg znowu. Moje kroki do domu rodzinnego. Szkoda każdego słowa, bo żeby ci to nawet nic nie było, — będzie zawsze bardzo wiele. Więc, że tu czeka matka... Padli sobie w objęcia biedny syn z ukochaną matką. Tak sobie wyobrażam. A przytem materjalizm: że matka nie wytrzyma i zaraz zęby mi zafunduje. Myślałem o tem aż do pomnika Mickiewicza. A potem — nawet nie to. Tylko chęć odpoczynku. I powrotu zupełnego. Bo jeżeli na serjo, — wraca człowiek w swem życiu tylko, tylko do matki. We wszystkich innych wypadkach nie wracasz nigdy, a tylko maszerujesz nieustannie naprzód. — Kamienie, domy, ulice, drzewa, klomby krakowskie — szkoda mówić— kurtyna!!

Sam dom: — błogosławiony zapach starej klatki schodowej, nasza, bracie, tabliczka na drzwiach, jeszcze z przed lat dwudziestu, czy trzydziestu. Tabliczka i c h młodości. Dzwonię,— niema nikogo. No więc dzwonię raz jeszcze. Nic. Do stróża. Stróż mi powiada — ady pani wyszła, jak zawsze na ranne nabożeństwo. Tu zaraz przecie, do klasztoru Felicjanek. Siadam na schodach, przed drzwiami. Czekam. Czekam. Co się śmiejesz? Czekam ci tutaj, bracie, — jak pamiętasz, — że ongiś czekali na tych schodach towarzysze z prowincji. Na ojca. Jednemu kie-

dyś dałem chleba z masłem to mnie sklął, — że nie jest żebrakiem. Czekam ci teraz ja sam, osobiście i zasnąłem.

Budzi mnie ferwor matczynego przywitania. Fala ciepłoty i — powiem, — święty nonsens tej miłości. Wzruszenie, połączone z udręczeniem. Rzecz okropna, to widok postępów starości w rodzicach. Rozpłynęliśmy się w tej chwili oboje czułością, która już nie prowadzi nigdzie. Beznadziejna i niecierpliwa z całkowitej bezrady. A meble! Łóżka! Przedmioty, — lustra,—kąty!—Moje stare mundury, krzyże, upięte na dywaniku kaszmirowym w salonie. Portrety ojca! Ale to jeszcze głupstwo... Portrety ich obojga, gdy jeszcze byli młodzi.

— Znam to wszystko, — jęknął Stanisław.

— Nie znasz. Niech ci rozbiją mordę, postrzelaj trochę przedtem do ludzi, — potem sąd i protekcje, — interpretacja faktu, — a potem wróć do domu i dopiero się przypatrz i powiedz,—znam! Portrety, wydęte kurzem uroczystym, jakimś żałosnym dymem,—a oni tacy dumni z tego dymu i z siebie... Tutaj dopiero, rozstanie z moją wielką miłością. Jaką? Sam wiesz, z przewodu sądowego. Nibyto przez prowokację zastrzelona ta dziewczyna, no, — robotnica. Oczywiście, — nieprawda! Zastrzeliła ją tamta, Zuzanna Kostryniówna. Już raz dałem przerwać ten front, podczas rozprawy sądowej. Co będę walczył o nieżywych! Niby, że co, — że sprawiedliwość?! Będę się o to darł?... A tu w domu opuściłem ten front, prawie z lubością. Nie

rozumiesz lubości takiej? No, toś głupi. Opuściłem całą sprawę Lenory. Sprawa leci, zarasta, narasta na tem wszystkiem jakieś dziwaczne zielsko — a ja siedzę i czekam — i nic. Niechże to sobie leci — powiadam, — niech się obraca ze wszystkiem innem razem, — bo trup, jest trup, — jest już na tamtej stronie.

Może nad nim zagrać muzyka, może oddawać salwy półbataljon, — przepadło. Tegośmy się dokładnie wyuczyli, a było zresztą kiedy... Więc przenoszę sprawę Lenory na rachunek bieżącego świństwa, które jest mojem życiem potocznem, a odczuwanie moje—to będzie mój prywatny interes.

Łażę i patrzę na powiększone fotosy naszych starych i — powiadam ci, — cieszę się nader współcześnie: mybyśmy się też wkońcu zużyli tak z Lenorą. Więc dobrze, że zginęła,— choć tak ją widzę teraz, — jakże ci to powiedzieć, — przez wszystkie moje kości, tak zupełnie, — tak zawsze! A co czuję w tych kościach: — jak ją widziałem, pierwszy raz, na odkrywce, przed wielką ścianą skały, jak ci dziewczyna ta, niby oszalała, leci ku onym skałom, które wybuchnąć mają, a ona leci, żeby mi się pokazać z ogromnego porywu miłości — w takiej pogardzie śmierci. — A teraz w naszym domu jem spokojnie obiady i cieszę się — mówię ci, że się cieszę, że Lenorę zabili. I tak się to pogłębia: — żrę spokojnie obiady, na legominę kompot, a w sobie, nie cofam się przed niczem. Przywołuję tych wszystkich bub-

ków, z amerykańską dosłownością, proszę bardzo! Naprzykład ja, niosący walizki do pociągu i ów Szymczyk, nieszczęsny palacz z wodnistemi palcami, Martyzel, czy Lenora, poznajmy się, kochani państwo jeszcze raz od początku.

Poznaję się z wszystkiem jeszcze raz od początku, i powiadam ci, — serce mi pęka z żałości na ich widok a równocześnie, — wzruszam już ramionami. — Tylko jedna rzecz, dziwna nieco: — im bardziej uznaję, że wszystko stało się bardzo dobrze, a nawet doskonale i wybornie, tem mi jest gorzej osobiście i wytrzymać nie mogę. Stan wewnętrznego wycia. Rozumiesz to!?

Matka daje mi jeść, ceruje, szyje, nie bardzo jest tak znowu wiele do tego cerowania. Trzebaby kupić nowe, — choć trochę jakichś gaci, czy koszule? Coś się znowu przerabia, — odwieczne przerabianie z niczego — czegoś, z najdziwaczniejszych łachów moich wojskowych, dawnych ma znów powstać garnitur, — nowy cywil! I tu znów objawienie szczególne, mój bracie. Na widok starych portek wojskowych. Nie tyle portek, ile, gdy sięgnąłem do ich kieszeni. W kruszkach zetlałych, na pół już rozmiędlony, skruszały kawałek starego żołnierskiego chleba. To jest mój los i niby jestem, — taki tam zapomniany okruch. Wiem, — kretynizm. — Już. — Dalej.

Pewnego popołudnia zwracam się nagle do matki bez powodu. Po naszemu, — z niespo-

dziewanym ciosem... Właśnie coś szyła. Mamo,— powiadam,—mamo, przyjechałem właściwie, aby mi mama sprawiła nowe zęby. Bo chyba widzi mama, że tamtych, m o i c h nie mam. Dwa mostki są potrzebne, — jak mur.

Nie wiedziała, że to się stało. Nie dowidzi. Pokaż-że, co się stało, syneczku? Spłakaliśmy się, jak żubry, nad całą sprawą zębów. Płakałem koncertowo, — jak ostatnia kanalja. Kiedy już matka zobaczyła tę sprawę, zaczyna szukać forsy. Nie ma. Bo skąd? Więc zbiera różne graty do lombardu, — koszyk srebrny, co stoi zawsze pod lustrem i wielką tacę srebrną, śniadaniową, naturalnie obrączki ślubne. — To nic. Ale powtarza ciągle, — ty miałeś przecież takie śliczne zęby. Ładniejsze, niż Stanisław. Nie mogłem znieść tych biadań, przy ówczesnej czułości mojej na tę kwestję. Zastawiliśmy srebrną tacę śniadaniową, ale nie wziąłem forsy. Tyle, ile na bilet. A wiesz, że takie mosty, — to gruby ciężki pieniąch. I zwiałem do Warszawy. — Ładne miasto, bo wielkie. Masz poczucie, że jeśli cię tu nabijają w butlę, mój Stasiu, to cię nabiją przynajmniej dokumentnie. Dokąd mam się więc udać teraz, po łaskawem swojem przybyciu do Warszawy? Nie do starego, — nikdy!

Ja ci powiadam, że nasz stary skręci kark na tym Bigdzie. Bo Bigda zdrowszy i cham o wiele większy. Warszawa. Doskonale. Kieruję moje kroki do Związku dawnych Obrońców Ojczyzny. Żołnierzy, — mówiąc całkiem poprostu.

My, wojaki, krew z krwi i kości i niebotyczna ściana bohaterskich piersi.

Nasz Związek: — brudno, ciemno, koledzy zaraz wietrzą, — żeś złodziej. Tak się widać układa, że jeśliś był na wojnie, — człowiekiem klasa, — toś w pokojowym czasie — złodziej. Do tego jeszcze papierów wymagają. Niczem u notarjusza: wpisali cię, upokorzyli, zwymyślali a teraz bracie, czekaj. Jak się czujesz? Jak kuchta w biurze stręczenia sług. Łazimy tędy, siędy, łazimy, takie tam bezrobotne bohatery. Posyłają ci nas, czcigodnych kosynierów to do banku, to znów do monopolów. Jedno widzę, — że woźny, to będzie dla mnie szczyt, już chyba nigdy w życiu niedościgły. Jaką ci bluzę ma ten woźny, jakie ordery, jaką bluzę, jak wyczyszczone buty! A tu powiada jeden kawalerzysta, że w ordynacji lachowskiej szukają ludzi pewnych do konnego oddziału, niby do jakiejś straży, czy też kontroli? W ordynacji lachowskiej, do lasów wielkich, które chłopi bezkarnie trzebią. Należy tam porządek trzymać, patrolować, służba jest konna, konia ci dają i broń. I coś o pozwoleniu, że ci dają broń krótką, aleś ty jest rezerwa, wolno ci jest mieć długą, chociażby karabiny. Nawet mają jakieś mundury swoje. Podobno — piękne. Szlacheckie i stylowe.

Powiadam, — nie mundury żadne, ale hrabską liberję, a on powiada, że taki mundur, czy siaki wszystko jedno zawsze liberja jest i nic innego. I dodaje, filozof, — żołnierska wolność

musi się czuć na służbie, innej wolności niema. A tu we mnie pokory, jak ci mówiłem, — co niemiara. Więc mu mówię, — masz pan rację, rotmistrzu. Było, nie było! Następuje umowa. Powiadam, — owszem, ja podpiszę, do waszej lachowskiej legji cudzoziemskiej, — dlaczego nie? Ale forsę powinniście dać naprzód. Powód, — duchostan, — oraz uzębienie.

Dali forsę. Siedzi teraz nareszcie u dentysty. Za „moją krew" sprzedaną bierzemy teraz miarę z cieplutkiego kauczuku, kapsle złote, filarki przyszłych mostków szykujemy — i cieszę się. Nietylko z umeblowania gęby, — widzisz ja też mebluję na swój sposób. Ale cieszę się teraz, bo mam mistyczną myśl. Siedzę z otwartą gębą, ślina mi spływa w blaszany podbródek, a równocześnie wspominam chwilę, kiedy mi moje zęby wybijali i powiadam sobie rozsądnie w duchu: — tutaj zakłada się zęby Tadziowi Mieniewskiemu z dwóch powodów zapewne! Żeby w tych zębach trzymał nałożoną uzdę, albo też, żeby mógł znów niemi pogryźć. Rozumiesz mnie?

Myśl jest prosta, wytworna, jeszcze nierozstrzygnięta. Zęby gotowe. Czuję się znacznie lepiej fizycznie i duchowo, oraz także pod względem urody. Przedewszystkiem duchowo, — wiem, co mam robić z wolnością. Istotą wszelkiej wolności, aby była na służbie. A moja już sprzedana nawet, więc śmiało można żyć.

Czuję się wynajętym, kwarcianym i na żołdzie. Doskonałe kontrasty, — wszystkiego trze-

ba zaznać. Wtedy dopiero będzie kompletny człowiek. Wielkie pijaństwo kompletnego człowieka w Warszawie.

I znowu ranny przyjazd do Lachowa. Zawsze takie przyjazdy — rano. Pociągi dla ubogich chodzą i przyjeżdżają zawsze w niemiłym czasie. Świt. Szara okolica płynie pod mętnem niebem, z którego leci ziąb. Sześciu nas przyjechało, sztrabancli, ale powiadają, — wszyscy same szlachcice. Zdaleka widać miasto Lachów, szanowne i odwieczne, bardzo, bardzo hetmańskie, ze stacji się dojeżdża parę kilometrów. Zdaleka widać wieże. Popiliśmy na wstępie przy bufecie stacyjnym z jakowymś delegatem. Przewąchuję po drodze i w gadaniu z tymi bubkami, — jakąś konfederację. Tylko, że nie wiem wcale przeciw komu i co? Coś niby jakieś siły ukryte, oraz naród, oraz, ma się rozumieć — pogotowie. Pogotowie prywatne, zaprzysiężone niby na jakiś naród i coś tam jeszcze dochodzi do tego przeciwko socjalistom, masonom, nihilistom, jakaś kabała wielka z sejmem oraz z marszałkiem, czyli naszym Stachowskim. A ojciec mówił zawsze, że to tylko idjota?!

O konfederacji mnie nie mówili nic wyraźniejszego, bom Mieniewski. Oświadczyłem, ma się rozumieć, żem wcale nie z tych samych, całkiem innych, ale i tak nazwisko nasze śmierdzi tym ludziom i zawsze śmierdzieć będzie No więc jesteśmy, nibyto pańskie wojsko. Na stacji sznaps. Mówiłem już. Potem bryczuszkami do miasta. Miasto, powiadam ci, ten La-

chów, cudo na błocie, korona brylantowa na gnoju położona, — takie architektury, taka przeszłość, takie przepiękne rzeźby i zaułki, cholera, prastarość wielkoduszna, zresztą powiedzmy szczerze, zewsząd w łajnie tonąca.

Czegom tu zaznał na wstępie, prócz wódeczki? Mogę powiedzieć, że dziś, wszelkie mądrości duszy narodu i społeczeństwa, — mam gdzieś. To fakt. Ale doznałem w Lachowie, w przeciągu paru godzin — smaku naszej polskości dawnej. — Straszne, straszne, — rozpalonem żelazem wypalać!! Bryczuszki i wolanty i pałace i ceremonjał i tradycja nibyto a tymczasem wszystko to bez wychodków, — fajda się na podwórzu pod płotem, nieomal pod nagrobkiem wielkiego bohatera. Kopię to wszystko psychicznie w brzuch, — nie warto mówić!

Obiad na dole w hotelu z panem administratorem ordynacji lachowskiej. Pan Wrona, herbu Sas, — Sas młodszy. Inny to styl od stylu przemysłowców, o — bardzo inny, bracie. Tam jest stalowa zwięzłość, telegraficzna wyrazistość, no i zbrodnia masowa. A tu na świeżem powietrzu głodeczek długotrwały, w modlitwach i całowaniu rączek pańskich, które biją po mordzie, by utrzymać ciągłość tradycji...

Administrator ordynacji, niby stary Poloniusz z Hamleta. Z pewnością lizus, skomplikowany hycel na herbowych zawiasach, — na pysku ma to żywcem wypisane. Pan Wrona, herbu Sas. Oczy ma szare, mętne, jak plwociny, nochal całkiem sflaczały, gęba również. Pur-

chawka, patrząca plwocinami. A znów ręce, delikatniuśkie, w pamiątkowych pierścieniach powstańczych i nabożnych. — Rozumiesz chyba, że się zalałem w tym Lachowie już od samego rana. Bo czuję w tem mieście, jakąś podłość specjalną, rodową, powiadam ci, — odwieczną, przyswojoną od wieków, tak wstrętną, — że aż miłą. Polega ona na tem, — że czuję się szlachcicem. To fakt! Wytęż swoją fantazję, — tłumaczyć ci nie będę.

Ta purchawka, to główny tu, miejscowy plenipotent hrabiego Lachowskiego. Lachowskiego samego nie widzisz nigdzie. Tylko czujesz go wszędzie, unosi się w powietrzu wieścią, legendą, jakiemś dziwactwem, czy warjactwami, którym wszyscy współczują i wszyscy podziwiają.

Źremy obiad w hotelu, nadzwyczaj uroczyście, obok siedzi znana mi morda, — kto?! Starosta, przytem dawny dowódca mojej baterji. Pogadaliśmy z sobą na marginesie, — dwa słowa. Że nic, — upadek i nikczemność. On ci tu starostuje, lecz nic nie znaczy, pierwszy lepszy ekonom z ordynacji więcej ma do gadania. — A ja znów chwalę się, że jadę na hajduka, a on znów, że to przecież konfederacja istna, a ja, żeby nie mówił, żem z tych samych Mieniewskich, bo tak mi się układa — i szlus.

Obiad jużeśmy zjedli. Z aluzjami w kierunku polityki, że niby pogotowie — Bóg, honor i Ojczyzna. Która, komu i na co? No, — i jestem na służbie. — Kwaterę mamy w samym

zarządzie dóbr. Jeśliś tego nie widział, to sobie nie wyobrazisz tego wszystkiego tak od ręki. Niby ogromny folwark, czy też extra-miasteczko z kasynem, z hotelikiem, z kościółkiem, z archiwami, z zarządami, pod bokiem własna stacja kolejowa.

Ludzie wszędzie ciągle spłoszeni, podlizują się jedni drugim jakoś z waszecia, wszystko w imieniu hrabiego-ordynata. I warczą i donoszą i kradną i nudzą się, nie robią nic i rzygać się im chce z niezdarnej nienawiści. — Ale ja przecie teraz jestem — człowiek kompletny! Dla mnie istnieje tylko praca i służba. Konik już jest i niezły. Jeździmy po rejonach i działkach i wyrębach. Lasy — do końca świata. Dyrektor całego leśnictwa, głupie bydlę, nic nie rozumie a tu o drzewo walka z chłopami, no, — powiadam ci, wojna! — Ja, jak zawsze, rozumiesz? Nic mnie to nie obchodzi, ale muszę się znaleźć, jak zawsze, na krawędzi takiego garnka, w którym właśnie już kipi. Przedtem w Osadzie a teraz tu w Lachowie.

Nie w miasteczku Lachowie, ale pod rezydencją hrabiego, w samych Lachowicach. Och, Lachowice, Lachowice, — powiadam ci! — Przecudny zamek, objeżdżałem konno, ileż razy! Skarpy, wykusze, wzniosłość kamienna wszerz ziemi rozłożona, a piętrem i ozdobą wyniesiona ku niebu. Na samym zaś frontonie herby hrabiów Lachowskich, gruzeł straszny, ciemna brodawa marmurowa. — Wszystko to stoi sobie na pagórku rozległym, widok mają

stamtąd na wszystkie swoje ziemie, a jakie drzewa, jaki park. Kiedy dokoła gołość, nędza,— oni tam drzewa mają odwieczne, więc gdy u ludzi dmucha, piszczy i wyje wiatr, to tam jest złagodzony i ciągnie aksamitem najzacniejszego szumu. Rozumiesz mnie?

Dalej!

Nikt tam w parku nie bywa, nikt nie chodzi do zamku, nikt nie przestąpi progu, bo otoczone jest to wszystko powagą i powiedziałbym, — dziwnem poczuciem świętości. Że to niby Lachowski chory, — wątroba, kiszki, nerki, — że jest zdenerwowany! Chodzi i ptaszki strzela i bażanty wygania, to znów króliki płoszy i do nich bije. Niby, że wiecznie ćwiczy się w strzelaniu.

Naród wokoło przymiera głodem, zdycha, ale ludzie opowiadają sobie z ogromnem nabożeństwem, po ile hrabiemu wypadła tego roku para hollandów, bo przecież kupić mógł tylko dwie, nie może jednej takiej strzelby kupić, — idjoto, — drugą służący trzyma mu w pogotowiu, więc ile hrabia wydał na tę parę swych strzelb, — piętnaście, czy dwadzieścia tysięcy?! — Naród przymiera głodem, ale się modli z żałosnem nabożeństwem do warjactw tych znarowionych cymbałów, którzy, jak skisłe ekscelencje cesarskiego wojska, nie pokazują się, siedzą w ukryciu i taki podziw marny dla siebie hodują.

Taki ogromny podziw, że nawet mnie, obijaczowi wielkiej wojny, wydało się przez chwilę, żebym dużo dał za to, bym się mógł przespać

z panią hrabiną Lachowską, gdym ją po raz pierwszy zobaczył w powozie; a niby cóż, rozumiesz, — babina już stara, — jakież tu mogłoby być porównanie z którąkolwiek rzepiastą dziwką, jakich dziesiątki, setki, kręci się wszędzie po wsiach?!... Ale niby, że to hrabina, wieki wieczne, oraz tradycja, możesz sobie pomyśleć,—z samą historją poszedłeś spać do łóżka! Takie niby sugestje. No, dosyć tego, jazda dalej! Naród wkoło otruty, oszalały, nic rozumieć nie możesz, tak już to zło zakisło, skwasiło się, zgorzkniało. Aż pali wkoło ziemia, pali, wije się, zżyma tą sprawą ludzką.

Co się tu porobiło?! Nic! Tylko, jak założyli kiedyś najlepsze swoje prawo Lachowscy, tak dotąd pozostało, przyklepane świętościami tradycji. Ty mi tu gadasz o ubraniu, mieszkaniu, o rozmaitych Bigdach, a ja ci na to mówię, — świat trzeba ciągle burzyć, kopać, mordować, bo jak nie, zostawić w spokoju?!... Spokój ów będzie gorszy od najgorszej cholery i mówię ci, — niema śmiertelniejszej choroby od ludzkiego spokoju!!

Co się tu porobiło za pięćset lat spokoju! Za pięćset, czy za czterysta, trzysta, — wszystko jedno! Jesteś w prawdziwem piekle. Bo sama ordynacja choć z niej kradną i żyją i byczą się i bzdurzą, to i tak jeszcze, oprócz, że pokradana bezczelnie, — i tak jeszcze kalkulacyjnie, to jest z punktu widzenia gospodarskiej kalkulacji,— zdycha. Podatków nie wypłaca, obszarów swoich objąć już nie może, jakieś przemysły stawia ci

tam ten Strzęgorz, a znów chłopi, że się dzielili przez setki lat, — siedzą ci na kosmyczkach ziemi. Ale mają jakieś tam dnie ugajne, stare, jeszcze hetmańskie z prawem na drzewo, ale znów teraz te serwituty już się kończą, ordynacja kogoś tam niby nadziela ziemią, sprzedaje chłopom, ale tu znowu sfory parcelantów i hycli, pośredników i pomagierów. A tu jeszcze dzierżawcy, też nędzarze, a tu znowu fornale, serwitutanci, chałupnicy, wszyscy od dołu aż od samej podstawy kradną, a na tej górze złodziejstwa w promieniu dwustu tysięcy hektarów śpi sobie snem odwiecznym August hrabia Lachowski, zalegający ze wszystkiemi podatkami.

Jeżdżę tu po tych lasach, ziemiach, odbywam rundy parszywe, na tom się trudził, Stasiu, przy wielkiej wojnie świata. Po tych lasach jeżdżę, — skromna konna pokora, odziana w stary kożuszek honwedzki i tropię teraz nie węglowych, lecz ziemskich, rolnych Martyzelów, Szymczyków, Dusiów.

Owo tropienie związane będzie w mem poczuciu na zawsze z miłym zapachem konia. Zapach konia, zapach rycerski a zarazem przyrody żywej i milczącej. Nie mogę tego słowami wypowiedzieć. Jakby w owym zapachu była jakaś najistotniejsza prawda, obojętna na wszystko.

Chłopi kradną, rabują, przytem zdychają z głodu. Na dnie tych chłopskich łajdactw leży jednak przewrotna wola pańska, — ordynacka. My są stare wojaki, więc umiemy podjeżdżać. Jak zdybię na rabunku, — no, to walę chłopi-

nę. Ręka mi drży od tego i serce skacze w piersiach, — jakby z dołka do dołka. — Ile tych dołków ma człowiek w swoich piersiach?! Biję batem po plecach, po łbie, a tak, a tak, bracie, uczciwie tu odrabiam swoje mostki wstawione! Najprzód koniem zajeżdżam, chytre chłopiny — w nogi. Ja z konia: — stać, bo strzelam! No, więc chłopy czekają. Wtedy już jestem, bracie, blisko i harapem przez plecy, albo po łbie, — pieścić się nikt nie będzie.

Biję ich za ich nędzę, — nie możesz sobie wyobrazić, jakie to jest uczucie, — rozumne. Dobrze, że jest w człowieku bydlę! Widzisz te nędzne łapska ludzkie uniesione nad głową, w górę,—zasłaniające siwy łeb, wystraszony, ale ty bijesz, a on krzyczy i płacze, a ty bijesz i taka wielka pokora tak ci słodko nadzwyczaj smakuje w suchym pysku./ Wyrabiasz się tu doskonale i doświadczasz: — niby ja ci go tu zgóry ściągam harapem a równocześnie coś mi z ukrycia mówi, — że to dobrze, gdyż wszyscy jesteśmy bydlęta. A znów z tego powodu, że biję, — coś się we mnie głęboko porusza, jakby znów o krok naprzód, niby w kierunku do jakiegoś zrozumienia, czy co czy jak?... Do jakiegoż to zrozumienia mam dojść przez walenie, wcale nie w mojej sprawie, lecz nawet w cudzym interesie obrzydłego przeżytku? A przecież widzę, że na końcu tego wszystkiego oczekuje mnie gorąca, tak rozpalona prawda, — tylko boję się spojrzeć w jej płomień straszliwy. Jaka prawda?.. Rządzenia?!... Jak uważasz?...

Wyobraź sobie, że spojrzałem nareszcie w tę prawdę, która ma dwa oblicza. Tylko dowiedz się z łaski swojej, że na to jest właśnie śmierć potrzebna. No, zresztą, — obojętne. My za nich, a chłopkowie wzięli się oczywiście za nas. Jednego naszego poturbowali już, coś mu odbili w środku, wątrobę czy śledzionę. Pan Wrona herbu Sas, ale Sas młodszy, czyli wedle herbarza lepszy zafundował leczenie gratisowe naszemu rannemu, potem zaś chłopca — won! A tu pogoda — psia! Już ma być wiosna, ale z tych lasów, nim się zima otrząśnie! Już ma być wiosna i już parę dni była, — teraz rozkisło wszystko i przyszły znowu śniegi, zawieja i ciemności.

Jadę tym razem w nocy, — spokojnie. Nagle dostaję strzał, — w zaroślach się gotuje, — komedja! Wołam — stać, — mieliśmy przecie karabinki, — wołam stać. Srzelają do mnie z boku, a ja, rozumiesz, nic, — tylko jasnowidzenie jakieś cholerne, — żeby tam właśnie bić, w większe piętno ciemności na przydrożnym dębczaku skupione! — Niby noc, niby księżyc i niby widzisz, a jednak nic nie widzisz, tylko ten śnieg i chmury. Więc poprostu, z konia, strzelam sobie spokojnie w owe piętno ciemności. A to nie piętno, bracie, ale człowiek jakiś. Marny chłopek, szaroburo odziany, jak chłopek! Katula się i jęczy, woła i spada po gałęziach, ale powiedziałbyś, że śpiewa podczas tego, z takiem rzewnem wzruszeniem. Tymczasem pośród olch i brzózek zwiędłych — szust, szust, jacyś tam inni uciekają, — bardzo to jest ciekawe: w gałęziach słyszę ło·

mot ucieczki, a tu pod drzewem już trwa ów jęk łagodny i czuły, że aż chyba przyjemny!?...

Ku temu drzewu zbliżają się moje miarowe kroki i kroki mego konia. No i teraz jesteśmy tutaj. On leży pod dębczakiem, nieszczęsny chłopowina i woła, — panie, panie! A ja znów — staję nad nim. — Przykucnąłem, przykląkłem. Koń cicho dzwoni uzdą. Dalej,—odwilż się klei i topi pośród głuchych zagajników. Na prawo mamy przydrożny rów, a za tym rowem prosta szarzyzna szosy. — Nie jest to widok żaden, ale żadności tej już nigdy w życiu nie zapomnę. Ręce mu podłożyłem, temu chłopkowi, pod plecy,— poczułbyś tak naprzykład!... Śnieg pada dalej,— patrzę, mój ty kochany Stasiu, patrzę na twarz tego człowieka, no, cóż ci powiem, nie powiem nawet, jaka to twarz, bo nie potrafię. Pamiętam ją, jest we mnie i zostanie. Ale powiedzieć, jaka? Obojętna, — albo może, jak każda, albo może,— jak żadna? To jedno czuję, żeśmy dopłynęli z tym człowieczkiem do owego zabawnego miejsca doli ludzkiej: — szklaneczka wody, czy pomyje, czy śmierć, — już wszystko jedno!...

Tadeusz zsiniał. Ogromne cienie podpełzły mu pod oczy i okoliły usta, zalegając piętnami na skroniach i długim klinem pod brodą aż po gardło. Szeptał Stanisławowi prosto do ucha:

Zauważ, jaka to dziwna geometrja losu. Jakiś ty, jakiś on, wywiedzeni z nicości, nieznani sobie, poznali się tu w takiej chwili właśnie, — na zawsze. I jeszcze inna sprawa: — że musiało się to stać. I tu już cud zabójstwa: — że

go nareszcie ktoś potrafił dokonać... — Takim to właśnie sposobem cudownym zabiłem chyba w sobie wszelakich Martyzelów! Czyż nie?! O, teraz jestem w całkiem odmiennych stronach. Bez wszelkiego ciężaru współczucia. Nie wierz w to, — ale zarazem wierz.

Chłopek pod drzewem woła wciąż jedno i to samo, — och, panie, panie, panie, — ręce mu podłożyłem i trzymam go ostrożnie i obejmuję konającą głowę — zamknęło się już we mnie wszystko. I wszystko jedno,—szeptał Tadeusz,— czy to za system hrabiego Lachowskiego, czy tam jak, — czy tam co, — to wszystko jedno! — Groźba w tem jest, mój Stasiu dla nas wszystkich. Więc teraz patrzę tylko, jaki to miało cel, tak, mój kochany jaki to miało cel, ku czemu to ma zmierzać i jaki z tego wyniknąć ma pożytek?... No, masz, tu na mej dłoni, gdym ją podsunął powyżej pleców aż za kark, ku jego głowie, poczułem, gdzie ci dostał mój chłopek: dostał w podstawę czaszki. Tyle ciepła miałem wtedy na ręce i taka z ciepła owego szła pewność poczciwa, że to musi prowadzić gdzieś dalej?! Naprzykład dokąd?!

Tadeusz, nie krępując się wcale kawiarnią, obecnością publiki i służących, oparł czoło o czoło brata, splótł się z nim ramionami i dodał jeszcze:

— Taką mam pewność pod tym względem, że gdyby miało być inaczej, toby można oszaleć, Stasiu, — tobym chyba musiał oszaleć!!!